III, I, 14, 29

BIBLIOTECZKA POWIEŚCI. — Nr. 1.

KAROL DICKENS.

DZWONY UPIORNE

W KRAKOWIE 1923.
NAKŁADEM KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO
SKŁAD GŁÓWNY: WARSZAWA TOW. WYD. »IGNIS«

Printed in Poland

Drukiem O. M. Wolfa w Tarnowie.

I.

Niewielu ludzi — dla najrychlejszego porozumienia z czytelnikiem, zaznaczam odrazu, że uwagi swej nie odnoszę ani do ludzi młodych, ani do niższych warstw należących, lecz wogóle do wszelkiego rodzaju ludzi, biednych i możnych, młodych i starych, dorastających jeszcze i już dogasających — tedy niewielu ludzi, powiadam, spałoby chętnie w kościele. Nie mówię o spaniu podczas kazania przy ciepłem powietrzu (co się już raz czy dwa razy w istocie przydarzyło) lecz w nocy i samemu. Niejednego zdziwiłoby w wysokim stopniu to twierdzenie, gdybym mówił o spaniu w jasny dzień. Ale ja mówię: w nocy. Należy to zrozumieć: w nocy. I jestem tak śmiały, że zobowiązuję się tego dowieść w pierwszy lepszy wietrzny dzień zimowy, na pierwszym lepszym przeciwniku, który przyjdzie do mnie sam jeden na stary cmentarz pod stare wrota kościelne i z góry mnie upo-

ważni do zamknięcia go tam aż do rana — o ile mu coś takiego specjalną sprawia przyjemność.

Bo nocny wicher ma złe przyzwyczajenie wałęsania się i wzdychania dokoła takich budynków, szarpanie niewidzialną ręką drzwiami i oknami, celem wyszukania szpary, przez którą mógłby się wcisnąć. A gdy mu się to uda, jęczy i wyje, jak ktoś, co nie znalazłszy czego szukał, pragnie się znów wydostać, przyczem nie zadawalnia się wianiem po korytarzach, świstaniem w okół filarów, uderzaniem w organy o głębokich tonach, lecz wzbija się pod sklepienie, które pragnąłby zburzyć; następnie pada rozpacznie na kamienne płyty i z pomrukiem zstępuje do podziemi grobowych. I znów wypełza potajemnie i snuje się wzdłuż murów, poczem, szeptem zdaje się odczytywać napisy mogilne. Przy jednych schrypłym wybucha śmiechem, przy innych żali się i wzdycha. A upiornie też działa, przycupnąwszy za którymś z ołtarzy; zda się tam dzikie zawodzić melodje o mordzie i nieszczęściu i oddawaniu czci fałszywym bogom, mimo tablic z przykazaniami, co wyglądają tak gładko i ładnie, chociaż często skalane były i pokruszone. Hu! Nas, siedzących

w okół miłego ogniska, niechaj Bóg broni przed taką melodją! Bo straszny ma głos wicher o północnej godzinie, gdy w pustym śpiewa kościele!

A cóż dopiero wysoko w dzwonnicy! Tam dziki ten hulaka świszczy sobie i gwizda do woli! Wysoko w dzwonnicy, gdzie przez niejeden łuk strzelisty i niejeden miły lufcik, może swobodnie wcisnąć się i wyruknąć, obracać się i wirować koło krętych schodów, wprawiać w ruch wrzaskliwy kurek na dachu i wstrząsać samą nawet wieżą! Wysoko w dzwonnicy, gdzie krokwie i żelazne rygle rdzą przegryzione, i mosiężne i ołowiane dachy skurczone od wiatru i słoty, skrzypią i trzeszczą pod niezwykłemi krokami; gdzie ptactwo buduje nędzne gniazda w kątach starych dębowych belek i wiązadeł, gdzie kurz szarzeje od starości, a centkowane pająki, rozleniwiałe w bezpieczeństwie, tłuste swe kadłuby kołyszą w takt drżących falowań dzwonów, nie tracąc równowagi w swych utkanych zamków napowietrznych, lub nagłym zdjęte niepokojem wspinają się jak majtkowie, albo osunąwszy się na ziemię puszczają w ruch dwadzieścia rączych nóżek, dla ratowania marnego życia! Wysoko w sta-

rej dzwonnicy, zdala od świateł i odgłosów miasta, pod mknącemi obłokami straszno jest w nocy i upiornie; a właśnie tam wysoko w starej dzwonnicy, znajdowały się dzwony, o których mam opowiadać.

Były to stare dzwony, chciejcie mi wierzyć. Przed wiekami dzwony te zostały ochrzczone przez biskupów, przed tylu jednak wiekami, że dokumenty chrztu nie istniały od niepamiętnych już czasów, przeto nikt nie znał nazwy dzwonów. Miały one swego czasu swych ojców chrzestnych i matki, a niewątpliwie też swe srebrne serca, ale czas skasił chrzestnych rodziców, a Henryk VIII. przetopił serca; tak więc bez imion i bez serc wisiały w starej dzwonnicy.

A jednak nie były nieme. Przeciwnie, dzwony owe miały głosy dziwnie silne, donośne i dźwięczne, które na skrzydłach wiatru biegły daleko i szeroko. Były też dzwony te zbyt mocne, by się całkowicie poddawać kaprysom wiatru, a jeśli go zły humor trapił, to one śmiało mu się przeciwstawiały i pogodne ich dźwięki iście po królewsku rozbrzmiewały dla słuchających uszu, a jeśli się uparły w burzliwą noc dobiec do biednej matki,

czuwającej nad chorem dzieckiem, albo do samotnej kobiety, której mąż był na rozhukanem morzu, to potrafiły wtedy zgłuszyć nawet szalejącą północno-zachodnią wichurę, jak to opowiadał Toby Beck. Nazywał się Toby, jakkolwiek chętniej go nazywano Trotty Beck, a bez specjalnego aktu parlementarnego nikt go nie mógł nazwać inaczej (chyba Tobiaszem) jako że swego czasu—podobie jak dzwony przed niepamiętnemi wiekami został ochrzczony prawomocnie, jakkolwiek mniej uroczyście i z mniejszym współudziałem radosnych tłumów.

Co do mnie, to piszę się w zupełności na wierzenia Toba Becka i myślę, że dość miał czasu do wykrycia prawdy. I co mówił Toby Beck, to mówię i ja i staję po jego stronie, jakkolwiek on przez cały dzień boży (ciężka praca!) stał u drzwi kościoła. Toby Beck był bowiem posłańcem i tam czekał na klientów.

Do czekania tam zimową porą było to miejsce zbyt wietrzne, narażające na gęsią skórkę, siny nos, odmrożenie palców i szczękanie zębami, o czem Toby Beck dobrze wiedział. Wiatr szarpiący wiał od rogu ulicy, mianowicie wiatr wschodni

jak gdyby umyślnie przybył był z najdalszych krańców ziemi, by dąć na Toba. Czasem spotkał go wcześniej, niż się spodziewał, bo przemknąwszy koło zakrętu i Toba, nagle zawracał, jak gdyby mówił: „Ha, oto on!“ I zarzucał mu na głowę jego biały fartuszek; niby niegrzecznemu chłopcu; słaba trzcineczka napróżno prostowała się i broniła w ręce; nogi drżały i dygotały, a Tobem samym, obracając to w tę, to w ową stronę, wiatr tak potrząsał i miotał, tak go szczypał i szarpał, tak pchał i parł przed siebie, że tylko nieomal cudem, nie został żywcem porwany i jak rój żab, ślimaków, lub innych drobnych stworzeń, uniesiony w powietrzu w jakiś obcy zakątek ziemi, ku najwyższemu zdumieniu tubylców, dla których posłaniec jest wielkością nieznaną. A jednak wietrzny dzień, aczkolwiek tak przykry dla Toba, był dlań pewnego rodzaju świętem. Z całą pewnością. Czas wyczekiwania na zarobienie znów sześciu pensów, nie dłużył mu się tak bardzo na wietrze, jak przy pogodzie spokojnej; walka z gwałtownym żywiołem pochłaniała bowiem jego uwagę, przytem go odświeżała i podniecała, gdy naprzykład był głodny czy zniechęcony. Taksamo

silny mróz lub śnieżyca była dla Toba wydarzeniem, które dobrze nań oddziaływało, jakkolwiek trudno byłoby określić, dlaczego! więc dnie wietrzne, mroźne, śnieżne zawieje i burze z gradem były w kalendarzu Toba podkreślone czerwonym ołówkiem.

Najgorszym jego wrogiem była natomiast pora deszczowa; zimna, brudna, przenikliwa wilgoć, otulająca go niejako mokrym płaszczem; jedynym, jaki Toby posiadał, a którego brak byłby dlań pożądanym. W dnie dżdżyste, kiedy deszcz padał powoli, gęsto, uporczywie, kiedy ulice przepełnione były mgłą, w której się omal dusił, kiedy wilgocią przesycone parasole pomykały to tu, to tam, okręcając się i obracając jak kręgle, uderzając o siebie na trotuarach pełnych ludzi, i pryskając w okół zimnemi kroplami, kiedy scieki szumiały, a z rynw spływały strugi wody, kiedy z wystających murów kościoła plusk! plusk! plusk! sączyło się na Toba, że wiązanka słomy, na której stał, w krótkim czasie zaczęła butwieć; w takie dnie Toba nawiedzała pokusa. Wtedy ze swej kryjówki w rogu kościoła schronienie tak marne, że w lecie nie użyczało więcej cienia, niż go zwykła

deska rzuca na bruk słoneczny — spoglądał tęsknie, z twarzą wydłużoną przez troskę. Gdy jednak w minutę później wyszedł stamtąd, by się rozgrzać ruchem, i kilkanaście razy przeszedł się tam i napowrót, odrazu się rozweselał i z jaśniejszą już twarzą znów zajmował stanowisko w swem wgłębieniu.

Nazywano go Trotty, czyli Kłusakiem od jego galopowania,które miało być szybkiem, jakkolwiek takiem nie było. Może a nawet prawdopodobnie, mógłby był chodzić szybciej; ale pozbawić Toba jego galopu znaczyłoby go przyprawić o chorobę i śmierć. Jego galop obryzgiwał go błotem podczas słoty,kosztowało go niezmiernie dużo trudu; mógłby wszak chodzić nieporównanie wygodniej, ale to właśnie był powód dla którego obstawał przy swem szłapiącem galopowaniu. Z natury słaby, drobny, wątły, stary człowieczek, swemi dobremi zamiarami był Toby istnym Herkulesem. Chętnie zarabiał swe pieniądze. Przyjemność mu sprawiało przeświadczenie — Toby był bardzo biedny i nie mógł się tak łatwo wyrzekać przyjemności — że pieniądze swe nie zarabia w sposób grzeszny. Gdy za szylinga lub 18 pensów miał gdzieś pójść, lub odnieść

mały pakunek, ożywiający go zapał wewnętrzny jeszcze bardziej się potęgował. Galopując wołał do szybko przed nim biegnących listonoszów, by mu ustąpili z drogi; święcie bowiem wierzył, że napewno ich wgniecie i przewróci w szybkim biegu; miał też głębokie, jakkolwiek nie często na próbę wystawiane przekonanie, że potrafi dźwigać wszystko, co ktokolwiek inny unieść zdoła.

Tak więc Toby galopował nawet wtedy, gdy w słotny dzień wyłaził ze swego schronienia, aby się rozgrzać. W butach podartych, pozostawiając na błocie krzywą linję miękkich śladów stóp, chuchając w zziębnięte ręce i rozcierając je, jako że od przenikliwego zimna chroniły je tylko wytarte szare wełniane rękawice, z osobną przegrodą dla wielkiego palca, a wspólną dla pozostałych; z podgiętemi kolanami i trzcinką pod pachą, Toby ciągle galopował.

Galopował nawet wtedy, gdy przechodził tylko na drugą stronę ulicy, by patrzeć na dzwonnicę, kiedy rozlegały się dźwięki dzwonów. Tę ostatnią wycieczkę urządzał sobie kilka razy dziennie, bo dzwony były przecież jego towarzyszami niedoli;

gdy więc słyszał ich głosy, pragnął też poglądać ku ich domostwu i rozważać, w jaki sposób wprawiane są w ruch i jakie serca w nich uderzają. Zaciekawiały go te dzwony o tyle może więcej, że nasuwały rozmaite porównania z własną jego dolą. Wisiały tam bez względu na stan pogody, narażone na wichurę i słotę; widziały tylko zewnętrzną stronę wszystkich tych domów; nigdy nie zbliżały się zbytnio do tych błyszczących ogni, świecących do okien, lub wybuchających z kominów; nie brały udziału we wszystkich tych dobrych rzeczach, które przez drzwi od ulicy, lub przez kraty okien kuchennych podawano kucharzom-smakoszom. W wielu oknach ukazywały się twarze i znów znikały: czasem ładne, młode, miłe twarze, czasem ich przeciwieństwo; Toby jednak (jakkolwiek często się nad tem zastanawiał, bezczynnie stojąc na ulicy) wiedział taksamo mało jak dzwony, skąd przychodziły i dokąd odchodziły, albo też, czy poruszając wargami, w ciągu całego roku wypowiedziały o nim choćby jedno życzliwe słowo.

Toby nie był kazuistą—a przynajmiej nie był nim świadomie—to też nie chcę

powiedzieć, że w zaczątkach jego sympatji do dzwonów, gdy pierwsza bliższa z niemi znajomość zaczęła się kształtować analizował swe rozważania, lub też urządzał formalny przegląd swych myśli. To jednak chcę powiedzieć i mówię, że podobnie jak cielesne funkcje Toba, np. jego narządy trawienia, własną roztropnością i mnogą liczbą operacyj zgoła mu nieznanych, a których znajomość byłaby go wprawiła w ogromne zdumienie, dochodziły do pewnego celu taksamo jego zdolności umysłowe bez jego wiedzy i współudziału wprawiły w ruch wszystkie kółka i sprężyny, w czasie powstawania jego sympatji do dzwonów.

A gdybym był powiedział: jego miłości, to nie cofnąłbym tego określenia, jakkolwiek nie wyrażałoby ono jego skomplikowanych uczuć. Bo jako człowiek prosty nadawał on im charakter dziwnie uroczysty. Były tak tajemnicze, nieraz je słyszano a nigdy ich nie widziano; umieszczone były tak wysoko, w takiej oddali, rozbrzmiewały tak głębokiemi, mocnemi tonami, że spoglądał ku nim z pewnego rodzaju czcią; a nieraz wpatrując się w ciemne łukowe okno wieży, zdawał się nawpół oczekiwać, że skinie nań coś,

nie będące dzwonem, lecz tem, co tak często słyszał w melodji dzwonów. Mimo to Toby z oburzeniem odpierał krążące wśród ludzi podanie, że coś straszy w dzwonnicy, gdyż wskazywało to na możliwość łączenia dzwonów z jakiemiś złemi siłami. Jednem słowem, dzwony bardzo często dźwięczały mu w uszach i plątały mu się po głowie, ale zawsze w znaczeniu najlepszem, a bardzo często tak mu sztywniał kark od wpatrywania się z zadartą głową i otwartą gębą w wysoką dzwonnicę, w której wisiały, że następnie musiał raz czy dwa razy dłużej galopować, by pozbyć się tej sztywności.

To samo właśnie robił w pewien zimny dzień, gdy ostatni senny dźwięk godziny dwunastej, niby olbrzymia melodyjnie pobrzękująca, lecz wcale nie pracowita pszczoła, wybiegał z wieżycy.

— Ach, południe! rzekł Toby, galopując przed kościołem tam i napowrót. — Ach!

Nos Toba był bardzo czerwony i powieki jego były bardzo czerwone i często niemi mrugał i w górę podnosił ramiona, że niemal dotykały uszu, a nogi miał całkiem zdrętwiałe; krótko mówiąc, temperatura jego zbliżała się do punktu zamarznięcia.

— Ach, południe! powtórzył Toby, posługując się swą rękawiczką z prawej ręki jak małą bokserską i chłoszcząc nią swą pierś, zato, że była zimną. Ach-ch-ch!

Poczem znów przez jakie dwie minuty galopował w milczeniu.

— To nic — znów począł Toby, ale nagle przerwał i z wyrazem wielkiego zainteresowania, a także pewnego niepokoju zaczął starannie obmacywać swój nos, w całej jego długości. Wnet był z tem gotów, gdyż nos jego nie posiadał rozmiarów imponujących.

— Myślałem, że odpadł — rzekł Toby do siebie, galopując dalej. — Wszystko jednak w porządku, bo prawda, nie mógłbym mu robić wyrzutów, gdyby się oddalił; ciężką ma służbę w tem zimnie, a niewiele może się spodziewać, jako że nigdy nie miewam kataru. W najlepszym wypadku, biedne to stworzenie dosyć się namęczy; bo jeśli nawet czasem powącha coś dobrego, co się rzadko zdarza, to tylko z cudzych rondli.

Myśl ta nasunęła mu drugą, której nie doprowadził był do końca.

Niema nic regularniejszego — mówił do siebie Toby — od powracania pory południowej, a nic nieregularniejszego od

powracania posiłku południowego. Na tem polega wielka różnica. Wiele potrzeba było czasu, zanim to odkryłem. Radbym wiedzieć, czyby się też jakiemu dżentelmanowi opłaciło zakupić to spostrzeżenie dla jakiejś gazety lub parlamentu!

Toby tylko żartował, gdyż sam poważnie kręcił głową w dowód nieufności.

Gazety—rozmyślał, dalej Toby—same przecież mają dość spostrzeżeń, a taksamo parlament. Oto ostatni numer tygodnika. Wyjął z kieszeni bardzo brudną gazetę i rozłożył ją na łokieć odległości od oczu.—Pełno w niej spostrzeżeń! pełno spostrzeżeń! Już to ja naprawdę z największem upodobaniem czytuję gazety — powoli mówił Toby, znów składając gazetę i wsuwając ją do kieszeni—ale teraz, to gazetę czytuję ze wstrętem. Wprost mnie przejmuje lękiem. Nie wiem, co się stanie z nami biedakami. Dałby Bóg, by najbliższy Nowy Rok przyniósł nam coś lepszego!

Tatku! tatku! ozwał się miły głos tuż w pobliżu.

Ale Toby nic nie słyszał, w dalszym ciągu galopując tam i napowrót, w głębokiej zadumie mówiąc do siebie samego.

— Zdaje się, że nie umiemy znaleść należytej drogi, czy też postępować jak należy, lub może zdobyć sobie prawo — ówił Toby. — Co do mojej osoby, to niewiele się uczyłem zamłodu i nie mogę wymiarkować, czy mamy coś do czynienia na ziemi, czy nie mamy. Nieraz sobie myślę, że musimy chyba mieć tu trochę do czynienia, a innym razem myślę znowu, że jesteśmy tu tylko intruzami. Nieraz mi się wszystko tak pomąci w głowie, że nie jestem w stanie wyrozumieć, czy jest w nas co dobrego, czy też z natury jesteśmy źli. Zdaje się, że popełniamy rzeczy straszne; zdaje się, że spełniamy wielki trud i pracę; zawsze się jednak na nas uskarżają i zawsze się przed nami mają na baczności. W ten czy ów sposób, nami zapełniają gazety. I mówić tu o Nowym Roku! — smutnie mamrotał Toby. — Ja już potrafię wytrzymać tyle co każdy inny, a przeważnie nawet więcej, bo mocny jestem jak lew, co nie każdy może o sobie powiedzieć. Przyjąwszy jednak. że naprawdę tak jest, że nie mamy prawa do Nowego Roku... przyjąwszy że jesteśmy tylko narzucającymi się wtrętami...

— Hola, tatku, tatku! znów się ozwał

miły głos. Tym razem go Toby usłyszał, wzdrygnął się, przystanął i cofając wzrok, w dal wysłany, jakby dla zdobycia wyjaśnienia w sercu Nowego Roku, ujrzał się naprzeciw swej córki i spojrzał jej w oczy, w które spoglądać mógł cały świat i nie zbadać ich głębi. Oczy czarne, odbijające te oczy, które się w nie wpatrywały; nie rzucające błysków, chyba gdy właścicielka ich miała po temu ochotę, lecz pełne jasnych, spokojnych, trwałych i głębokich promieni, spokrewnionych ze światłem, przez niebo do bytu powołanem. Piękne, wierne oczy, promienne nadzieją, młodą, świeżą nadzieją; tak przepełnione nadzieją, tak silne i jaśniejące, mimo dwudziestu lat pracy i ubóstwa, na które już spoglądały, że dla Toba stały się one głosem, który rzekł: — Myślę, że mamy coś do czynienia na ziemi—choćby trochę!

Toby ucałował usta, należące do tych oczu i ręce przytulił do kwitnącej twarzyczki.

— Cóż, Małgosiu—rzekł—co słychać? Nie spodziewałem się, że dziś przyjdziesz.

— I ja się tego nie spodziewałam — odrzekła dziewczyna, kołysząc głową i uśmiechając się. — Jestem jednak!

I w dodatku nie sama, nie sama!

Nie chcesz chyba powiedzieć—odparł Trotty, z ciekawością przyglądając się zakrytemu koszowi, który niosła na ręce, żeś...

— Spojrz tylko, tatku — rzekła Małgosia — powąchaj!

Trotty w wielkim pośpiechu, odrazu chciał podnieść pokrywę, ale dziewczyna żartem ją przytrzymywała.

— Nie, nie, nie! broniła, w dziecinnem rozbawieniu. — Musisz sobie trochę przedłużyć przyjemność. Trochę tylko odchylę pokrywę kosza — tylko troszeczkę... I zrobiła to z największą ostrożnością, mówiąc przytem tak cicho, jakby się obawiała, że coś w koszyku usłyszy jej słowa. — Tak! więc co tam jest?

Toby najskwapliwiej obwąchał brzeg kosza i wykrzyknął z zachwytem: — Ach, tam jest coś gorącego!

— Wrzącego! potwierdziła Małgosia. - Ha, ha, ha! coś wrzącego!

— Ha, ha, ha! zaśmiał się Toby, podskakując do góry. — Coś wrzącego!

— Ale co? pytała Małgosia. - Chodź, ojcze, nie odgadłeś jeszcze, co tam jest. A musisz to zrobić. Ani myślę otworzyć kosza, zanim odgadniesz. Tylko nie tak

spiesznie! Poczekaj chwileczkę! Odrobinkę jeszcze odchylę pokrywę! A teraz odgadnij!

Małgosia wprost się lękała, by nie odgadł zbyt szybko; cofała się, podsuwając mu kosz; podnosiła do góry swe kształtne ramiona; zatykała sobie ucho ręką, jak gdyby w ten sposób mogła cofnąć z ust Toba trafną odpowiedź, a przez cały czas chichotała z cicha.

Toby tymczasem, kładąc rękę na każdem kolanie, pochylił się nad koszem i nosem głęboko wciągnął wydobywającą się woń, cichy uśmiech na jego ogorzałej twarzy rozprzestrzeniał się, jak gdyby wchłaniał gaz rozweselający.

— Ach! to coś bardzo dobrego — rzekł Toby. — To jest... nie, to pachnie delikatniej niż kiełbasa. Pachnie nadzwyczajnie. I coraz ponętniej. Za ostra to woń na cielęce nóżki. To nie nóżki!

Małgosia nie posiadała się z radości. Nie mógł, by się już bardziej pomylić! Cielęce nóżki, albo kiełbasa... Ha, ha, ha!

— Czyżby wątroba? zadawał sobie pytanie. — Nie, pachnie tak jakoś miękko, że nie może być wątroba. Świńskie nóżki? Nie. Na świńskie nóżki to znów zapach zbyt wyraźny. Na głowy kogucie

znów za mało ostry. A kiszki też nie są. Teraz ci już powiem, co jest: kruszki!

— Nie, nie kruszki! serdecznie się śmiała Małgosia. — Nie, nie zgadłeś!

— Och, co ja też mówię! rzekł Toby, przybierając nagle postawę możliwie najbardziej prostopadłą. — Wnet już nie będę wiedział, jak się sam nazywam. Przecież to flaki!

Tak było istotnie, a Małgosia promieniejąc radością, zapewniała go, iż za pół minuty przyzna, że nigdy w życiu nie jadł lepszych flaków.

— A teraz — mówiła Małgosia, żywo zajmując się koszem — zaraz już nakryję, tatku! bo flaczki przyniosłam w misce, a miskę obwiązałam chustą; a skoro raz chcę być tak dumną użyć jej jako obrusa, to żadna ustawa nie może mi tego zabronić; nieprawdaż, tatku?

— Chyba nie, moje dziecko — odparł Toby; — jakkolwiek oni tam co chwila z coraz to inną występują ustawą.

— A pamiętasz, tatku, co ci niedawno odczytałąm z gazety, o tym sędziu, który powiedział, że my, biedacy, powinniśmy znać wszystkie ustawy. Ha, ha, to niezłe! Wielki Boże, za jak mądrych oni nas uważają!

— Tak, moje dziecko — odparł Toby — i szanowaliby też takiego, coby je znał naprawdę. Utyłby przy robocie, jaką by otrzymał i cieszyłby się sympatją wszystkich ludzi wykształconych. Z pewnością!

I z apetytem jadłby swój obiad, gdyby tak pachniał jak ten — wesoło rzekła Małgosia. — A teraz szybko, tatku, bo jest też kilka gorących kartofli i pół butelki piwa. Gdzie chcesz jeść: na słupie, czy na schodach? Ach Boże, jakie z nas wielkie państwo! Mamy do wyboru dwa miejsca.

— Dziś na schodach, Małgosiu — odparł Toby. — Przy pogodzie na schodach, podczas deszczu na słupie. Na schodach zawsze wygodniej, bo można usiąść; ale w słotę spływają z nich całe rzeki.

— Więc tu — rzekła Małgosia, klaszcząc w dłonie. — Wszystko gotowe! I ładnie wygląda! Siadaj tatku, siadaj!

Od chwili, gdy Trotty odgadł, co kosz zawiera, stał nieruchomy, patrząc i mówiąc do niej w roztargnieniu; wyraźny znak, że jakkolwiek, pomijając nawet flaki, ona była przedmiotem, trzymającym na uwięzi jego oczy i myśli, to jednak ani nie myślał o niej, ani

jej nie widział takiej, jaką była w danej chwili, lecz jakiś fantastyczny, nieokreślony obraz czy dramat jej przyszłego życia majaczył w jego wyobraźni. Żywem jej wezwaniem zbudzony ze snu, chciał melancholijnie potrząsnąć głową, lecz się opanował i galopem podbiegł ku niej. W chwili gdy chciał usiąść, ozwały się dzwony.

— Amen! rzekł Trotty, zdejmując kapelusz i wznosząc ku nim oczy.

— Tatku, amen mówisz do dzwonów? spytała Małgosia.

— Bo głosy ich, córeczko, zabrzmiały mi nagle jak modlitwa! odparł Trotty, siadając. — Piękną by one odmawiały modlitwę, gdyby umiały. Mnie one mówią tyle rozmaitych rzeczy.

— Dzwony, tatku? zaśmiała się Małgosia, stawiając przed nim miskę i kładąc obok nóż i widelec. — Co też ty mówisz!

— No mnie się zdaje, że opowiadają mi wiele rzeczy — odparł, z wielkim apetytem zabierając się do obiadu. — A cóż to za różnica? Skoro ja je słyszę, to co na tem zależy, czy mówię, czy nie? Ach, Wielki Boże — mówił dalej, widelcem wskazując wieżę i coraz bardziej ożywiając się przy jedzeniu. — Ileż to razy

słyszałem, jak dzwony te mówiły: „Toby Beck, Toby Beck, bądź dobrej myśli. Toby Beck, Toby Beck, bądź dobrej myśli!“ Jakie miljon razy to słyszałem!

— Coś takiego! rzekła Małgosia.

Nieraz to już jednak słyszała, gdyż Toby ustawicznie mówił o dzwonach.

— Gdy intereresa źle idą — mówił Toby — tak bardzo źle, że już nie może być gorzej, one mi zawsze dzwonią: „Toby Beck, Toby Beck, wnet się coś zdarzy.“

— I ostatecznie się zdarzy, tatku — rzekła Małgosia z odcieniem smutku w melodyjnym głosie.

— Zawsze — potwierdził Toby, bez żadnej podejrzliwości. — Nigdy mnie nie zawiodły.

Podczas tej rozmowy, Toby bez przerwy przypuszczał atak do stojącego przed nim pachnącego posiłku, krając i jedząc, krając i popijając, krając i żując, od flaków przechodząc do kartofli, a od kartofli do flaków, z doskonałym, niesłabnącym apetytem. Gdy jednak w pewnej chwili przypadkiem się rozejrzał po ulicy — na wypadek, gdyby ktoś z okna, czy drzwi przyzywał może posłańca — oczy jego w drodze powrotnej spotkały się

ze spojrzeniem Małgosi, która, siedząc naprzeciw niego z założonemi rękoma, z radosnym uśmiechem przyglądała się jego postępom w jedzeniu.

— Niech mi Bóg wybaczy! wykrzyknął Toby, opuszczając nóż i widelec. — Moja gołąbko, Małgosiu! Czemu mi nie zwróciłaś uwagi, że jestem tak nieroztropny?

— Jakto, tatku?

— Ot, siedzę tu — ze skruchą tłómaczył się Toby — i napycham sobie żołądek i brzuch. a ty siedzisz przedemną na czczo i pościsz i nie chcesz jeść, gdy...

— Ja już jadłam, tatku — przerwała córka. — O poszczeniu niema mowy; jadłam także.

— Głupstwo — odparł Trotty. — obiad dla dwojga tego samego dnia! To niemożliwe! Taksamo mogłabyś mi opowiadać o dwóch świętach Nowego Roku w tymsamym dniu, albo o tem, że przez całe życie posiadałem funt sterlingów i go nie naruszyłem.

— A jednak jadłam obiad rzekła Małgosia, podchodząc bliżej. — Jeśli się napowrót zabierzesz do swojego, to ci zaraz opowiem, jakim sposobem się to stało i gdzie; i powiem ci też, jak mi

było możliwem tobie coś przynieść i... i jeszcze coś innego.

Toby wciąż jeszcze niedowierzał, ale córka spojrzała nań tak serdecznie i kładąc mu rękę na ramieniu, prosiła, by jadł, dopóki jeszcze wszystko ciepłe; tedy Trotty znów ujął nóż i widelec i ponownie zabrał się do dzieła, ale znacznie powolniej niż wpierw i potrząsając głową, jak gdyby wcale nie był z siebie zadowolony.

— Ja — poczęła Małgosia po chwilowem wahaniu—jadłam obiad z Ryszardem. Wcześnie dziś obiadował, a ponieważ przyniósł z sobą jedzenie, odwiedzając mnie, więc... się niem podzieliliśmy.

Trotty połknął łyk piwa i oblizał się. Poczem w odpowiedzi, na którą córka zdawała się czekać, rzekł: — O — o!

— I Ryszard mówi, tatku — podjęła znów Małgosia, lecz zaraz urwała.

— Cóż on mówi, Małgosiu? spytał Toby.

— Ryszard mówi, tatku... znów urwała.

— Ryszard coś mówi długo—zauważył Toby.

— Mówi więc — znów zaczęła Małgosia, podnosząc wreszcie oczy i mówiąc wprawdzie głosem drżącym, lecz wyraź-

nym — Ryszard mówi, że znów upłynął rok i naco się zda czekać z roku na rok, gdy przecież nieprawdopodobnem jest, by się nasze położenie zmienić miało na lepsze? On mówi, tatku, że teraz jesteśmy biedni, a później też będziemy biedni; ale teraz jesteśmy młodzi, a lata nas uczynią starymi, zanim się opatrzymy. On mówi, że gdyby tacy biedacy jak my, chcieli czekać, aż nam się droga uprości, to wpierw dostalibyśmy się na tę wąską drogę, która wszystkich wiedzie... do grobu.

Człowiek bystrzejszy niż Trotty Beck, musiałby skupić całą bystrość umysłu, by móc temu zaprzeczyć. Trotty milczał.

— I pomyśl, tatku, jak smutno byłoby się zestarzeć i umrzeć z myślą, że mogliśmy się przecież wzajem pocieszać i wzajem sobie pomagać. Jak ciężko byłoby nam kochać się przez całe życie, gdy każde pracowałoby i dręczyło się z osobna i patrzyło, jak drugie męczy się i starzeje i siwieje. Nawet w najlepszym wypadku, gdybym go potrafiła zapomnieć (czego nigdy nie potrafię) jakże ciężko, ojcze kochany, mieć serce tak gorące jak moje i czuć, jak ono stopniowo usycha, i nie mieć ani jednego wspomnienia szczęśliwej

chwili w życiu, któreby mi pozostało, gdy wszystko mnie opuści i pocieszało mnie i uszlachetniało!

Trotty siedział całkiem cicho, Małgosia ocierała łzy z oczu, poczem mówiła już weselej, to śmiejąc się, to wzdychając, to się śmiejąc i wzdychając równocześnie: — Tedy Ryszard mówi, tatku, że ponieważ na jakiś czas ma zapewnioną robotę, a ja go kocham już całe trzy lata — ach, nawet dłużej, chociaż on o tem nie wie — więc w dniu Nowego Roku się pobierzemy. On mówi, że to najlepszy i najszczęśliwszy dzień w roku i niemal z pewnością przynosi szczęście. Wprawdzie to krótki termin nieprawdaż, tatku? — ale nie potrzebujemy przecież czekać na uporządkowanie moich spraw majątkowych, ani na uszycie ślubnej sukni, jak u wielkich pań. Czyż nie, tatku? Tyle powiedział i jak on to umie, tak poważnie i stanowczo, a przytem tak dobrotliwie i serdecznie, że mu odpowiedziałam, że pójdę do ciebie, tatku i się z tobą rozmówię. A ponieważ mi dziś rano niespodzianie zapłacono za robotę, a ty przez cały tydzień miałeś pożywienie bardzo skąpe, a przytem pragnęłam, by dzisiejszy dzień stał się potroszę świętem

dla ciebie, a dla mnie dniem szczęśliwym, więc zrobiłam małą ucztę, tatku kochany, i przyniosłam ją, by ci zrobić niespodziankę.

— I patrz, jak on jej pozwala stygnąć na schodach! ozwał się inny głos.

Był to głos tegoż Ryszarda, który zbliżył się niespostrzeżenie i nagle stanął przed ojcem i córką z twarzą tak płonącą, jak owe rozpalone żelazo, na które co dnia spadało jego ciężkie kowadło. Był to urodziwy, dobrze zbudowany, silny młodzian, o oczach, które błyszczały jak płonące iskry, wystrzelające z pieca; z czarnemi włosami, układającemi się wspaniale dokoła śniadych skroni i z uśmiechem, który usprawiedliwiał pochwalne słowa Małgosi o jego sposobie mówienia.

— Patrz, jak on pozwala wszystkiemu stygnąć na schodach! rzekł Ryszard. — Małgosia nie wie, co ojciec lubi. Naprawdę, że nie wie!

Trotty rozpłomieniony w jednej chwili, podał Ryszardowi rękę i chciał mu z wielkim zapałem coś odpowiedzieć, gdy niespodzianie otworzyły się drzwi domu, a wychodzący z nich służący omal nie wdepnął w miskę z flakami.

— Usuńcie się z drogi! Zawsze mu-

sicie tu siadać na naszych schodach! Nie możecie to pójść raz do naszych sąsiadów, albo gdzie! No, z drogi! Ustąpicie się, czy nie?

Ściśle biorąc, to ostatnie pytanie było zbyteczne, bo się już usunęli.

— Co jest? co się dzieje? spytał pan, przed którym otworzono właśnie drzwi, gdy krokiem nawpół ociężałym, dziwnie łączącym w sobie szybki chód i powolny pośpiech, wyszedł z domu — owym krokiem, jakim mężczyzna, schodzący już z góry żywota, noszący skrzypiące obuwie, łańcuszek przy zegarku i czystą bieliznę, nietylko nie ubliżając własnej godności, lecz nadając sobie nawet pozór, że czekają go korzystne i zyskowne interesa, zwykł był wychodzić z domu.— Co jest? co się dzieje?

— Zawsze was trzeba na kolanach prosić i błagać — z wielkim zapałem zwrócił się służący do Toba Becka — byście nasze schody zostawili w spokoju. Czemu tu wciąż przychodzicie? Nie możecie się trzymać zdala?

— No, dobrze już, dobrze! ozwał się pan. Hola, człowieku! i głową skinął na Toba Becka,— Zbliżcie się. Co tam macie? To wasz obiad?

— Tak, proszę pana — odparł Trotty, w kącie pozostawiając swą strawę.

— Nie zostawiajcie tam jedzenia! zawołał pan. — Przynieście mi je tutaj. Tak! Czy to wasz obiad?

— Tak, proszę pana — odrzekł Trotty, z napływającą do ust ślinką wpatrując się w kawał flaka, który odłożył sobie jako ostatni najlepszy kąsek, a który pan przewracał teraz i odwracał z jednej strony na drugą.

Inni dwaj panowie wyszli teraz za pierwszym. Jeden z nich był zgnębionym jegomościem, średniego wieku, mizernie ubranym i z miną niezadowoloną. Stale trzymał ręce w kieszeniach swych ciasnych spodni, nieokreślonego koloru soli i pieprzu, wskutek czego kieszenie te mocno były rozepchane — i niezbyt starannie był obmyty i uczesany. Drugi pan nosił błękitny frak z błyszczącemi guzikami i biały krawat. Miał twarz bardzo czerwoną, jak gdyby zawiele krwi z jego ciała dopływało do głowy, co może było powodem, że zdawał się mieć serce dość zimne.

Ten, który widelcem na wszystkie strony obracał obiad Toba, przywołał pierwszego, którego nazywał Filerem i obaj

nachylili się nad miską. Ponieważ Filer był bardzo krótkowidzącym, więc musiał się tak nisko pochylić, by rozpoznać, jaka to potrawa, że Tobowi serce zamarło w piersi. Ale Filer nie tknął jego jedzenia.

— Jest to pewien rodzaj zwierzęcego, jadalnego artykułu, panie Alderman — objaśniał Filer, ołówkiem nakłuwając resztki strawy — znany robotniczej klasie tego kraju pod nazwą flaków.

Alderman się zaśmiał i mrugnął okiem, gdyż z pana Aldermana Ente był żartowniś nielada. A przytem szczwany lis, który wszystko wiedział, wszystkiego doświadczył i nie pozwalał się wyprowadzić w pole. On zgłębił serce ludu! Jeśli kto je znał, to napewno Ente.

— Ale kto to jada flaki? mówił dalej Filer, rozglądając się w około. — Flaki są najmniej ekonomicznym, najkosztowniejszym artykułem spożywczym, jaki kraj ten może wyprodukować. Dokładne badania wykazały, że funt flaków w gotowaniu traci siedm ósmych swej wagi, czyli o jedną piątą więcej od wszelkiej innej substancji zwierzęcej. We właściwem znaczeniu słowa flaki są droższe od ananasu, hodowanego w cieplarniach.

Jeśli się weźmie pod uwagę liczbę bydła co roku zarzynanego w obrębie samego tylko miasta, to obliczając jak najniżej ilość flaków z tych zwierząt, o ile się je zabija w odpowiednim czasie, wynika jednak, że tem, co się traci na wadze flaków przez ich gotowanie, możnaby żywić garnizon z pięciuset ludzi przez całe pięć miesięcy, liczących po trzydzieści jeden dni i jeszcze przez luty. O, ta rozrzutność, ta rozrzutność!

Trotty stał z otwartemi ustami, a kolana się pod nim trzęsły. Wyglądał tak, jak gdyby na własną rękę wygłodził był garnizon, liczący pięciuset ludzi.

— Kto jada flaki? ciepło zapytał Filer. — Kto jada flaki?

Trotty skłonił się niezdarnie.

— Wy? Wy? pytał Filer. — Tedy wam coś powiem, przyjacielu. Flaki te odejmujecie od ust wdowom i sierotom.

— Niech Bóg uchowa! słabym głosem rzekł Trotty. — Wolałbym umrzeć z głodu!

— Podzielcie podaną wpierw ilość flaków — mówił dalej Filer — przez liczbę wdów i sierót, a na każdą z nich przypadnie łucik flaków. Dla was nie zostanie ani jeden gram. A więc jesteście rabusiem.

Trotty był tak wzburzony, że go wcale nie obeszło, gdy Alderman sam spożył kawałek flaka. Ulżyło mu nawet na sercu, że się go pozbył.

— A co pan powie? żartobliwie zwrócił się Alderman do człowieka o czerwonej twarzy, w błękitnym fraku.— Już pan słyszał opinję przyjaciela Filera. Co pan teraz powie?

— Co mogę powiedzieć? odparł zagadnięty. — Co można powiedzieć? Kto w dzisiejszych zwyrodniałych czasach, zajmowałby się podobnem stworzeniem? Gestem wskazał na Toba. — Spojrz pan na niego! Co za istota! Och, gdzież się podziały dobre stare czasy, piękne stare czasy, wielkie stare czasy! Wtedy można było wychować silny stan chłopski. Wtedy można było podjąć się wszystkiego. Dziś się nic zrobić nie da. Ach! westchnął pan z czerwoną twarzą — te dobre stare czasy, dobre stare czasy!

Nie wyjaśnił, o jakich czasach myślał i nie powiedział też, czy dzisiejszym czyni zarzut przez niesamolubną świadomość, że nie uczyniły prawdziwie nic godnego uwagi, wydając jego osobę.

— Dobre stare czasy, dobre stare czasy! powtórzył. — Co to były za czasy!

Jedyne czasy! Nie warto wprost mówić o innych czasach, ani sprzeczać się o to, jaki lud teraz mamy. Chyba pan teraźniejszości nie nazwie czasem. Ja jej tak nazwać nie mogę. Zajrzyj pan, proszę do Kostjumów Strutta, a zobaczy pan, czem taki posłaniec uliczny był za któregokolwiek z tych dawnych dobrych rządów angielskich.

— W najlepszych czasach nie miał na grzbiecie koszuli ani pończoch na nogach a w całej Anglji nie rosła żadna roślina dla jego brzucha — wtrącił Filer — Mogę to wykazać na tabelach.

A pan z czerwoną twarzą wciąż jeszcze sławił stare dobre czasy, wielkie stare czasy, wspaniałe stare czasy. Mógł ktoś mówić, co chciał; on swym wyuczonym frazesem wciąż się kręcił koło tego, samego jak wiewiórka w swej ruchomej klatce, o której zmyślnym mechaniźmie ma takie same pojęcie, jakie pan z czerwoną twarzą miał o swem minionem tysiącletniem państwie.

Być może, że wiara Toba w te bardzo mętne stare czasy nie całkiem była zniszczona, gdyż w tej chwili uczuł dziwne jakieś wątpliwości. — Ale w swem nieszczęściu jedno wiedział jasno: jakkol-

wiek każdy z tych panów z osobna inne miał przekonania, to jednak jego przeczucia z dzisiejszego ranka i innych dni, aż nazbyt były uzasadnione. — Tak, tak, nie umiemy znaleść należytej drogi, czy też postępować jak należy — myślał pełen rozpaczy. — Nic w nas niema dobrego. Źli jesteśmy z natury!

Trotty miał jednak w swej piersi serce ojcowskie, które mimo tej predystynacji jakimś sposobem tam się zabłąkalo; nie mógł więc znieść, by Małgosia w okresie rozkwitu swej krótkiej błogości, miała z ust tych mądrych panów usłyszeć przepowiednię swego losu. — Boże, bądź jej miłościw — myślał biedny Trotty — dowie się jeszcze dość wcześnie.

Co spieszniej więc dał młodemu kowalowi znak, by ją stąd zabral; tamten był jednak tak zatopiony w czułej rozmowie z Małgosią, że stojąc w pewnem oddaleniu spostrzegł znak Toba dopiero wtedy, gdy go też zauważył Cutc. Tedy nie wyładowawszy jeszcze swej mądrości, jak tego pragnął, gdyż Alderman był filozofem, mianowicie filozofem praktycznym, — o, i jak praktycznym! — nie chciał utracić żadnego słuchacza, więc krzyknął: stój!

— Wiecie przecież — zwrócił się Alderman do swych dwóch przyjaciół z uśmiechem zadowolenia, stale przebywającym na jego twarzy — wiecie, że jestem człowiekiem prostym i praktycznym i że prostą, praktyczną drogą zwykłem zmierzać do celu. Tak ja postępuję. Otóż postępowanie z ludźmi tego rodzaju nie jest ani sztuką, ani tajemnicą, jeśli się ich tylko rozumie i umie z nimi rozmawiać na ich sposób. Hola, człowieku,słuchajcie! Nie powiecie mi przecież, że nie możecie zawsze jeść do syta i co tylko jest najlepszego, bo ja już dobrze wiem, jak rzeczy stoją. Skosztowałem waszych flaków, więc nie możecie mi nic „zbajtlować.“ Rozumiecie, co znaczy bajtlować? Nieprawdaż, że to się tak mówi? Ha, ha, ha! zaśmiał się Alderman, zwracając się znów do swych przyjaciół— nic łatwiejszego jak porozumieć się z tymi ludźmi, gdy się tylko umie do tego zabrać.

Niezrównany człowiek do porozumiewania się z ludźmi, ten Alderman Cute! Zawsze w dobrym humorze! Taki przystępny, rozmowny, żartobliwy pan, znający biednych ludzi!

— Widzicie przyjaciele — mówił dalej

Alderman — tyle się mówi głupstw o biedzie i o „złych czasach“; tak brzmi ten frazes, nieprawdaż? Ha, ha, ha! Ja frazes ten wytępię. Poza tem, bardzo się rozpowszechniło głupie utyskiwanie, że lud głoduje — i to ja wytępię. Bo wierzcie mi — znów się zwrócił do swych przyjaciół — u tych ludzi da się wszystko wytępić, skoro się tylko umie do tego zabrać.

Trotty zbliżył się do Małgosi i wziął ją za rękę; zdawał się jednak nie wiedzieć, co robi.

— Wasza córka, co? spytał Alderman, poufale ujmując ją pod brodę.

Zawsze przystępny w stosunku do klasy robotniczej, ten nieoceniony pan Alderman Cute! On wie, co się tym ludziom podoba! Ani w nim cienia dumy!

— Gdzie jej matka? spytał czcigodny pan.

— Nie żyje — odparł Toby. — Matka jej była praczką i powołana została do nieba, gdy ta przyszła na świat.

— Ale chyba nie poto ją powołali, by t a m prała bieliznę? żartobliwie zauważył Alderman.

Nie wiadomo, czy Toby umiał czy nie umiał wyobrazić sobie swoją żonę

w niebie bez dawnego jej zajęcia; my jednak zapytamy: Gdyby pani Alderman Cute umarła, czy pan Alderman Cute wyobrażałby ją sobie, jako pełniącą w niebie jakoweś czynności?

— A wy się zapewne do tej umizgacie, ha? zwrócił się Cute do młodego kowala.

— Tak — szybko odparł Ryszard, gdyż gniewało go to zapytanie — a w Nowy Rok się pobierzemy.

— Co wy mówicie? szorstko wtrącił Filer. — Pobierzecie się?

— No tak, mamy ten zamiar — odparł Ryszard. — I spieszno nam, bo gdyby tak wpierw i to wytępiono!

— Ach! westchnął Filer—panie Alderman, niech pan t o wytępi, a będzie to naprawdę dobrym czynem. Żenić się, żenić! Nieznajomość pierwszych zasad ekonomji państwowej ze strony tych ludzi, ich nieostrożność, ich zepsucie wystarczają dalibóg, by... Spojrz pan, proszę, na tę parę!

Prawdziwie warto było spojrzeć na tych dwoje. A małżeństwo było najrozsądniejszym, najuczciwszym zamiarem, jaki wogóle mogli byli powziąć.

— Chociażby człowiek dożył wieku Metuzalema — rzekł Filer — i męczył się

przez całe życie, piętrząc całe góry faktów na cyfrach, cyfrach i jeszcze raz cyfrach, to jednak nie może się łudzić, że zdoła ich przekonać, że nie mają prawa ani powodu się pobierać, taksamo jak nie może się spodziewać, że ich przekona, iż nie mieli prawa ani powodu przyjść na świat. A my przecież wiemy, że nie mają tego prawa ani powodu. Dawno doszliśmy do tej pewności matematycznej.

Alderman Cute bawił się znakomicie i przyłożywszy do nosa wskazujący palec prawej ręki, zdawał się do obydwu swych przyjaciół mówić. — A teraz uważajcie, co ja powiem! Przekonajcie się, jak postępuje człowiek praktyczny! Przywołał do siebie Małgosię.

— Chodź-no tu bliżej, moje dziecko! rzekł Alderman Cute.

Młodemu jej wielbicielowi gorąca krew uderzyła do głowy w ciągu ostatnich pięciu minut i nie miał ochoty pozwolić jej odejść. Opanował się jednak, postąpił o krok naprzód, gdy Małgosia podeszła do pana i stanął obok niej. Trotty wciąż ją jeszcze trzymał pod ramię, patrząc to na nią to na Ryszarda z takiem pomieszaniem, jak gdyby go dopiero co zbudzono ze snu.

— Moje dziecko — począł Alderman w swój sposób uprzejmy i łaskawy — pragnę ci w paru słowach udzielić dobrej rady. Do mego urzędu należy udzielanie rad, ponieważ jestem sędzią. Wszak wiesz, że jestem sędzią?

Małgosia potwierdziła nieśmiałem skinieniem głowy. Wszystkim przecież wiadomo, że Alderman Cute jest sędzią! Wielki Boże, stale był przecież tak zajęty swoją godnością sędziego! Któż, oprócz pana Cute mógł w oczach publiczności tak świetne zajmować stanowisko!

— Masz zamiar wyjść niezadługo za mąż — mówił dalej Alderman. — Bardzo to niewłaściwe i nieskromne, wobec tego, że należysz przecie do rodu kobiecego! Pomijam wszelako tę stronę sprawy. Gdy jednak wyjdziesz za mąż, zaczniesz się kłócić ze swym mężem i będziesz nieszczęśliwą. Myślisz może, że tak nie będzie, ale tak będzie, skoro ja ci to mówię. Odrazu ci też powiem, że postanowiłem wytępić nieszczęśliwe małżeństwa. Tedy do mnie nie przychodź. Następnie będziesz miała dzieci—może chłopców. Chłopcy ci otrzymają naturalnie złe wychowanie i będą się włóczyć po ulicach bez pończoch i butów. Pomyśl, moja droga, że

ja ich surowo ukarzę, gdyż postanowiłem wytępić chłopców, biegających po ulicy bez pończoch i butów. Być może, a nawet prawdopodobnie, mąż twój umrze za młodu i pozostawi cię z dzieckiem. A wtedy wyrzucą cię z mieszkania i będziesz musiała wałęsać się po ulicach. Ale wtedy, nie zabłąkaj się moja duszko w moje sąsiedztwo, gdyż mam silny zamiar wytępienia wszystkich matek bezdomnych; mam święte postanowienie wytępienia wszystkich młodych matek, jakiekolwiek by one były. I nie usprawiedliwiaj się wtedy przedemną chorobą, albo małemi dziećmi; gdyż ludzi chorych i małe dzieci (znasz zapewne modlitwę kościelną, lecz obawiam się, że jej nie znasz) postanowiłem wytępić. A gdybyś się poważyła, w sposób rozpaczliwy, niewdzięczny, bezbożny, podstępny, utopić się czy powiesić, to wiedz, że nie będę miał nad tobą litości, gdyż wbiłem sobie do głowy wytępić wszelkie samobójstwo. Niema nic na świecie — dodał Alderman z uśmiechem samozadowolenia — czemu oddawałbym się z równym zapałem, jak właśnie tępieniu samobójstwa. Tedy nie czyń czegoś podobnego, czy rozumiesz?

Ha, ha, ha, już my się rozumiemy, wszak wiedziałem.

Toby natomiast nie wiedział czy się ma smucić, czy radować, że Małgosia zbladła śmiertelnie i puściła rękę narzeczonego.

— A co się ciebie tyczy, nierozsądny młodzieńcze — jeszcze weselszym tonem zwrócił się Alderman do młodego kowala — to powiedz, co ty sobie właściwie myślisz, zabierając się do ożenku? W jakim celu chcesz się żenić, ty naiwny chłopcze? Gdybym ja był takim przystojnym, młodym, silnym chłopcem jak ty, to wstydziłbym się wiązać do fartuszka! U licha, toż ona będzie starą babą, gdy ty dosięgniesz najlepszego męskiego wieku! I ładnie będziesz wyglądał, gdy takie babsko i gromada wrzeszczących dzieci czepiać ci się będą na każdym kroku!

O, ten nieoceniony Alderman Cute wiedział, jak przemawiać do ludzi prostych!

— A teraz się stąd zabierajcie — rzekł Alderman i czyńcie skruchę. Nie wystawiajcie się na głupca, żeniąc się w święto Nowego Roku. Zanim nadejdzie następny Nowy Rok, będziecie o tej

sprawie myśleć całkiem inaczej. Taki przystojny, młody chłopiec, za którym z pewnością biegają wszystkie młode dziewczęta. A teraz ruszajcie w swoją drogę.

I ruszyli w swoją drogę, ale nie pod ramię, ani trzymając się za ręce i zamieniając wesołe spojrzenia. Ona miała oczy pełne łez, a on posępny szedł i zgnębiony. Byliż to ci sami, na których widok serce Toba przed chwilą dopiero skakało z radości, mimo przejmującego je równocześnie lęku? Nie, nie! Alderman (niech go Bóg strzeże w swej łasce) wytępił radość ich serc.

— Skoro właśnie tu jesteście — rzekł Alderman do Toba — to możecie mi odnieść ten list. Czy umiecie biec szybko? Już z was stary człowiek.

Toby, który zmieszanem spojrzeniem odprowadzał swą Małgosię, pospieszył zapewnić, że jest bardzo silny i biega nadzwyczaj szybko.

— Ileż wy macie lat? spytał Alderman.

— Przeszło sześćdziesiąt, proszę pana — odparł Toby.

— O, człowiek ten wyszedł już sporo poza wiek średni—przerwał Filer, jak gdy-

by jego cierpliwość wystawiona na próbę, dłużej już jednak dopisać nie potrafiła.

— Widzę, że jestem zbyteczny — rzekł Toby. — Ach... obawiałem się tego już dziś rano. Wielki Boże!

Przerwał mu Alderman, wręczając list, który wyjął z kieszeni. Toby byłby też otrzymał szylinga; ponieważ jednak Filer obliczył, że obrabowałby w takim razie taką a taką liczbę ludzi, o taką a taką kwotę, więc otrzymał tylko pół szylinga i jeszcze sobie winszował szczęścia, że zarobił bodaj tyle.

Poczem Alderman ujął pod ramię obydwu swych przyjaciół i odszedł z miną wyniosłą; niebawem się jednak wrócił, jak gdyby o czemś był zapomniał.

— Słuchajcie — rzekł Alderman.

— Słucham pana — odparł Toby.

— Uważajcie wy dobrze na córkę. Zbyt jest ładna!

Nawet swą ładną twarz musiała komuś ukraść — pomyślał Toby, oglądając pół szylinga i przypominając sobie flaki.

Prawdopodobnie ukradła pięciuset paniom, każdej z osobna, ich urodę. Coś okropnego!

— Zbyt jest ładna — powtórzył Alderman. — Wobec tego stanu rzeczy, nie

skończy się to dobrze; już ja to widzę. Zapamiętajcie, co wam mówię. Dobrze nad nią czuwajcie! To rzekłszy, pobiegł za przyjaciółmi.

Wszędy niesprawiedliwość! wszędy niesprawiedliwość! mruczał Toby, załamując ręce. — Źli jesteśmy z natury i nie mamy powodu żyć na świecie!

Gdy słowa te mówił, poczęły nań spływać dźwięki dzwonów. Pełne, rozgłośne, dźwięczne, ale nie pocieszające. Nie, wcale nie pocieszające.

— Całkiem inaczej brzmi ta melodja — rzekł starzec, zasłuchany. Ani śladu w nich z tych wszystkich urojeń. Bo i skądby? Nowy rok obchodzi mnie równie mało jak stary. Gdybymż to już mógł umrzeć!

Wciąż jeszcze rozbrzmiewały dźwięki dzwonów, wywołując potężne fale powietrzne. „Wytępić, wytępić! Stare dobre czasy, stare dobre czasy! Fakty i cyfry, fakty i cyfry! Wytępić, wytępić!“ To mówiły dzwony, o ile wogóle coś mówiły, aż Toby uczuł zawrót głowy.

Wzburzoną głowę ujął oburącz, jakby ją chciał uchronić od pęknięcia. I zrobił

to w samą porę, gdyż w jednej z rąk znalazł list, co mu przypomniało otrzymane zlecenie. Tedy mechanicznie, jak zwykle, puścił się galopem.

ROZDZIAŁ DRUGI.

List, który Toby wziął z rąk Aldermana Cute, adresowany był do możnego człowieka w wielkiej dzielnicy miasta. Powinienbym powiedzieć, w największej dzielnicy, gdyż jej mieszkańcy nazywali ją zwykle „światem".

List ten zdawał się ważyć więcej w ręce Toba niż każdy inny. Nie dlatego, że Alderman zapieczętował go olbrzymią pieczęcią herbową, do czego zużył wielką ilość laku, lecz z powodu wielkiego nazwiska adresata, nasuwającego myśl o mnóstwie, mnóstwie złota i srebra.

— Jak tu inaczej, niż u nas! w naiwności serca rozmyślał Toby, rozglądając się we wszystkich kierunkach. — Podzielić żyjące żółwie w obrębie miasta przez liczbę bogaczy, mogących je kupować, a żaden nie dostanie nic, prócz swej części! Biednym ludziom flaki odejmować od ust — na to byłby za dumny!

Powodowany bezwiedną czcią dla osoby tak dostojnej, Toby koniuszek fartuszka wsunął pomiędzy list a swoje palce.

— Jego dzieci — mówił do siebie Toby — a oczy jego zaszły mgłą — jego córki... Wielcy panowie będą się o nie starać... I wyjdą za mąż i mogą być szczęśliwemi żonami i matkami i mogą być tak ładne jak Małgo...

Nie mógł wymówić jej imienia. Końcowa zgłoska nabrzmiała w jego gardle do rozmiarów całego alfabetu.

— Już dobrze — pomyślał Toby — wiem dobrze, o co mi chodzi. A to mi wystarcza w zupełności. I z tą pocieszającą myślą podreptał dalej.

Dzień był bardzo mroźny. Powietrze przeźroczyste, lecz ostre i dojmujące. Słońce zimowe, niezdolne wprawdzie do ogrzewania, jasno jednak spoglądało na lód, którego nie mogło stopić, i rozpalało w okół niego promienną aureolę. Innym razem Trotty byłby z tego zimowego słońca wysnuł naukę dla biedaków, ale dziś był całkowicie niewrażliwym.

Rok doszedł dziś do sędziwego wieku. Cierpliwy rok od początku do końca znosił był zarzuty i oszczerstwa swych potwarców i wiernie pełnił swą pracę. Wiosną, latem, jesienią, zimą. Odbył cały przepisany mu kołobieg, a teraz oto skłaniał znużoną swą głowę,

by umrzeć. Sam beznadziejny, bez potężnej podniety, bez własnego szczęścia, a jednak herold wielu radości dla drugich, w starości swej apelował oto do ludzi, by pamiętni jego żmudnych dni i nudnych godzin, pozwolili mu umrzeć w spokoju. Trotty mógłby w tym odchodzącym roku widzieć obraz biednego człowieka, ale dziś nie był zdolny do takich rozpamiętywań.

Ulica była niezwykle ożywiona, a wystawy sklepów jaskrawo udekorowane. Nowy rok, niby młody spadkobierca, witany był przez cały świat darami i objawami radości. Wszędy książki i zabawki na Nowy Rok, świecące klejnoty na Nowy Rok, stroje na Nowy Rok, sposoby wzbogacenia się na Nowy Rok, nowe wynalazki spędzenia go wesoło. Życie jego podzielone było w kalendarzach i notesach. Fazy księżyca, gwiazd i pór roku, z góry zostały określone: wszystkie zmiany dób, dnia i nocy podane były z taką dokładnością, z jaką Filer ujmował w cyfry mężczyzn i kobiety.

Nowy Rok, Nowy Rok, wszędzie Nowy Rok. Stary rok uchodził już za zmarłego, a jego dobytku pozbywano się

tak tanio, jak garderoby zatonionego żeglarza. Jego próbki były już niemodne, więc oddawano je za bezcen, zanim jeszcze właściciel ich wyzionął ducha. Skarby jego były bezwartościowe obok bogactw niezrodzonego jeszcze następcy.

Trotty w myślach swych nie brał udziału ani w starym, ani w nadchodzącym roku.

— Wytępić, wytępić, fakty i cyfry, fakty i cyfry, stare dobre czasy, stare dobre czasy, wytępić, wytępić! W takt tej melodji dreptały nogi Toba i nie chciały się dostosować do żadnej innej.

Ale i ta, jakkolwiek ponura, doprowadziła go w sam czas do celu drogi, którym był dom członka parlamentu, Sir Josepha Bowley'a.

Drzwi otworzył portjer. Ale jaki portjer! Zgoła nie w rodzaju Toba. Coś zupełnie odmiennego. Aczkolwiek także służący, to jednak w niczem niepodobny do Toba.

Portjer ten odsapnął potężnie, zanim zdołał przemówić. Zadyszał się mocno, zerwawszy się ze swego fotelu nazbyt szybko, zanim miał czas nad czynem tym się zastanowić i się do niego przygotować. Odzyskawszy głos — co znów

spora trwało chwilę, gdyż odbiegł on daleko i spoczywał pod potężną warstwą ciała — rzekł schrypłym szeptem: — Od kogo to?

Toby wyjaśnił.

— W takim razie musicie go zanieść sami — oświadczył portjer, wskazując palcem drzwi pokoju, u końca długiego korytarza. — Dziś wszyscy tam wchodzą. Nie przychodzicie ani chwilę zawcześnie, gdyż powóz czeka już przed domem, a tylko na parę godzin przyjechali do miasta.

Toby wytarł starannie podeszwy, które i bez tego były całkiem czyste i ruszył we wskazanym kierunku, dziwiąc się po drodze, że w tym olbrzymim domu, otulonym w dywany, taka panuje cisza, jak gdyby cała rodzina mieszkała na wsi. Gdy zastukał do drzwi, odpowiedziano: „proszę! i niebawem ujrzał się w obszernej bibljotece, gdzie przy stole, zawalonym stosami papierów, siedziała okazała dama w kapeluszu; nieżbyt okazały pan w czarnym ubiorze pisał, co mu dyktowała, gdy inny, starszy i znacznie okazalszy pan, którego laska i kapelusz leżały na stole, z jedną ręką wsuniętą pod surdut, przechadzał się

tam i napowrót, z upodobaniem skierowując wzrok na swój portret naturalnej wielkości, wiszący nad kominkiem.

— Co to? spytał przechadzający się pan — Mr. Fish, zechce pan być tak dobrym i uważać?

Mr. Fish poprosił o wybaczenie, wziął list z rąk Toba i podał go jaśnie panu.

— Od Aldermana Cute, Sir Joseph.

— To wszystko? Człowieku, niczego już nie macie? spytał Sir Joseph.

Toby dał odpowiedź przeczącą.

— Nie macie do mnie żadnego rachunku, czy żądania? Nazywam się Bowley, Sir Joseph Bowley; czy nie macie do mnie czegoś, od kogokolwiek? Jeśli macie, to podajcie. Mr. Fish ma obok siebie księgę czekową, bo ja nie pozwolę przenosić żadnych rachunków na nowy rok. Wszystko musi być w tym domu załatwione z końcem roku, i gdyby nić mego życia... śmierć...

— Przecięła — podsunął Mr. Fish.

— Przeciąć miała, panie Fish — surowo zauważył Sir Joseph — sprawy moje, mam nadzieję, byłyby w najlepszym porządku.

— Ach, mój drogi Sir Joseph! wtrą-

ciła dama, znacznie od niego młodsza. — Jakże mnie przestraszasz!

— Mylady Bowley—odparł Sir Joseph, od czasu do czasu tonący niejako w głębi swych słów — w tym dniu powinniśmy myśleć... o sobie. Powinniśmy porządkować nasze rachunki. Powinniśmy czuć, że każdy nawrót tak ważnego momentu w ludzkich sprawach nasuwa najdonioślejsze interesa pomiędzy człowiekiem, a jego bankierem.

Sir Joseph wypowiedział te słowa z takiem namaszczeniem, jak gdyby głęboko przejęty był ich znaczeniem moralnem; pragnął też, by nawet Trotty skorzystał ze sposobności usłyszenia ich i poprawienia się pod ich wpływem. W tym może celu wciąż jeszcze nie rozpieczętowywał listu, rzekłszy Tobowi, by chwilkę zaczekał.

— Mylady sobie życzy, by Mr. Fish... zwrócił się Sir Joseph do okazałej damy.

— Zdaje mi się, że Mr. Fish to już powiedział — odrzekła małżonka, patrząc na list. — Myślę jednak Sir Joseph, że mimo wszystko, nie mogę tego pominąć. To tyle kosztuje.

— Co tyle kosztuje? spytał Sir Joseph.

— Ten zakład dobroczynny. Dotąd ozwały się dopiero dwa głosy z zapomogą pięciu funtów. To wprost okropnie!

— Mylady Bowley — odparł Sir Joseph — wprawia mnie pani w zdumienie. — Czy rozkosz szlachetnego uczucia mierzy się liczbą głosów, czy prawe sumienie nie uwzględnia raczej liczby starających się i ich cnotliwości? Czyż nie napawa to najczystszem zadowoleniem, że na pięćdziesięciu ludzi ma się do rozporządzenia dwa głosy?

— Ja tego o sobie powiedzieć nie mogę — odparła pani. — Irytuje mnie to. I nie można też sobie zobowiązać w ten sposób swych znajomych. Oczywista, pan jako przyjaciel biednych, inne ma pod tym względem poglądy.

— Tak, jestem przyjacielem biednych — potwierdził Sir Joseph, rzucając spojrzenie na obecnego biedaka. — Można mi z tego czynić zarzut. I czynią mi też z tego zarzut. Ale ja się tem szczycę.

— Niech niebo strzeże tak szlachetnego pana, pomyślał Trotty.

— Pod tym względem naprzykład nie zgadzam się z panem Cute — mówił Sir Joseph, wciąż jeszcze trzymając w ręku jego list. — Nie zgadzam się ze stronnic-

twem Filera, nie zgadzam się z żadnem stronnictwem. Biedak którego jestem przyjacielem, nie ma z tem wszystkiem nic wspólnego, a to wszystko nie ma nic wspólnego z nim. Biedak w mojej dzielnicy, należy do mnie. Ani jednostka, ani żadne stowarzyszenie nie ma prawa stawać pomiędzy mną a moim przyjacielem biedakiem. Takie jest moje stanowisko. Ja mówię: — Mój dobry człowieku, chcę z tobą postępować jak ojciec.

Toby przysłuchiwał się z wielkiem wzruszeniem i czuł się jakoś mniej skrępowanym.

— Ze mną i jedynie ze mną masz do czynienia, mój dobry człowieku; — mówił dalej Sir Joseph, w roztargnieniu patrząc na Toba — jedynie i wyłącznie ze mną, i przez całe życie o nic się nie potrzebujesz troszczyć. Nie potrzebujesz sobie zadawać trudu myślenia o czemkolwiek. Ja już będę myślał za ciebie; ja wiem, czego ci potrzeba; ja jestem twym ojcem i stale nad tobą czuwam. Taki jest porządek wszechwiedzącej Opatrzności! Cel twego życia nie na tem polega, byś hulał i birbantował się i szukał rozkoszy w jadle i napoju, niby bezrozumne zwierzę — Toby ze skruchą przypomniał

sobie swoje flaki — lecz na tem, byś sobie uświadomił dostojeństwo pracy. Wyjdź, człowieku, w jasny wczesny ranek, i... i... pracuj. Żyj oszczędnie i umiarkowanie, w bojaźni bożej, ćwicz się w samozaparciu, rodzinę swą utrzymuj niemal z niczego, podatki płać z regularnością zegara, bądź sumienny w swych interesach (bierz sobie przykład ze mnie, mego sekretarza, Mr. Fisha, zastaniesz zawsze przy pełnej kasie), a znajdziesz we mnie zawsze przyjaciela i ojca.

— Śliczne dzieci, Sir Joseph! rzekła małżonka, otrząsając się. — Reumatycy, kaleki, astmatycy, gorączkujący i cierpiący na wszelkie możliwe choroby.

— Mylady — uroczyście oświadczył Sir Joseph — ja mimo wszystko jestem przyjacielem i ojcem biedaków. Mimo wszystko będę ich wspomagał. Co kwartał może każdy z tych biedaków przyjść do Mr. Fisha. Każdego Nowego Roku będę w gronie mych przyjaciół pił ich zdrowie. Raz do roku ja i moi przyjaciele będziemy do nich wygłaszać przemowy z głębi serca płynące. Raz w życiu każdy taki biedak może nawet w obecności całego towarzystwa otrzymać

publicznie drobny jakiś dar. A jeśli mimo tych wszystkich podniet i dostojeństwa pracy, nie zdoła się już dłużej utrzymać przy życiu i spocznie w cichym grobie, wtedy mylady — tu nozdrza Sir Josepha rozdęły się pod wpływem szlachetnego porywu — wtedy mogę pod temi samemi warunkami być przyjacielem i ojcem jego dzieci.

Toby był głęboko wzruszony.

— O, Sir Joseph, ma pan wdzięczną rodzinę! — rzekła jego małżonka.

— Mylady — odparł majestatycznie Sir Joseph — niewdzięczność jest pierworodnym grzechem tej klasy społecznej. Nie oczekuję też innej podzięki.

— Ach, z natury jesteśmy źli pomyślał Toby. — Nic nas nie wzrusza!.

— Co leży w mocy człowieka, to ja robię — podjął znów Sir Joseph. — Spełniam swój obowiązek jako ojciec i przyjaciel biedaków, gdyż staram się kształcić ich duszę, przy każdej sposobności powtarzając im tę jedyną naukę etyczną, jaka tej klasie jest potrzebną: jest nią całkowite podporządkowanie się mojej osobie. Sami nie potrzebują się wcale o siebie troszczyć. Jeśli źli, podstępni ludzie powiedzą im coś innego, a oni podu-

szczeni i zniecierpliwieni zbuntują się przeciw mej władzy, dopuszczając się czarnej niewdzięczności — co niewątpliwie nastąpi — to nawet wtedy będę ich ojcem i przyjacielem. Tak już postanowione. Leży to w naturze rzeczy!

— Wypowiedziawszy tę wielką myśl, otworzył list Aldermana i przeczytał go.

—Bardzo to z jego strony grzecznie i taktownie! zawołał Sir Joseph.— Mylady, Alderman jest tak uprzejmy przypomnieć mi, że miał „niezwykły zaszczyt“ — bardzo grzecznie — spotkać mnie w domu naszego wspólnego przyjaciela, bankiera Deadles; otóż jest tak dobry, że zapytuje, czy byłoby mi przyjemnie, gdyby kazał zamknąć Willa Ferna.

— Bardzo przyjemnie! zadecydowała lady Bowley. — Najgorszy ze wszystkich. Prawdopodobnie dopuścił się jakiegoś rabunku?

— No, nie — odparł Sir Joseph, opierajac się na treści listu — nie całkiem. Coś w przybliżeniu, ale nie całkiem. Przybył do Londynu, zdaje się, w celu rozejrzenia się za jakiemś zajęciem; (chciał się zapewne poprawić!) w nocy gdy go zastano spiącego w szopie, został zaaresztowany a nazajutrz rano stawiono go

przed Aldermanem. Alderman pisze (bardzo słusznie i rozsądnie) że postanowił wytępić podobne rzeczy i oświadcza, że, jeśliby mi to było przyjemnem, byłby szczęśliw rozpocząć od Willa Ferna.

— W każdym razie należy go ukarać, choćby już dla samego przykładu— rzekła lady. — Zeszłej zimy, kiedy dla chłopców i mężczyzn wiejskich zaprowadziłam robótki szydełkowe i robienie siatek, jako przyjemne zajęcie wieczorne i uczyłam ich podług najnowszego systemu akompaniamentu do słów:

Pozwól nam Panie, zbożnie pracować
I chlebodawcę z serca miłować,
W naszym zakątku wieść żywot cichy
I zwalczać wszelkie podszepty pychy,

tensam Fern — widzę go jeszcze całkiem dokładnie — porwał za kapelusz i rzekł: — Mylady, przepraszam najpokorniej, ale czy ja jestem grzeczną dziewczynką? Byłam na to przygotowaną, bo któżby od tej klasy oczekiwał czegoś innego jak bezczelności i niewdzięczności? Ale to inna sprawa. Proszę jednak skorzystać ze sposobności i dla odstraszającego przykładu wymierzyć mu karę należną.

— Hm! odchrząknął Sir Joseph. — Mr. Fish, bądź pan tak dobry...

Mr. Fish odrazu ujął pióro i pod dyktatem Sir Josehpa pisał:

„Drogi Panie:

„Jestem Panu wielce zobowiązany za Pańskie uprzejme zapytanie w sprawie Willa Ferna, o którym, ku memu wielkiemu ubolewaniu, nie mogę powiedzieć nic korzystnego. Uważałem się zawsze za jego ojca i przyjaciela, niestety jednak (jak zawsze!) niewdzięcznością i oporem odpłacono mi za moje dobre chęci. Jest to osobnik niespokojny i krnąbrny. Charakter jego nie wytrzymuje głębszej krytyki. Nic go nie zdoła skierować na drogę szczęścia, jakkolwiek mógłby być szczęśliwym. W tych warunkach, wyznaję że o ile znów przed panem stanie (a pisze mi pan, że przyrzekł stawić się jutro, a sądzę, że można ufać jego słowu) uwięzienie go na pewien czas za włóczęgostwo, byłoby usługą oddaną społeczeństwu, i stałoby się zbawiennym przykładem w kraju, gdzie zarówno dla tych, co nie zważając na dobre czy złe słowa, są jednak ojcami i przyjaciółmi biedaków, jak i ze względu na te, ogólnie mówiąc, obałamucone klasy społeczne, przykłady tego rodzaju bardzo są potrzebne.

Pozostaję etc. etc.“

— Zdaje się — zauważył Sir Joseph, podpisawszy list, który Mr. Fish zaraz zapieczętował — jak gdyby to wszystko było z góry przeznaczone. Z końcem roku zamykam wszystkie rachunki, nawet z Willem Fernem.

Trotty, który już od dość długiej chwili znów popadł w smutne przygnębienie, podszedł z miną boleściwą, by wziąść list.

— Proszę powiedzieć, że dziękuję i zasyłam ukłony! rzekł Sir Joseph. — Aha, zaczekajcie jeszcze!

— Zaczekajcie! ozwało się echo w postaci Mr. Fisha.

— Słyszeliście może — tonem wyroczni zaczął Sir Joseph, słyszeliście może pewne uwagi, które mi nasunął uroczysty moment, do którego się zbliżamy, a który nakłada nam obowiązek załatwienia naszych spraw i być przygotowanymi na wszelki wypadek. Słyszeliście że ja się nie zastawiam mojem wysokiem stanowiskiem społecznem, lecz że Mr. Fish— ten pan tutaj — ma obok siebie książkę czekową i jest tu poto, by mi umożliwić otwarcie całkiem nowej karty i w nowy okres wstąpić z całkiem uregulowanemi rachunkami. Otóż, powiedz mi, mój

przyjacielu, czy możesz z ręką na sercu powiedzieć że równie dobrze przygotowałeś się na przyjęcie Nowego Roku?

— Obawiam się, proszę pana — mamrotał Trotty, patrząc nań pokornie — że mam jeszcze w świecie pewne drobne, bardzo drobne zaległości.

— Zaległości w świecie! powtórzył Sir Joseph Bowley tonem druzgocącym.

— Obawiam się, proszę pana — jąkał się Trotty, że Mrs. Chickenstalker jestem jeszcze dłużen dziesięć do dwunastu szylingów.

— Mrs. Chickenstalker! w tensam sposób powtórzył Sir Joseph.

— Ona ma grajzlernię, proszę pana — objaśnił Toby. — A trochę mam jeszcze dopłacić do czynszu. Bardzo mało. Nie powinniśmy mieć żadnych długów, wiem o tem, ale bieda nas do tego zmusiła!

Sir Joseph dwa razy kolejno powiódł wzrokiem po swej małżonce, Mr. Fishu i Tobie, następnie wykonał obiema rękami gest rozpaczy, mający wyrażać, że stracił już wszelką nadzieję.

— Jak może człowiek z tej klasy lekkomyślnej i opornej, człowiek stary, człowiek siwowłosy, spojrzeć w oczy Nowemu Roku, mając sprawy tak zawi-

kłane; jak może się wieczór położyć do łóżka i znów wstać rano, gdy... Nie! dokończył plecyma odwracając się do Toba. — Zabierzcie list, zabierzcie list i z Bogiem!

— Pragnąłbym z całego serca, by było inaczej — rzekł Trotty, pragnąc się usprawiedliwić — ale mieliśmy czasy bardzo ciężkie.

Sir Joseph powtórzył tylko: — Zabierzcie list, zabierzcie list! a Mr. Fish nietylko powtórzył jego rozkaz, lecz poparł go jeszcze czynnie, wypychając za drzwi, posłańca, który też skłonił się co spieszniej i wyszedł. Znalałszy się na ulicy, biedny Trotty nasunął głęboko swój stary, zniszczony kapelusz, by ukryć bodaj część malującego się na jego twarzy zgnębienia, że nie otrzymał też żadnego udziału w nadchodzącym Nowym Roku.

Nie zdjął nawet kapelusza, by podnieść oczy ku dzwonnicy, gdy wrócił pod stary kościół. Z przyzwyczajenia zatrzymał się na chwilę i wiedział, że się ściemniło a dzwonnica niewyraźną zatartą sylwetą wznosi się nad nim w posępnym mroku. Wiedział też, że zaraz zaczną bić dzwony i że w takiej

chwili brzmiały one w jego fantazji jak głosy z chmur dochodzące. Ale dlatego właśnie tem bardziej się spieszył z odniesieniem listu do Aldermana, by tylko umknąć głosom dzwonów. Bo obawiał się, że do poprzedniej melodji dodadzą teraz jeszcze: „przyjaciel i ojciec“, „przyjaciel i ojciec“.

Tedy Toby z największym pospiechem wykonał zlecenie, poczem pocwałował ku domowi. Ale już to wskutek swego chodu, niezbyt zgrabnego, już to z powodu nasuniętego na oczy kapelusza, niebawem potrącił jakiegoś przechodnia i z chodnika stoczył się na drogę.

—Przepraszam bardzo! — rzekł, w najwyższem pomieszaniu zrywając z głowy kapelusz, którego obdarta podszewka opasała mu głowę, że tkwiła w niej jak w koszyczku. — Mam nadzieję, że was nie potłukłem.

Co się tyczy potłuczenia, to Toby nie był takim Samsonem, i raczej sam mógł zostać potłuczonym, a w rzeczy samej stoczył się z chodnika jak piłka; miał jednak takie wyobrażenie o swej sile, że naprawdę był zaniepokojony i raz jeszcze rzekł: — Mam nadzieję, że nie zrobiłem wam nic złego.

Mężczyzna, którego był potrącił, ogorzały, silny wieśniak, o szpakowatych włosach i zaroście, patrzył nań przez chwilę, jak gdyby go podejrzywał o żart. Przekonawszy się jednak, że tamten mówi całkiem poważnie, odparł: Nic, przyjacielu, nie zrobiłeś mi nic złego.

— Ani dziecku? — spytał Trotty.

— Ani dziecku — odparł wieśniak.

— Serdecznie wam dziękuję.

Mówiąc to przeniósł wzrok na dziewczynkę, spiącą mu na ręku, i osłoniwszy jej twarzyczkę końcem wytartego szala, który nosił dokoła szyi, poszedł dalej.

Ton, jakim powiedział: „Dziękuję wam serdecznie“, wzruszył Toba do głębi. Był taki zmęczony i wyczerpany i brudny od długiego chodzenia i miał minę człowieka tak opuszczonego i obcego, że pociechą mu było, że mógł komuś dziękować, choćby za tak mało. Toby gonił go spojrzeniem, gdy się tak z trudem wlókł dalej ulicą, niosąc dziewczynkę, która mu rączką oplatała szyję.

Trotty ślepy dla reszty ulicy, utkwił spojrzenie w tej jednej postaci w rozdartych butach, — będących co najwyżej cieniem, czy widmem butów — w kamaszach z ordynarnej skóry, w grubym kabacie

i wzrokiem łzy pełnym, spadającym mu na oczy; po chwili przeniósł to spojrzenie na dziecko, rączką oplatające szyję mężczyzny.

Zanim nieznajomy zniknął w mroku, przystanął i rozglądnął się, a dostrzegłszy Toba, zdawał się wahać, czy zawrócić, czy iść dalej. Postąpił parę kroków naprzód, poczem jednak zawrócił, a równocześnie Toby zaczął doń podchodzić.

— Czy możecie mi powiedzieć — ozwał się nieznajomy z bladym uśmiechem — bo jeśli możecie, to jestem przekonany, że to zrobicie, a wolę was pytać, niż kogo innego: gdzie mieszka Aldermann Cute?

— W najbliższem sąsiedztwie — odrzekł Toby — z całą chęcią pokażę wam jego dom.

— Miałem się stawić przed nim jutro i gdzieindziej — mówił nieznajomy, idąc obok Toba — ale podejrzenie tak mi ciąży, że chciałbym się go rychlej pozbyć i pójść dokąd zechcę, szukać zarobku — jakkolwiek nie wiem, gdzie się mam zwrócić. Wybaczy mi chyba, że o dzień wcześniej przyjdę do jego mieszkania.

— Czyżbyście się wy nazywali Fern! wykrzyknął Toby, przystając nagle.

— Jakto? — spytał tamten, w najwyższym stopniu zdumiony.

— Fern! Will Fern! — mruknął Trotty.

— Tak się nazywam — potwierdził tamten.

— W takim razie — rzekł Trotty, ujmując go za ramię i ostrożnie się rozglądając — na miłość Boga, nie chodźcie do niego, nie chodźcie do niego! On was każe zaaresztować, jakom żyw. Wejdźcie ze mną w tę uliczkę, a wszystko wam wytłómaczę. Nie chodźcie do niego!

Nowy znajomy patrzył na niego, jakby go uważał za warjata, mimo to jednak, poszedł za nim. Znalazłszy się w cichej uliczce, gdzie nie mógł ich nikt podsłuchać, Trotty opowiedział, co mu było wiadomem i jakie świadectwo wystawił mu Sir Joseph.

Ten, którego dotyczała cała historja, słuchał go ze spokojem zdumiewającym; ani raz mu nie przerwał i nie zaprotestował. Od czasu do czasu kiwał tylko głową — raczej dla potwierdzenia starej ustalonej już historji, niż celem jej sprostowania; raz czy dwa, odchylił tylko kapelusz z czoła i piegowatą ręką przesunął po czole, na którem każda skiba ziemi przezeń zorana, zaznaczyła się

głęboką brózdą. Poza tem zachowywał się całkiem spokojnie.

— Na ogół wystawiono mi świadectwo prawdziwe — rzekł. — Mógłbym tu i ówdzie oddzielić plewę od ziarna, ale niech i tak będzie. Co tam jeszcze powiedziano? Na moje nieszczęście, przeciwdziałałem jego planom; trudno! Jutro postąpiłbym taksamo. Co się tyczy charakteru, to ci wielcy państwo węszą i szukają i szpiegują i woleliby mieć w nas wzór doskonałości, niż obdarzyć nas bodaj jednem dobrem słówkiem. Mam nadzieję, że oni nie tak łatwo tracą swą dobrą sławę jak my; w przeciwnym razie prowadzą chyba życie kartuzów, nie warte zachodu. Co do mnie, przyjacielu, to nigdy nie brałem tą ręką — wyciągnął ją przed siebie — co do mnie nie należało i nigdy jej nie cofałem od roboty, chociażby była niewiadomo jak ciężka i źle płatna. Kto temu zaprzeczy, może mi ją odciąć! Skoro mnie jednak praca ta nie żywi jak istoty ludzkiej; skoro żyję tak marnie, że głodować muszę w domu i poza domem; skoro widzę, że całe życie robotnika taksamo się zaczyna i kończy, bez zmiany i bez widoków polepszenia, tedy mówię do tych wszy-

stkich wielkich panów: Pozostawcie mnie w spokoju, nie przekraczajcie progu mej chałupy! Drzwi jej dość są ciemne, więc nie potrzebujecie ich bardziej jeszcze zaciemniać. Nie spodziewajcie się też, że przyjdę do parku i wezmę udział w komedji święcenia czyichś urodzin, albo wygłaszania pięknych mów, czy czegoś podobnego. Urządzajcie sobie swe zabawy i polowania bezemnie i radujcie się do woli, ale my nie mamy z sobą nic wspólnego. Pozostawcie mnie więc w spokoju!

Spostrzegłszy, że dziewczynka, spiąca w jego ramionach, otworzyła oczy i rozgląda się ze zdumieniem, przerwał i szepnąwszy jej parę pieszczotliwych słów, postawił ją obok siebie na chodniku. Następnie obwijając sobie jeden z jej długich warkoczyków dokoła swego szorstkiego wskazującego palca, gdy mała uczepiła się tymczasem jego okurzonych spodni, rzekł do Toba: — Ja z natury nie jestem napastliwy i łatwo mnie zadowolnić. Do nikogo też nie czuję żalu, a tylko pragnę żyć jak boskie stworzenie. Nie mogę tak żyć i nie żyję, a to stworzyło przepaść między mną, którzy tak żyć mogą i żyją. Oprócz

mnie jest wielu takich samych, ba, setki i tysiące.

Trotty wiedział, że tamten mówi prawdę i potakiwał ruchem głowy.

— W ten sposób zdobyłem sobie złą reputację — mówił znów Fern — i obawiam się, że jej sobie już nie poprawię. Człowiek nie powinien być posępny, a ja nim jestem, — chociaż Bóg wie, że pragnąłbym raczej być pogodny, gdybym mógł. Nie wiem, czy ten Alderman zbytby mi zaszkodził, gdyby mnie kazał zamknąć, a ponieważ nie mam nikogo, ktoby się za mną wstawił, więc prawdopodobnie by to zrobił; a widzicie... Palcem wskazał dziecko.

— Ładną ma buzię — rzekł Trotty.

— O tak — potwierdził Fern, przyczem delikatnie ujął ją obiema rękoma i zwróciwszy ku sobie, bacznie się jej przyglądał. — Nieraz tak myślałem. Nieraz tak myślałem, gdy ognisko moje było zimne, a szafa bardzo pusta. Tak też myślałem niedawno, gdy nas ujęto jak dwoje złodziejów. Ale ona... tego maleństwa nie powinni tak często niepokoić. Prawda, Lilly? Tak już człowieka udręczać nie powinni!

Coraz bardziej zniżał głos, a przy-

glądał się małej tak jakoś dziwnie i tkliwie, że Toby, chcąc myślom jego inny nadać kierunek, spytał, czy żyje jeszcze jego żona.

— Ja nigdy nie miałem żony — odparł tamten, potrząsając głową; — to córka mojego brata, sierotka. Ma już dziewięć lat, choć na to nie wygląda, ale teraz jest bardzo zmęczona i wyczerpana. Chcieli ją zabrać do Związku, dwadzieścia ośm mil od naszej wsi, i zamknąć wśród czterech ścian, jak to zrobili z moim starym ojcem, kiedy już nie mógł pracować; ale na szczęście ciążył im niedługo. Tedy ja ją wziąłem do siebie i odtąd żyje przy mnie. Matka jej miała tu krewniaczkę w Londynie. Staramy się ją odszukać, ale zbyt wielkie to miasto. Nie szkodzi; mamy za to dość miejsca, by się przechadzać. Nieprawdaż, Lilly?

— Spojrzał dziecku w oczy z uśmiechem, który Toba wzruszył bardziej od łez. Uścisnął mu też rękę.

— Nie wiem nawet jak się nazywacie — mówił *Fern* — a jednak otworzyłem przed wami moje serce, gdyż jestem wam wdzięczny i mam do tego powód. Posłu-

cham waszej rady i będę się strzec przed tym...

— Sędzią — dokończył Toby.

— Ach! — rzekł Fern — skoro go tak nazywają, to niechże będzie sędzią. A jutro spróbuję lepszego szczęścia gdzieś w okolicy Londynu. Dobranoc! Szczęśliwego Nowego Roku!

— Poczekajcie! zawołał Toby, chwytając go za rękę — poczekajcie! Nowy Rok nie przyniósłby mi szczęścia, gdybyśmy się w ten sposób rozstali. Nowy Rok nie przyniósłby mi szczęścia, gdybym pozwolił błąkać wam się z dzieckiem po nocy. Nie znacie przecie miasta i nie macie noclegu. Chodźcie więc ze mną! Jestem biedny i ubogie mam mieszkanie, ale mogę wam udzielić noclegu bez szkody dla siebie. Chodźcie do mnie! Tak! Małą ja poniosę — rzekł Trotty, biorąc dziewczynkę na ręce. — Maleństwo kochane! Mógłbym nosić ciężar dwadzieścia razy większy, i nie czułbym go nawet. Powiedzcie, czy może idę za szybko. Bo przyzwyczajony jestem do szybkiego chodu. Zawsze tak biegam. Tak mówił Trotty, wykonując sześć drepcących kroków, gdy znużony jego towarzysz nadążał mu jednym krokiem, a cienkie nogi

biegacza dygotały pod ciężarem dziecka.

— Jaka ona leciuchna — mówił Trotty, galopując zarówno mową jak chodem; nie chciał bowiem dopuścić do podziękowania i dlatego nie pozwalał Fernowi przyjść do głosu. — Leciuchna jak piórko. Lżejsza od pawiego pióra — znacznie lżejsza. Tedy jesteśmy i tedy idziemy! Pierwszy zakręt, na prawo, wujaszku Wilu, a potem koło studni i na lewo ulicą, aż do szynku. Tedy jesteśmy i tedy idziemy! Teraz skręcić, wujaszku Wilu, koło paszteciarni. A teraz koło masztalerni, wujaszku Wilu i zatrzymać się przed czarnemi drzwiami, nad któremi wisi szyld: „T. Beck, posłaniec uliczny.“ Tedy jesteśmy i tedy przyszliśmy, Małgosiu, we własnej osobie, by ci zrobić niespodziankę.

To mówiąc Trotty całkiem zadyszany, postawił dziecko koło córki. Dziewczynka spojrzała w twarz Małgosi, a nie dostrzegłszy w niej nic odpychającego, gdyż była bardzo pociągająca, odrazu rzuciła się jej na szyję.

— Tedy jesteśmy i tedy zostaniemy! mówił Trotty, biegając po izbie i dysząc ciężko. — Wujaszku Wilu, oto ogień, widzicie? Czemu nie zbliżycie się do ognia?

O, tu już jesteśmy i tu zostaniemy! Małgosiu, serce drogie, gdzie kociołek do herbaty? Oto jest i zaraz będzie kipiał!

Trotty naprawdę podczas swych wędrówek zdobył gdzieś kociołek do herbaty a teraz go już stawiał na ogniu, gdy Małgosia usadowiwszy dziewczynkę w ciepłym kącie, uklękła na podłodze i ściągnąwszy jej bucięta, osuszała chustką mokre nóżki. Przytem uśmiechała się do ojca, tak pogodnie, tak wesoło, że Trotty byłby jej odrazu błogosławił, gdy tak klęczała pochylona, bo widział przecież, że za ich wejściem, siedziała przed ogniskiem i płakała.

— Tatku — rzekła Małgosia — coś dziś jesteś bardzo wesół. Radabym wiedzieć, co na to powiedzą dzwony? Biedne małe nóżęta, jakież one zimne!

— Już są cieplejsze — zawołało dziecko — całkiem już ciepłe.

— Nie, nie, nie — zaprzeczyła Małgosia — trzeba je jeszcze mocno wycierać. O, mamy dużo, bardzo dużo do roboty! A gdy nóżki obeschną, uczeszemy mokre włoski, a potem musimy świeżą wodą obmyć tę bledziutką buzię, żeby się zarumieniła, a potem będziemy się radować i bawić i będzie nam dobrze.

Dziecko zalało się łzami, rączkami objęło ją za szyję i gładziło jej urodziwą twarz, szepcząc: — Małgosia, kochana Małgosia!

Nawet błogosławieństwo Toba nie mogłoby mieć większego znaczenia. Cóż mogłoby mieć większe znaczenie od serdecznej pieszczoty dziecka!

— Tatku! — po chwili ozwała się Małgosia.

— Tu jestem i tu idę, moje serce! — odparł Trotty.

— Święty Panie — zawołała Małgosia — jemu się w głowie pomieszało! Czepkiem tej kochanej dzieciny przykrył kociołek, a pokrywkę powiesił za drzwiami!

— Nie chciałem tego zrobić — rzekł Toby, spiesznie naprawiając pomyłkę.— Małgosiu?

Małgosia podniosła nań wzrok i zobaczyła, że umyślnie stanął za krzesłem gościa i dając jej tajemnicze znaki, pokazywał pół szylinga, zarobionego u Aldermana.

— Wchodząc tu — rzekł Trotty — widziałem że na schodach leżało odrobinę herbaty, a jeśli się nie mylę, to także kawałek słoniny. Nie przypominam sobie

dokładnie, gdzie to było, więc pójdę sam poszukać.

Z tem kłamstwem, które, uważał za nierozwikłalne, Toby wyszedł do grajzlerni Mrs. Chickenstalker i zakupiwszy za gotówkę kawałek słoniny, wrócił po chwili, twierdząc, że nie mógł tak szybko znaleść w ciemności małego pakieciku.

— Ale wreszcie go znalazłem — rzekł Trotty, kładąc na stole pakiecik. — Teraz wszystko w porządku. Dobrze jednak widziałem, że była herbata i kawałek słoniny. Małgosiu, serce drogie, jeśli ty przyrządzić zechcesz herbatę, gdy twój niegodny ojciec uskwarzy tymczasem słoninę, to w jednej chwili będzie wszystko gotowe. To dość dziwne — mówił Trotty, z widelcem w ręku zabierając się do gotowania — ale moi bliżsi przyjaciele doskonale o tem wiedzą, że nie lubię ani słoniny, ani herbaty. Cieszę się, gdy smakują innym ludziom — dodał głośno, by gość go słyszał — ale ja nie znoszę ani jednego, ani drugiego.

A jednak Trotty z rozkoszą wciągał woń skwarzącej się słoniny, którą jadłby, och! i z jakim smakiem; a nalewając wrzącą wodę do czajniczka, miłośnie zaglądał do jego wnętrza, wdychając

wonną parę, której kłęby gęstym obłoczkiem obsnuwały mu twarz i głowę. Mimo to nie jadł i nie pił, a tylko na początku dla formy połknął jeden kęs, który mu widocznie bardzo smakował, mimo zapewnienia, że niema coś dziś apetytu. Bo Tobowi chodziło o nakarmienie i napojenie Willa Ferna i Lilly, a tego samego pragnęła Małgosia. I na żadnej uczcie dworskiej, ani przy żadnym bankiecie, gospodarze nie doznawali takiej przyjemności, racząc swych gości, chociażby nimi byli monarchowie lub papież. Małgosia uśmiechała się do Toba, Toby uśmiechał się do Małgosi, Małgosia kiwała głową, a chciała by Toby brał to za oklaski na jego cześć; Trotty niemą wymową opowiadał jej długie historje, jak kiedy i gdzie znalazł swych gości; i byli oboje szczęśliwi. Bardzo szczęśliwi!

— A jednak — myślał Trotty zasępiony, przyglądając się Małgosi — związek ten został, jak widzę, zerwany.

— A teraz wam coś powiem — odezwał się Trotty po herbacie. — Mała będzie zapewne spać z Małgosią.

— Z kochaną Małgosią, — rzekło dziecko pieszczotliwie — z Małgosią.

— To dobrze — rzekł Trotty.— I wcalebym się nie dziwił, gdyby malutka dała też buzi ojcu Małgosi. Bo widzisz, ja jestem ojcem Małgosi.

Trotty był niezmiernie uradowany, gdy dziewczynka podeszła doń bojaźliwie, ucałowała go, poczem znów wróciła do Małgosi.

— Mądra jest jak Salomon—oświadczył Trotty. — Tedy idziemy i pójdziemy... nie... nie... nie pójdziemy. Coś mi się poplątało. Co ja to chciałem rzec, Małgosiu, moje serce?

Małgosia rzuciła okiem na gościa, który z odwróconą głową siedząc na jej krześle, gładził główkę dziecka, nawpół ukrytą na jego kolanach.

— Doprawdy — rzekł Toby — nie wiem, doprawdy, co się dziś dzieje z mojemi myślami; jestem całkiem roztargniony. Will Fern, chodźcie teraz ze mną. Jesteście śmiertelnie znużeni i potrzeba wam spoczynku. Chodźcie ze mną!

Mężczyzna wciąż jeszcze gładził włoski dziecka, wciąż jeszcze siedział na krześle Małgosi z odwróconą twarzą. Nie mówił nic, ale jego szorstkie, grube palce, zagłębiające się raz po raz w kę-

dziorkach dziecka, miały specjalną swą wymowę.

— Tak, tak — rzekł Trotty, bezwiednie odpowiadając na to, co wyczytał w twarzy córki. — Zabierz ją Małgosiu i połóż do łóżka. A wam, Will, pokażę, gdzie się przespicie. Nocleg to nie bardzo elegancki, bo zwykły strych ze sianem, ale mieszkając w masztalerni, ma się właśnie tę wygodę, że można się przespać na sianie. A zanim znajdzie się ktoś, potrzebujący remizy i stajni, my mamy tanie mieszkanie, dużo miękkiego siana na górze, które należy do sąsiada, a całkiem czyste, dzięki pracowitym rękom Małgosi. Tedy żwawo! Nie ociągajcie się! Na Nowy Rok świeże sianko!

Ręka, która wysunęła się z kędziorków dziecka, z drżeniem opadła na prawicę Toba, który nie przestając paplać, wyprowadził gościa tak delikatnie i ostrożnie, jak gdyby i on był dzieckiem.

Wróciwszy wcześniej od Małgosi, przez chwilę nadsłuchiwał u drzwi jej izdebki, graniczącej z kuchnią. Dziecko odmówiło przed spaniem zwykłą modlitwę, a pomodliwszy się za Małgosię

urwało, i Trotty usłyszał, że pyta o jego imię.

Minęła spora chwila, zanim śmieszny stary człowieczek odzyskał równowagę; wtedy dopiero rozdmuchał ogień i przysunął sobie krzesło do ciepłego kominka. Uczyniwszy to jednak, otarł knot świecy, wyjął z kieszeni gazetę i zaczął czytać, początkowo całkiem spokojnie, przebiegając oczyma wiersz po wierszu, stopniowo jednak z coraz to posępniejszą uwagą i smutnem zamyśleniem.

Albowiem ta lękiem przejmująca gazeta znów odwróciła myśli Toba w kierunku, jaki przybrały były już w ciągu dnia i w jakim się ostatecznie ustaliły pod wpływem zdarzeń całodziennych. Zainteresowanie się losem dwojga wędrownych, na chwilę mu nasunęło myśli pogodniejsze; pozostawszy jednak sam i czytając o zbrodniach i gwałtach ludu roboczego, wrócił do poprzedniego toku rozważań.

W tym nastroju czytał notatkę — nie pierwszą zresztą w życiu — o kobiecie, która w przystępie rozpaczy targnęła się nietylko na własne życie, lecz także własnego dziecka. Ta straszna zbrodnia, do tego stopnia wstrząsnęła jego duszą,

pełną miłości dla Małgosi, że opuścił gazetę i przerażony opadł w głąb krzesła.

— Przeciwne naturze i okrutne — mruczał Toby — przeciwne naturze i okrutne! Tylko ludzie źli z natury, źli z urodzenia, nie mający nic do czynienia na tym świecie, mogą się dopuszczać takich czynów. Aż nadto jest prawdą co dziś słyszałem, prawdą aż nadto często potwierdzoną przez doświadczenie: jesteśmy źli!

Dzwony tak nagle podjęły jego słowa, ozwały się tak głośno, jasno i donośnie, że dźwięki ich uderzyły jak grom w siedzącego na krześle.

I co one mówiły?

— Toby Beck, Toby Beck, czekamy cię, Toby! Toby Beck, Toby Beck, czekamy cię, Toby! Chodź, odwiedź nas, chodź, odwiedź nas, przywlecz go tu, przywlecz go tu, pędź go, dręcz, pędź go, dręcz, nie daj mu spać, nie daj mu spać! Toby Beck, Toby Beck, roztwórz drzwi, Toby, Toby Beck!

Po chwilowej przerwie znów rozpoczęły swą dziką, gwałtowną pieśń, a cegły kominka i ściany odbrzmiewały im echem.

Toby nadsłuchiwał. Złudzenie, złu-

dzenie! Popołudniu odszedł od nich niechętnie! Nie, nie. Nic podobnego. Ale oto znowu i znowu, po raz może dziesiąty: Pędź go, dręcz, pędź go, dręcz, przywlecz go tu, przywlecz go tu!

Dźwiękami swemi głuszyły całe miasto.

— Małgosiu — rzekł Trotty cicho, pukając do jej drzwi — czy coś słyszysz?

— Słyszę dzwony, ojcze; dzwonią dziś naprawdę bardzo głośno.

— Czy ona spi? spytał Toby, szukając usprawiedliwienia, że zaglądnął do izdebki.

— O, i jak spokojnie, jak błogo! Ale nie mogę jeszcze odejść od niej. Spojrz tylko, jak mocno mnie trzyma za rękę!

— Małgosiu! szepnął Trotty — posłuchaj na chwilę głosu dzwonów.

Słuchała, przez cały czas zwrócona doń twarzą, ale nic się nie zmieniło w jej wyrazie. Nie rozumiała dzwonów.

Trotty się oddalił, ponownie usiadł przy kominku i znów się zaczął wsłuchiwać. Przez chwilę tylko siedział na krześle.

Dłużej tego znieść nie mógł; siła dzwonów była straszliwa.

— Jeśli drzwi dzwonnicy istotnie są

otwarte — rzekł Toby, odkładając swój fartuszek, zapominając jednak o kapeluszu — to dlaczegoż nie miałbym tam wejść i sam się przekonać? Jeśli drzwi będą zamknięte, to nie potrzebuję już innego dowodu. Ten mi wystarczy.

Wymknąwszy się cicho na ulicę, był niemal pewny, że zastanie drzwi zamknięte i zaryglowane, bo znał je przecież dobrze i tak rzadko widywał je otwarte, że wszystkiego razem zdarzyło się to może trzy razy. Były to niskie, krągłe drzwi na zewnątrz kościoła, w ciemnym kącie za jedną z kolumn, na tak olbrzymich żelaznych zawiasach i zaopatrzone tak ogromnym zamkiem, że więcej rzucały się w oczy owe zawiasy i zamek, niż same drzwi.

Jakież jednak było jego zdumienie, gdy doszedłszy do kościoła z gołą głową, wyciągnął rękę w ciemny kąt, nie bez trwogi, że ją coś nagle pochwyci i nie bez tajemnego pragnienia cofnięcia jej napowrót, i oto się przekonał, że drzwi otwierające się z zewnątrz, istotnie stoją otworem!

W pierwszem przerażeniu chciał zawrócić, a przynajmniej wziąć ze sobą światło, lub jakiegoś towarzysza; na-

tychmiast jednak odzyskał odwagę i postanowił sam wejść na dzwonicę.

— Czegoż miałbym się obawiać? rzekł do siebie Trotty. — Wszak to kościół! A może dzwonnicy byli na górze i zapomnieli zamknąć drzwi.

Wszedł tedy i po omacku jak ślepiec dreptał powoli, gdyż było bardzo ciemno i bardzo cicho, jako że dzwony milczały.

Kurz uliczny nagromadził się tu obficie i leżał grubą warstwą, że Toby szedł jak po aksamicie, co jeszcze potęgowało uczucie grozy. Wąskie schody były tak blizko drzwi, że Toby potknął się o pierwszy schód, przyczem nogą zawadził o drzwi, które zatrzasnęły się tak silnie, że nie mógł ich już otworzyć.

Ale to był właśnie jeszcze jeden powód, zmuszający go do pójścia dalej. Trotty dreptał więc dalej po omacku, coraz dalej i dalej, wciąż w kółko i wciąż wyżej i wyżej.

Schody były bardzo nieprzyjemne; tak niskie i wąskie, że wysunięta naprzód ręka wciąż czegoś dotykała, co czyniło wrażenie istoty ludzkiej lub upiora umykającego przed nim. Więc ręką obmacywał gładką ścianę, szukając twarzy tej istoty, gdy dreszcz zimny przebiegał

go wzdłuż pleców. Raz czy dwa razy, jednostajną powierzchnię muru przerwały drzwi czy nyża wydająca mu się tak wielką jak cały kościół; to znów miał wrażenie,że stoi na skraju przepaści, w którą runie głową na dół, aż znów rękoma wyczuł ścianę.

Coraz dalej i dalej, ciągle w kółko i wciąż wyżej i wyżej!

Wreszcie zatęchłe, ciężkie powietrze odświeżyło się powiewem wiatru, który niebawem zaczął dąć tak silnie, że Toby z trudem tylko zdołał się utrzymać na nogach. Dotarł jednak do jednego z łukowych okien dzwonnicy, sięgającego mu do piersi i trzymając się oburącz spojrzał w dół na wierzchołki dachów, na dymiące kominy, na plamy świetlne i refleksy (w dzielnicy, gdzie przebywała Małgosia, dziwiąc się, gdzie on może być, a może nawet wołając na niego) stłoczone w jedną masę mgieł i ciemności.

Oto izdebka, do której przychodzili dzwonnicy. Pochwycił jeden z wytartych od używania sznurów, zwisających przez otwory dębowej powały. W pierwszej chwili się przestraszył, gdyż myślał, że to włosy; następnie zadrżał na myśl, że mógłby przebudzić wielki dzwon. Dzwony

wisiały jednak wyżej. Trotty, pod wpływem myśli opętańczej, czy może czarów, szedł po omacku coraz wyżej i wyżej. Nakoniec zaczął wchodzić po drabinach i z wielkim trudem, gdyż były strome i nie dawały nogom należytego oparcia.

Coraz dalej wspinał się i wdzierał; coraz dalej i wyżej i wyżej!

Nakoniec, przebywszy strych i głową wydostawszy się ponad jedną z belek, znalazł się tuż pod dzwonami. W mroku nie mógł rozpoznać ich kształtów; były tu jednak — mroczne, niewyraźne, milczące.

Ciężar ołowiany samotności i lęku przytłoczył go nagle, gdy wspinał się ku temu wyniosłemu gniazdu z kamienia i metalu. W głowie mu się kręciło. Nadsłuchiwał, poczem wydał dziki okrzyk: hallo!

— Hallo! przeciągle odpowiedziało smutne echo.

Czując zawrót głowy, zmieszany, bez tchu, pełen przerażenia, Toby rozglądnął się po błękitach nieba i padł zemdlony.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Czarne są gromem ciężarne chmury, a mętne wody głębokie, gdy morze myśli, po raz pierwszy podnosząc się po ciszy, wyrzuca swych zmarłych. Ohydne dziwaczne potwory święcą swe przedwczesne częściowe zmartwychwstanie; pomieszane członki i postacie rozmaitych rzeczy jednoczą się i mieszają z sobą podług zrządzenia przypadku, a jak i kiedy i w jakiem następstwie znów się rozłączą i każda treść i forma duszy znów pierwotny przybierze kształt i pocznie żyć nanowo, tego nikt powiedzieć nie może, jakkolwiek każdy z nas, każdego dnia jest naczyniem obrazu tej wielkiej tajemnicy.

Tedy niepodobna słowami, a tem mniej dokładnie określić, kiedy i jak mrok nocnej dzwonnicy zmienił się w jasność dnia; kiedy i jak samotna wieża zaludniła się mirjadami postaci, kiedy i jak ciche: „pędź go, dręcz!“, monotonnie dzwoniące poprzez sen i omdlenie Toba, ukształtowało się w wyraźny głos, który do czuwają-

cego jego ucha krzyknął: „zbudź go ze snu!“ Niepodobna też określić, kiedy i jak otrząsnął się z sennej, zagmatwanej myśli, że wszystkie te wydarzenia były rzeczywiste, obok całego orszaku innych, nieistniejących. To jednak pewne, że kiedy Toby przebudził się na deskach, na których leżał i stanął na równych nogach, przed oczyma jego przesunęło się takie oto widziadło upiorne:

Wieża, ku której sprowadził go czar, zaludniona była karzełkowatemi zjawami, duchami, elfami dzwonów, widział ich ustawicznie, skaczące, fruwające spadające z dzwonów. Niektóre znajdowały się obok niego na ziemi, inne bujały w powietrzu, inne wspinały się po sznurach; jeszcze inne spoglądały nań przez szczeliny i dziury w ścianach; zataczały w okół niego coraz większe koła i umykały jak marszczące się kręgi wodne, gdy je nagle zmąci kamień, z rozmachem wrzucony do wody. Widział je w najrozmaitszych postaciach i odmianach. Widział brzydkie i ładne, chrome i cudnie piękne. Widział młode i stare, dobre i złe, wesołe i ponure; widział, jak niektóre z nich tańczyły, słyszał, jak śpiewały; widział też, jak niektóre wyrywały sobie

włosy, inne zaś wyły przeraźliwie. Roiło się od nich w powietrzu. Widział. jak bezustannie przybywały i oddalały się. Widział, jak spuszczały się na dół, wzbijały ku górze, szybowały w dal, to znów przycupały tuż obok, w gorączkowym pospiechu i niepokoju. Kamienie, cegły, ściany były dlań niemal taksamo przezroczyste, jak dla tych wszystkich istot. Widział je uwijające się po domach, u łóżek ludzi w śnie pogrążonych; widział jak uspakajały spiących, innych znów smagały maczugami, wrzeszcząc im w same uszy; widział, jak u niejednego wezgłowia śpiewały słodkie melodje, rozweselały głosami ptasząt i wonią kwiatów; widział, jak niektóre zapomocą czarodziejskich zwierciadeł zakłócały spokój spiących strasznemi widziadłami.

Widział te istoty, uwijające się nietylko wśród spiących, lecz także wśród czuwających; spełniały czynności najrozmaitsze i wzajem się wykluczające, posiadając czy przybierając naturę najbardziej odmienną. Jedne z nich przypinały sobie mnóstwo skrzydeł, by spotęgować swą szybkość; inne obarczały się łańcuchami i ciężarami, by się poruszać jak najpowolniej. Widział, jak jedne poru-

szały sercem dzwonów w jedną, inne w przeciwną stroną, a jeszcze inne usiłowały je unieruchomić. Widział, jak jedne urządzały wesele, inne pogrzeb, w jednej izbie odbywały się wybory, w drugiej urządzano bal, a wszędzie ustawiczny, niezmordowany ruch.

Całkiem oszołomiony olbrzymią liczbą tych ciągle się zmieniających dziwnych istot i strasznym rozgwarem dzwonów, które przez cały ten czas biły i dźwięczały, Trotty oburącz chwycił się drewnianego słupa i trupiobladą twarz zwracał to w jedną to w drugą stronę w niemem bezgranicznem zdumieniu.

Gdy tak się rozglądał, dzwonienie nagle ustało. Dokonała się zmiana raptowna! Cały orszak zniknął; postacie się rozwiały, utraciły swą szybkość; próbowały uciekać, ale w tejże chwili rozpadały się, rozpływały w powietrzu i umierały. I żadne nowe zastępy nie zajmowały ich miejsca. Jeden opóźniony maruder szybko zeskoczył z wielkiego dzwonu i stanął na nogach; zmarł jednak, zanim się zdołał obrócić. Niektóre z tych, co dotąd tańczyły w dzwonicy i wykonywały szalone skoki, pozostały tam i pląsały jeszcze przez chwilę, ale za

każdym obrotem słabsze były i wątlejsze, a po chwili wszystkie dosięgnął los ich towarzyszy. Najdłużej pozostał przy życiu mały garbusek, który przycupnąwszy w kąciku wirował tak długo i tak zapamiętale, że naostatku pozostała z niego tylko jedna noga, a później już tylko stopa, aż wreszcie skurczył się cały i zniknął, a wtedy cisza zupełna zaległa starą wieżycę.

I wtedy dopiero, nie wcześniej, Trotty zobaczył w każdym dzwonie postać brodatą wielkości i kształtu dzwonu. Niepojęte! postać, a jednak będąca dzwonem samym. Olbrzymie, poważne, o wyrazie posępnym, postacie te przyglądały mu się, gdy tak stał znieruchomiały, jakby przygwożdżony do miejsca.

Postacie tajemnicze i straszliwe, które nie opierając się na niczem, zdawały się niejako unosić w wieżycy, osłoniętemi głowami sięgając pułapu, nieruchome i mroczne. Zwiewne i mroczne, jakkolwiek dostrzegł je w świetle od nich samych bijącem — bo wszak nie było nikogo innego — upiorne usta zakrywały sobie przesłoniętemi dłońmi.

Nie mógł dość szybko spuścić się przez otwór w podłodze, gdyż opu-

ściła go cała władza ruchu. W przeciwnym razie byłby to uczynił — ba, byłby się wolał zrzucić ze szczytu wieży, niż czuć na sobie strzegące go oczy, które byłyby go strzegły i badały nawet wtedy, gdyby im wyrwano źrenice.

Przytem lęk i trwoga przed samotnem miejscem i ciemną okropną nocą, obejmowały go, niby ręka upiorna. Odcięcie od wszelkiej pomocy, wysokie, ciemne, duchami przepełnione kręte schody, pomiędzy nim a ziemią, na której żyli ludzie; ta wyżyna, na której nawet lot ptaków za dnia widziany, przyprawiał go o zamęt głowy; oddalenie od wszystkich dobrych ludzi, którzy o tej porze spokojnie spali w swych łóżkach — wszystko to sprawiało, że raz po raz mroziła go nie myśl, a raczej fizyczne uczucie całej grozy położenia. A tymczasem oczy jego i trwożne myśli krążyły koło strażników, którzy niepodobni wprawdzie do żadnej postaci z tego świata, a to zarówno z powodu otaczającego ich mroku, jakoteż wyglądu i kształtów, oraz nadnaturalnego unoszenia się w powietrzu, byli niemniej tak widoczni, jak ciężkie dębowe stołki, belki i krokwie, podtrzymujące dzwony. Otaczały je one istnym lasem obrobionego drzewa, a z ich skrzyżowań

i plątaniny, niby konary tego do upiornego użytku zeschłego lasu, ponurzy ci, nieruchomi strażnicy, pełnili swą służbę.

Powiew zimny i przenikliwy, z westchnieniem przebiegł wieżycę. Gdy ścichł, ozwał się wielki dzwon, czy też duch dzwonu.

— Co to za gość? spytał. Głos jego był głęboki i ponury, a Tobowi się zdawało, że inne postacie wtórują mu echem.

— Zdawało mi sie, że dzwony wołały mnie po imieniu — odrzekł Trotty, podnosząc ręce gestem błagalnym. — Sam nie wiem, poco tu jestem i poco przyszedłem. Słuchałem dzwonów przez długie lata i nieraz mi sprawiały przyjemność.

— A ty im dziękowałeś — rzekł dzwon.

— Po tysiąc razy — odrzekł Trotty.

— Jak?

— Jestem biedny — jąkał Trotty — więc tylko słowami mogłem im dziękować.

— A zawsze im dziękowałeś? pytał duch dzwonu. — Czy nigdy nas nie obraziłeś słowem?

— Nie — szybko odpowiedział Trotty.

— Czy nigdy nie powiedziałeś o nas nic złego, fałszywego, ujemnego? pytał dalej duch dzwonu.

Trotty chciał właśnie powiedzieć: „nigdy!“ gdy nagle się zawahał, mocno pomieszany.

— Głos czasu — mówiła zjawa — woła do człowieka: idź naprzód! Czas istnieje dla jego postępu, jego udoskonalenia, dla nadania mu większej wartości, ulepszenia jego życia, zbliżenia go do celu, widniejącego mu przed oczyma i w jego świadomości, a wytkniętego wówczas jeszcze kiedy powstał czas i on. Czasy mroku, niegodziwości i gwałtu przychodziły i mijały. Niezliczone miljony ucierpiały i żyły i umierały, by wskazać drogę leżącą przed nimi. Kto próbuje się cofnąć lub przystanąć, powstrzymuje potężną machinę, — która niepowołanego zabije, a z powodu chwilowego przystanku, pędzić musi następnie z tem większą chyżością i rozpędem!

— Tego ja, o ile wiem, nie robiłem nigdy — rzekł Trotty. — A jeśli to robiłem, to chyba całkiem przypadkowo i z pewnością bym tego nie robił.

— Kto czasowi lub jego sługom — mówił duch dzwonu wkłada do ust żale za czasami, które uznane zostały jako zbyt płytkie, pozostawiwszy po sobie ślady tak wyraźne, że dostrzegłby

je ślepiec — żale, które o tyle tylko służą teraźniejszości, iż wskazują ludziom, jak bardzo potrzebną jest ich pomoc, skoro można słuchać żalów za taką przeszłością — kto to czyni, postępuje niesłusznie. A tę niesłuszność popełniłeś ty wobec dzwonów.

Pierwszy nadmierny lęk Toba minął. Czuł jednak dla dzwonów miłość i wdzięczność, więc usłyszawszy, że oskarżają go o tak wielką winę, uczuł w sercu ból i skruchę.

— Gdybyście wiedziały — rzekł, błagalnie składając ręce — a może i wiecie... Gdybyście wiedziały, jak często byłyście mi towarzyszami, jak często napełniałyście mnie otuchą, gdy byłem zgnębiony; jak długo byłyście rozrywką mojej Małgosi (jedyną może, jaką miała w życiu), gdy matka jej umarła i pozostało nas tylko dwoje, to z powodu niebacznego słowa, nie miałybyście do mnie urazy.

— Kto w dźwiękach dzwonów słyszy lekceważenie jakiejkolwiek nadziei czy radości, troski lub zgryzoty udręczonej ludzkości, kto słyszy w nas odpowiedź na wiarę, mierzącą ludzkie namiętności taksamo, jak odważa racje nędznego pożywienia, o które ludzkość troska się

i marnieje; ten nam wyrządza krzywdę. Taką krzywdę ty nam wyrządziłeś — odpowiedział dzwon.

— To uczyniłem — rzekł Trotty — och, wybaczcie!

— Kto w nas słyszy echo nędznego ziemnego robactwa, ciemiężycieli natur złamanych i upokorzonych, a przeznaczonych jednak do czegoś wyższego, niż takie czerwy przejściowe mogą sobie wyobrazić — mówił dalej duch dzwonu — kto to słyszy w naszych dźwiękach, ten nas krzywdzi; przeto ty nas skrzywdziłeś.

— Bezwiednie — rzekł Trotty — nieświadomie. Ja tego nie chciałem.

— A naostatku i co najgorsza — mówił znów dzwon — kto odwraca się od upadłych i pohańbionych swego rodu, kto ich uważa za straconych, miast współczującem okiem szukać niestrzeżonej przepaści, z której stoczyli się od dobra, jeszcze w upadku czepiając się skrawka utraconego gruntu, trzymając się go, gdy konali w głębi, okryci ranami, ten krzywdę wyrządza niebu i ludziom, czasowi i nieśmiertelności. A tę krzywdę ty wyrządziłeś.

— Litości! zawołał Trotty, padając na kolana — miłosierdzia!

— Posłuchaj! rzekł cień.

— Posłuchaj! zawołały inne cienie.

— Posłuchaj! ozwał się jasny głos dziecięcy, który Tobowi wydał się znanym.

W kościele na dole cicho zabrzmiały organy. Stopniowo tony ich potężniały, melodja wzbijała się ku sklepieniu, napełniając chór i nawę. Coraz silniejsze, rozprzestrzeniały się coraz dalej i dalej, płynęły coraz wyżej i wyżej, budząc czujące serca w potężnych dębowych słupach, w wydrążonych dzwonach, w żelazem obitych drzwiach, w kamiennych schodach, aż nie mogąc się pomieścić w murach wieżycy, wzleciały ku niebu.

Nic dziwnego, że pierś starego człowieka, nie mogła pomieścić dźwięków tak potężnych. Wyrwały się więc z tego ciasnego więzienia potokiem łez, a Toby rękoma przesłonił tobie twarz.

— Posłuchaj! rzekł cień.

— Posłuchaj! zawołały inne cienie.

— Posłuchaj! rzekł głos dziecięcy.

Była to melodja smutna, posępna, pieśń pogrzebowa. A wsłuchując się w nią, Trotty rozpoznał wśród śpiewaków głos swego dziecka.

— Ona umarła — wykrzyknął stary człowiek — Małgosia umarła. Duch jej mnie woła. Słyszę go.

— Duch twej córki opłakuje zmarłe i przyłącza się do zmarłych — zmarłe nadzieje, zmarłe złudzenia, zmarłe sny młodości — odparł dzwon — lecz ona żyje. Z jej życia naucz się żywej prawdy. Naucz się od istoty, sercu twemu najdroższej, jak źli są ci, którzy złymi przyszli na świat. Spojrz, jak pączek ten, płateczek po płateczku opada z najpiękniejszej szypułki i spojrz, jaki jest biedny i smutny. Idź za nim! W rozpacz!

Wszystkie cienie wyciągnąwszy prawe ręce, wskazywały ku dołowi.

— Duch dzwonów będzie ci towarzyszył — rzekła postać — idź, on pójdzie za tobą.

Toby się odwrócił i ujrzał — dziecko! Dziecko, które Will Fern niósł na ulicy, dziecko, nad którem czuwała Małgosia, lecz które teraz spi.

— Ja sam je niosłem dziś wieczór — rzekł Trotty — w tych oto ramionach.

— Pokaż mu, co on nazywa sobą samym — rzekły ciemne postacie, jedna za drugą.

Wieża rozwarła się u jego stóp. Spojrzał w dół i ujrzał swą własną postać, leżącą na ziemi, na polu, zdruzgotaną i bez ruchu.

— Już nie żyje — rzekł Trotty. — Umarł!

— Umarł! równocześnie powtórzyły wszystkie postacie.

— Litościwe nieba! A Nowy Rok?

— Minął — odpowiedziały postacie.

— Co? spytał drżąc. — Zabłąkałem się w ciemności, dostałem się na zewnątrz wieży i runąłem z niej na ziemię — przed rokiem?

— Przed dziewięciu laty — objaśniły postacie.

Udzielając tej odpowiedzi, cofnęły swe wyciągnięte ręce i w miejscu gdzie stały ich postacie, teraz znajdowały się dzwony.

I poczęły dzwonić, bo nadeszła ich pora. I znów zbudziły się do życia olbrzymie cieni zjaw, znów poczęły się uwijać i pełnić różnorodne zajęcia, jak poprzednio. I znów zniknęły za zmilknięciem dzwonów i zapadły się w nicość.

— Kto to? spytał Trotty swego przewodnika. — Jeśli nie oszalałem, to kto one?

— Duchy dzwonów. Ich dźwięki w powietrzu — odpowiedziało dziecko. — One przybierają postać i zajęcia, zrodzone z myśli i nadziei śmiertelników, oraz z ich wspomnień.

— A ty — rzekł Trotty zmieszany — kim ty jesteś?

— Cicho, cicho — rzekło dziecko — spojrz tu.

W ubogiej niskiej izbie, zajęta szyciem, ukazała się oczom jego Małgosia, jego własna, kochana córka. Nie próbował złożyć pocałunku na jej policzku, nie usiłował przycisnąć jej do kochającego serca; wiedział, że te pieszczoty już nie dla niego. Powstrzymał tylko oddech urywany i otarł łzy, zaćmiewające mu oczy, by ją tylko mógł widzieć.

Ach, jakże zmieniona, jak zmieniona! Jasne spojrzenie, jakże zamglone! Róże policzków, jak zwiędłe! Piękna była jak zawsze. Ale nadzieja, nadzieja! Ach, gdzież jest ta nadzieja, która doń mówiła jak żywy głos?

Podniosła oczy od pracy i spojrzała na towarzyszkę. Trotty poszedł za jej spojrzeniem i cofnął się przerażony.

Na pierwszy rzut oka poznał ją w dorosłej już dziewczynie. W długich jed-

wabistych włosach widział tesame kędziorki, koło ust widział tensam wyraz dziecięcy, w oczach, badawczo teraz utkwionych w Małgosi, poznał tosamo spojrzenie, jakiem obrzuciła jej twarz, kiedy ją przyniósł do domu!

Ale co to?

Trwożnie wpatrując się w twarz, dostrzegł w niej coś nieznanego; coś uroczystego, nieokreślonego, niewytłómaczalnego, wyrażającego zaledwie myśl tego dziecka... jakiem jeszcze być mogło z wyglądu. A jednak było to tosamo dziecko, tosamo i nosiło jeszcze tęsamą sukienkę.

— Posłuchaj, rozmawiają.

— Małgosiu — wahająco poczęła Lilly — jak ty często odrywasz wzrok od pracy, by na mnie spojrzeć!

— Czy moje spojrzenia tak się zmieniły, że cię trwożą? spytała Małgosia.

— Och, moja kochana, chyba żartujesz. Czemu się nie uśmiechasz Małgosiu, patrząc na mnie?

— Przecież się uśmiecham. Czy nie? odpowiedziała, uśmiechając się do Lilly.

— Tak, teraz się uśmiechasz — rzekła Lilly — ale to się teraz zdarza tak rzadko. Gdy sądzisz, że jestem zajęta i nie pa-

trzę na ciebie, masz twarz taką strapioną i zatrwożoną, że nie mam prawie odwagi spojrzeć na ciebie. Co prawda, w tem naszem ciężkiem, mozolnem życiu mało mamy powodu do radości, ale dawniej byłaś przecież taka wesoła?

— Czy teraz nią nie jestem? odparła Małgosia dziwnie niespokojnie i wstała, by ją uściskać. — Lilly, czy ja ci może jeszcze utrudniam to nasze życie, i bez tego już dość ciężkie?

— Ty byłaś jedyną istotą — rzekła Lilly, całując ją gorąco — która mi właśnie dodawałaś otuchy, jedyną istotą, dzięki której życie sprawiło mi pewną radość. Taka praca, taka ciężka praca! Tyle godzin i tyle dni, tyle długich, długich nocy beznadziejnej, żmudnej, nieskończonej pracy, nie dla gromadzena skarbów, czy prowadzenia życia wygodnego i wesołego lub chociażby skromnego, lecz tylko dla zdobycia marnego kawałka chleba, by nie zginąć z głodu i podtrzymać w sobie świadomość tego naszego ciężkiego losu. O Małgosiu, Małgosiu — zawołała boleśnie, oplątając ją ramionami — jak może świat być tak okrutnym i obojętnie przyglądać się naszej nędzy!

— Lilly—rzekła Małgosia uspakajająco, odgarniając jej włosy z załzawionej twarzyczki — Lilly, ty, taka młoda i ładna!

— Małgosiu — przerwała jej Lilly, odsuwając ją nieco i błagalnie patrząc jej w twarz — to właśnie najgorsze, najgorsze ze wszystkiego! Gdybym to już była starą! Gdybym miała twarz zwiędłą i pomarszczoną, to byłabym też wolną od myśli, wiodących mnie na pokuszenie w latach młodości.

Trotty się odwrócił, by spojrzeć na swego przewodnika. Ale duch dziecka uciekł i już go nie było.

On sam również nie pozostał na temsamem miejscu, gdyż Sir Joseph Bowley, przyjaciel i ojciec biednych, wydawał wielką ucztę w pałacu Bowley w dzień urodzin lady Bowley; a ponieważ lady Bowley urodziła się była w dzień Nowego roku (co pisma lokalne uważały za wyraźną wskazowkę Opatrzności, że lady Bowley został wyznaczony nr. 1), więc uczta odbywała się w święto Nowego Roku.

W pałacu Bowley roiło się od gości. Był tam pan o czerwonej twarzy i Mr. Filer i wielki Alderman Cute — Alderman Cute żywił bowiem gorące sympatje

dla ludzi z dobrego towarzystwa, a jego stosunek do Sir Josepha stał się znacznie bliższym, od chwili napisania owego uprzejmego listu; od tego czasu należał niemal do przyjaciół domu. Było jeszcze mnóstwo innych gości, a był także duch Toba, snujący się niespokojnie i rozglądający się za swym przewodnikiem.

W wielkiej sali miał się odbyć uroczysty obiad, a Sir Joseph Bowley, jako znakomity przyjaciel i ojciec biednych, miał w tym duchu wygłosić wielką mowę. Niektórzy z tych jego przyjaciół i dzieci mieli w innej sali spożywać puding, a na dany znak mieli ci przyjaciele i dzieci przyłączyć się do swych przyjaciół i ojców i stworzyć pewnego rodzaju zebranie familijne tak wzruszające, że ani jedno oko męskie nie miało pozostać suche.

Ale miało się stać coś jeszcze donioślejszego. Coś jeszcze bardziej wzruszającego. Sir Joseph Bowley, baron i członek parlamentu, miał ze swymi chłopami zagrać w kręgle, osobiście zagrać w kręgle.

— To przypomina zupełnie — zauważył Alderman Cute — czasy starego króla Henryka, mocnego króla Henryka,

grubego króla Henryka. Ach, co za piękny charakter!

— Bardzo — sucho rzekł Mr. Filer.— O ile się to odnosi do jego małżeństw i mordowania żon. Bo nawiasem mówiąc, więcej jest kobiet, niż potrzeba.

— Ty się będziesz żenił z pięknemi paniami i nie każesz ich mordować, nieprawdaż? zwrócił się Alderman Cute do dwunastoletniego przedstawiciela rodu Bowleyów.— Co za miły chłopiec! Zanim się opatrzymy, będziemy tego małego dżentlemana mieć w naszym parlamencie — perorował Alderman, ujmując chłopca za ramiona i przyglądając mu się z uwagą, do jakiej tylko był zdolny. — Będziemy słyszeć o jego zwycięstwie przy wyborach, jego przemówieniach w izbie, o godnościach, ofiarowywanych mu przez ministerstwo, niezwykłych jego triumfach na wszystkich polach. Ach, i sami też w Radzie gminnej wygłaszać będziemy skromne mowy na jego cześć. Tak, zanim się opatrzymy, już to się urzeczywistni.

— O, całą różnicę stanowią tu trzewiki i pończochy — myślał Trotty, lecz serce jego lgnęło do tego chłopca przez miłość do tych chłopców bez bucików i pończoch,

które mogły być dziećmi biednej Małgosi, a o których przepowiadał Alderman Cute, że będą złe i zepsute. — Ryszard — westchnął starzec, wałęsając się wśród towarzystwa — nie mogę znaleść Ryszarda, gdzie on jest?

Zapewne nie tam, jeśli jeszcze żyje! Ból i samotność całkiem go wytrąciły z równowagi. Wciąż jeszcze błąkał się wśród dostojnego towarzystwa, rozglądając się za swym przewodnikiem, by go spytać: — Gdzie Ryszard? Gdzie jest Ryszard? Chodząc to tu, to tam spotkał Mr. Fisha, sekretarza Sir Josepha, wielce zaniepokojonego.

— Na Boga — rzekł Mr. Fish — gdzie jest Alderman Cute? Kto widział Aldermana?

— Kto widział Aldermana? Dobry Boże, któżby go nie widział? Przecież on taki rozsądny, taki przystępny, tak uwzględniający naturalne pragnienie ludzi łaknących jego widoku, że jeśli popełniał jakikolwiek błąd, to chyba ten, że ustawicznie się ludziom rzucał w oczy. A gdzie było dobre towarzystwo, tam z pewnością nie brakło Aldermana, którego pociągało oczywista, powinowactwo wielkich dusz.

Kilka głosów odpowiedziało, że Alderman znajduje się w orszaku, otaczającym Sir Josepha. Mr. Fish przecisnął się do niego i podszedł z nim do okna, by pomówić na osobności. Trotty przyłączył się do nich. Nie z własnego popędu. Czuł, że jakaś siła nieznana skierowuje go ku nim.

— Kochany panie Cute — szedł Mr. Fish — cofnijmy się nieco. Straszny wypadek! W tej chwili otrzymałem wiadomość. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli Sir Josephowi nic o tem w dniu dzisiejszym nie powiemy. Pan zna Sir Josepha, więc mi poradzi, jak postąpić. Wypadek straszny i godny pożałowania!

— Mr. Fish, kochany Mr. Fish — co się stało? spytał Alderman. — Chyba nie rewolucja, co? A także nie bunt przeciw władzy?

— Bankier Deedles — mówił sekretarz ciężko dysząc — Deedles & Co., który tu dziś miał przybyć, człowiek tak poważany...

— Chyba nie zbankrutował? wykrzyknął Alderman. — To niemożliwe!

— Zastrzelił się!

— Wielki Boże!

— Przy swym kantorze przyłożył sobie do ust rewolwer — opowiadał Mr. Fish

— że cały mózg się rozbryzgał. Bez powodu — stosunki majątkowe znakomite.

— Stosunki! wykrzyknął Alderman.— Człowiek olbrzymio bogaty. Jeden z najszanowniejszych ludzi. I samobójstwo! Śmierć z własnej ręki!

— Dziś rano — dokończył Mr. Fish.

— Och, mózg, mózg! krzyknął pobożny Alderman, wznosząc ręce ku niebu. Och, nerwy, nerwy! Tajemnice maszyny, zwanej człowiekiem! Jakże łatwo zrobić ją bezużyteczną! Jakież z nas biedne istoty! Może jakaś biesiada, Mr. Fish! Może postępowanie jego syna, który, jak słyszałem, prowadzi życie lekkomyślne i zaciąga długi na imię ojca! Człowiek tak szanowany! Jeden z najszanowniejszych ludzi, jakich znam. Wypadek godny pożałowania,nieszczęście publiczne!Postawię wniosek, by przywdziano głęboką żałobę. Człowiek tak szanowany! Ale ktoś nami rządzi. Musimy się poddać jego wyrokom!

Cóż to, panie Alderman? Ani słowa o wytępieniu samobójstwa? Sędzio! pomyśl o twem poczuciu etycznem i szumnych frazesach! Chodź, panie Alderman. Ustaw obydwie szale swej wagi. Na jedną, pustą, rzuć biedną kobietę, nie mającą chleba, gdy źródło natury wyschło

w niej od głodu i nędzy, a dziecko jej pozbawione jest praw, należnych mu od czasów Ewy. Zważ tych dwoje, o, ty Danielu, wydający wyroki! Zważ ich w oczach tysiący nieszczęśliwych, słuchających i pamiętających okropną farsę, jaką przed nimi odgrywasz. Albo przypuśćmy, że stracisz zmysły — a niewiele ci brak do tego — i targniesz się na swe życie, jako przestroga dla tobie podobnych (jeśli tacy istnieją), gdy swą nadętą nikczemność krakać będą istotom zrozpaczonym, stojącym nad skrajem obłędu. Co wówczas?

Słowa te wydobyły się z piersi starca, jak gdyby inny głos przez niego mówił. Alderman Cute zobowiązał się w obec Mr. Fisha, że pomoże mu zawiadomić Sir Josepha o bolesnej katastrofie, gdy uroczysty ten dzień przeminie. Poczem w gorżkiej boleści, ściskając rękę Mr. Fisha, rzekł: — Człowiek tak godny! Poczem dodał, że nawet on nie rozumie, jak mogą się na świecie dziać także nieszczęścia.

— Możnaby niemal przypuszczać — mówił Alderman Cute — że w urządzeniu fabryki społecznej działają niekiedy siły wywrotowe. Bracia Deedles!

Gra w kręgle znakomicie się udała. Sir Joseph rzucał kule z wielką zręcznością; jego potomek grał z mniejszym rozmachem, a wszyscy doszli do przekonania, że teraz, gdy baron i syn barona grają w kręgle, wieś dźwignie się z błyskawiczną szybkością.

O oznaczonej godzinie podano do stołu. Trotty bezwolnie udał się z innymi do wielkiej sali, czując, że wiedzie go coś, silniejszego od jego woli. Widok był uroczy. Panie piękne, goście weseli, ożywieni, w dobrych humorach. Gdy otworzono drzwi, a przez nie wpłynęła fala ludzi w strojach wieśniaczych, piękno widowiska dosięgło szczytu. Ale Trotty mamrotał coraz częściej: — Gdzie Ryszard? Powinien ją pocieszać i być jej pomocnym! Nie widzę tu Ryszarda.

Wygłoszono kilka mów i pito za zdrowie lady Bowley, a Sir Joseph Bowley wyraził swe podziękowanie i wypowiedział swą wielką mowę, w której przy pomocy rozmaitych argumentów dowodził że jest urodzonym ojcem i przyjacielem itd., poczem wniósł toast na swych przyjaciół i dzieci i na godność pracy. Aż tu jakieś wzburzenie w głębi sali pociągnęło uwagę Toba. Po chwilowej

wrzawie, hałasie i sprzeczce, jakiś mężczyzna przecisnął się przez ciżbę i stanął na przedzie.

Nie był to Ryszard, ale ktoś, o kim nieraz myślał i kogo oczekiwał. Przy słabem oświetleniu mógłby się może pomylić co do tożsamości tego starego, siwego, pochylonego, wynędzniałego człowieka, ale w jasnem świetle lamp, padającem na jego potężną głowę, odrazu poznał Willa Ferna.

— Co to znaczy? — wykrzyknął Sir Joseph, powstając. Kto pozwolił wejść temu człowiekowi? To zbrodniarz, którego zamknięto w więzieniu. Mr. Fish, bądź pan tak dobrym...

— Jedną chwilkę — rzekł Will Fern — jedną chwilkę, jaśnie panie. Jaśnie pani urodziła się w dzień dzisiejszy, równocześnie z Nowym Rokiem. Proszę mi użyczyć jednej chwilki czasu.

Lady Bowley szepnęła mężowi parę słów, a Sir Joseph z wrodzoną mu godnością, znów zajął swe miejsce,

Obdarty gość — bo Will Fern ubrany był nędznie — rozejrzał się w około i głębokim ukłonem okazał gościom swe uszanowanie.

— Jaśnie państwo — rzekł — pili wła-

śnie za pomyślność robotników. Proszę, spojrzcie na mnie.

— Przychodzicie prosto z więzienia — rzekł Mr. Fish.

— Prosto z więzienia — potwierdził Will — i to nie po raz pierwszy ani drugi, ani nawet trzeci lub czwarty, Mr. Filer zauważył mrukliwie, że kilkakrotne uwięzienie przynosi mu hańbę i że się powinien wstydzić.

— Jaśnie państwo— powtórzył Will Fern — spojrzcie na mnie. Widzicie, że jestem w takiem położeniu, że mi już nie potraficie zaszkodzić, ani też pomóc; albowiem czasy, kiedy wasze dobre słowa czy dobre czyny, mogły mi się były na coś przydać — ręką uderzył się w pierś i potrząsnął głową — czasy te ulotniły się z zapachem zeszłorocznego bobu lub koniczyny. Pozwólcie jednak, bym za tych tutaj — ręką wskazał na zgromadzonych w sali robotników — wyrzekł parę słów, a jeśli macie ochotę, to i wy możecie raz usłyszeć szczerą prawdę.

— Niema tu nikogo, ktoby sobie życzył was mieć jako mowcę! rzekł gospodarz domu.

— Bardzo być może, Sir Joseph. Niemniej jest prawdą, .co chcę powiedzieć.

Otóż, jaśnie państwo, ja w tej miejscowości żyłem przez wiele lat. Możecie jeszcze dotąd oglądać moją chałupę. Setki razy bogate panie rysowały ją i malowały. Słyszałem, że na obrazie wygląda bardzo ładnie. Tylko że na obrazie niema deszczu ani śniegu, ani wichru. To też lepiej się ona nadaje do malowania, niż do mieszkania. Ja w niej jednak mieszkałem. Jak ciężkie i gorzkie w niej wiodłem życie, nie chcę nawet mówić. Każdego dnia i w każdej porze roku można się o tem przekonać.

Mówił taksamo, jak owego wieczora, gdy Trotty spotkał go na ulicy, tylko głos jego stał się głębszy i ostrzejszy, a od czasu do czasu drżał lekko. Nigdy jednak nie przybierał tonu namiętnego i rzadko też podnosił głos, opowiadając o sprawach tak prostych. — Ciężej to, niż jaśnie państwo przypuszczają — mówił — wyróść w takiem miejscu na człowieka uczciwego. Że ja wyrosłem na człowieka, nie na zwierzę, jakiem byłem dawniej, przemawia jednak na moją korzyść. Obecnie stan mój jest taki, że na nic mi się już nie zdadzą słowa ni czyny. Wszystko dla mnie skończone.

— Cieszy mnie, że człowiek ten przy-

szedł — rzekł Sir Joseph, wesoło rozglądając się po otoczeniu. — Proszę mu nie przerywać. Zdaje się, że Opatrzność sama go tu zesłała. Jest on przykładem, żywym przykładem. Wierzę i jestem przekonany, że moi przyjaciele z tego skorzystają.

— Jakoś się przebijałem — mówił Fern po chwili milczenia — tak, czy owak. Ani ja, ani nikt inny, nie mógłby powiedzieć, jakim sposobem; ale było to życie tak ciężkie, że nie mogłem przybierać miny wesołej i udawać, że jestem inny, niż w rzeczywistości nim byłem. Wy, panowie, zasiadający w parlamencie, na widok człowieka o twarzy niezadowolonej, mówicie do siebie: „To człowiek podejrzany“. Mam pewne wątpliwości, powiadacie, co do tego Willa Ferna. Trzeba się mieć na baczności przed tym ptaszkiem. Nie powiem, aby to z waszej strony było czemś nienaturalnem. Ale powiadam, że od tej chwili wszystko, cokolwiek Will Fern zrobi czy nie zrobi idzie na jego rachunek!

Alderman Cute wetknął wielkie palce obydwu rąk do kieszeń kamizelki i rozparty w krześle, uśmiechał się i mrugał do stojącego w pobliżu kandelabra, jak gdyby chciał powiedzieć: — Oczywiście!

Czyż nie mówiłem? Zwykła gadanina! Niech was Bóg strzeże! Sprostamy temu wszystkiemu — ja i natura ludzka.

— Otóż, panowie — mówił Will Fern, wyciągając ręce przed siebie, a chuda jego twarz zaczerwieniła się na chwilę — pomyślcie tylko, jak wyglądają wasze ustawy, mające nas ścigać i prześladować, gdy do tego dojdzie. Próbuję żyć gdzieindziej. Wtedy staję się odrazu włóczęgą i awanturnikiem. Dalej z nim do więzienia! Idę do waszych lasów strącać orzechy i odłamuję — kto tego nie robi? — jedną, czy dwie gałązki. Do więzienia z nim! Wasz leśny widzi mnie w jasny dzień w pobliżu ogrodu ze strzelbą na plecach. Do więzienia z nim! Wydostawszy się z więzienia, chcę się z nim naturalnie policzyć i rzucam parę słów obelżywych. Do więzienia z nim! Utnę sobie kij z drzewa. Do więzienia z nim! Zjem zgniłe jabłko lub buraka. Do więzienia z nim! Więzienie odległe stąd o dwadzieścia mil, więc wyszedłszy na wolność, proszę po drodze o jakąś drobnostkę. Do więzienia z nim! Jednem słowem, policjant, leśny, strażnik, spotykają mnie na każdym kroku i za każdym razem przychwytują mnie na jakimś wy-

stępku. Do więzienia z nim! To włóczęga i znany aresztant; areszt stał się jedynem jego domostwem.

Alderman z przekonaniem potakiwał głową, jakby chciał rzec: Tak, i bardzo dobrem domostwem!

— Alboż to mówię dla swego dobra? mówił dalej Fern. — Kto mi może zwrócić moją swobodę, moje dobre imię, moją niewinną siostrzenicę? Wszyscy lordowie i wszystkie wielkie panie całej Anglji uczynić tego nie mogą. Jednakowoż posłuchajcie panowie: z innymi przynajmniej postępujcie inaczej. Dajcie nam, przez miłość Boga, lepsze pomieszkania od tych, w których przyszliśmy na świat; dajcie nam lepsze pożywienie, na które pracujemy, dajcie nam łagodniejsze ustawy, by nas na właściwą nawrócić drogę, jeśli zbłądzimy, i nie stawiajcie nam przed oczyma, gdziekolwiek się zwrócimy, kajdan i aresztów. Wtedy z całą gotowością i wdzięcznością robotnik przyjmie i uczyni dla was wszystko, co tylko człowiek uczynić zdoła. Bo serce jego jest cierpliwe, spokojne i chętne. Ale wpierw musicie w nim zbudzić odpowiednie uczucia. Bo czy on będzie szczątkiem czy ruiną człowieka,

jak ja obecnie, czy też podobny jest do tych, co tu przed wami stoją, wobec was czuje się całkiem obcym. Więc panowie, odzyskajcie jego serce, zanim nadejdzie dzień, kiedy pod wpływem jego zmienionych pogłądów, nawet biblja będzie mu brzmieć inaczej i zacznie doń mówić, jak zdawała się do mnie mówić w więzieniu: „Dokąd ty pójdziesz, ja pójść nie mogę. Gdzie ty mieszkasz, tam ja nie mieszkam. Twój lud nie jest moim ludem, a twój Bóg nie jest moim Bogiem".

W sali wszczął się nagle dziwny ruch i niepokój. Trotty myślał w pierwszej chwili, że kilku ludzi wstało, by wyrzucić Willa Ferna i dlatego wyglądają teraz inaczej. Ale już w najbliższej chwili spostrzegł, że sala i całe towarzystwo zniknęły mu z przed oczu, natomiast ujrzał znów swą córkę, schyloną nad robotą, ale w izbie jeszcze niższej i uboższej, niż poprzednio i bez Lilly.

Krosna, przy których tamta pracowała, stały na gzymsie i były przykryte. Krzesło, na którem siedziała, stało pod ścianą. Z tych drobnych szczegółów, a przedewszystkiem z bladej, zgnębionej twarzy Małgosi wyczytał historję całą! Och, któżby jej nie wyczytał!

Małgosia miała oczy utkwione w robocie dopóki się nie ściemniło, a gdy mrok zapadł, że już nie mogła rozróżniać nitek, zapaliła małe światełko i dalej pracowała. Wciąż jeszcze stary jej ojciec, niewidzialny bawił przy niej i na nią spoglądał; kochał ją, jakże gorąco ją kochał! — i mówił do niej pieszczotliwie o starych czasach i o dzwonach, jakkolwiek biedny Trotty dobrze wiedział, że ona go słyszeć nie może.

Minęła już wielka część wieczora, gdy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła. W progu stał mężczyzna, trzęsąc się na nogach, pijany, brudny, z śladami występku i nieumiarkowania na zniszczonej twarzy, a zmierzwione włosy i rozczochrana broda potęgowały jeszcze ten obraz zaniedbania. Jednakowoż przy bliższem przyjrzeniu można było odkryć w nim resztki urody i pewnego dostatku.

Przystanął na progu, czekając, czy mu wolno wejść, a ona cofając się o parę kroków, patrzyła nań milcząca i stroskana. Życzenie Toba się spełniło: zobaczył Ryszarda.

— Czy mogę wejść, Małgosiu?

— Tak wejdź tylko.

Dobrze, że Trotty go poznał, zanim

przemówił. W przeciwnym razie, na dźwięk jego ochrypłego szorstkiego głosu byłby myślał, że to kto inny, a nie Ryszard.

W izbie były tylko dwa krzesła. Podsunęła mu swoje, a sama stanąwszy o parę kroków od niego, czekała, co jej ma do powiedzenia.

On jednak usiadł i bezmyślnie wbił oczy w podłogę, z uśmiechem głupim, tępym, przedstawiając widok takiego upodlenia, takiej beznadziejności, takiego ostatecznego upadku, że ona rękoma zasłoniła sobie oczy i odwróciła głowę, by nie widział jej głębokiego wstrząśnienia.

Zbudzony szelestem jej sukni, czy innym jakim szmerem, podniósł głowę i zaczął mówić, jak gdyby dopiero co był wszedł:

— Wciąż jeszcze przy robocie, Małgosiu? Pracujesz do późnej nocy.

— Jak zawsze.

— A także o świcie?

— Także.

— Tak ona mówiła. Mówiła, że nigdy nie jesteś zmęczona, a przynajmniej nigdy się do tego nie przyznasz. Przez cały czas, kiedy mieszkałyście razem. Nawet wtedy nie, gdy omdlewałaś ze zmęczenia

i głodu. Ale mówiłem ci już o tem, kiedy tu byłem ostatnim razem?

— Tak — odrzekła — a ja cię prosiłam, byś mi nic więcej nie opowiadał. A ty dałeś mi uroczyste przyrzeczenie, że nigdy już tego nie zrobisz.

— Uroczyste przyrzeczenie — powtórzył z idjotycznym uśmiechem, bezmyślnie patrząc przed siebie. — Uroczyste przyrzeczenie. Tak!

Po chwilowej pauzie, jakby nawiązując do poprzedniego tonu, spytał z nieoczekiwaną żywością: — Co ja mam zrobić, Małgosiu? Co mam zrobić? Ona znów była u mnie.

— Znów — rzekła Małgosia składając ręce. Och, czy tak często o mnie myśli? Znów była?

— Jakie dwadzieścia razy — rzekł Ryszard. — Małgorzato, ona mnie wprost prześladuje. Biegnie za mną na ulicy i wsuwa mi to do ręki. Słyszę jej kroki cicho sunące po popiele, gdy jestem w kuźni. Ha! ha! nie często się to zdarza! A zanim odwrócę głowę, słyszę jej głos: — Ryszardzie, nie odwracaj się! Na miłość Boga, zanieś jej to! — Przynosi mi do mieszkania. Przysyła w listach. Puka do okna i kładzie na parapecie.

Co mam zrobić? Spojrz tylko.

Trzymał w ręku małą sakiewkę, dzwoniąc pieniądzmi.

— Zachowaj to — rzekła Małgosia — zachowaj! Jeśli znów przyjdzie, to powiedz jej Ryszardzie, że kocham ją całą duszą, że nigdy nie kładę się do snu, bym jej wpierw nie pobłogosławiła i nie pomodliła się za nią, że przy mej samotnej pracy ciągle o niej myślę, że dniem i nocą jestem przy niej że w chwili śmierci jeszcze o niej będę myśleć, ale że na to ja patrzeć nie mogę.

Powoli cofnął rękę i ściskając sakiewkę, rzekł z senną powagą:

— Przecież jej powiedziałem. Powiedziałem jej tak jasno, jak tylko w słowach powiedzieć można. Ten podarek odnosiłem przecież tyle razy i kładłem na jej progu. Ale gdy znów przyszła i stała przedemną, tak oko w oko, co miałem począć?

— Widziałeś ją? — wykrzyknęła Małgosia. — Widziałeś ją? O, Lilly, moja droga, moja słodka Lilly!

— Widziałem ją — mówił dalej, nie odpowiadając, lecz wciąż jeszcze zajęty swemi myślami. — Stała, drżąc cała i mówiła: — Jak ona wygląda, Ryszardzie? Czy wciąż jeszcze o mnie mówi? Czy

schudła? A moje miejsce przy stole — kto zajmuje moje dawne miejsce? A krosna, na których mnie uczyła haftować — czy je spaliła, Ryszardzie? Tak było. Tak do mnie mówiła.

Małgosia, tłumiąc westchnienia, pochyliła się nad nim, by nie uronić ani jednego słowa, a łzy jej spływały z oczu.

Łokcie wsparłszy na kolanach, całą postacią podany naprzód, jak gdyby to, co mówił, w nawpół zatartem piśmie widniało na podłodze, a on miał dopiero odczytać i złożyć, mówił dalej: — Ryszardzie, upadłam bardzo nisko, a możesz sobie wyobrazić, ile cierpiałam, gdy mi to zwrócono, a ja znów się na to zdobywam, by własnoręcznie znów to przynieść. Ale ty ją kiedyś kochałeś, jak daleko tylko pamięć moja sięga. Inni was rozdzielili; niepewność, wątpliwości, zazdrość, próżność oddaliły cię od niej. Ale ty ją przecież kochałeś, odkąd tylko pamiętam. Zdaje mi się, że to jest prawdą — rzekł, przerywając swe opowiadanie. Ale to nie należy do rzeczy. Ryszardzie, jeśli ją kiedykolwiek kochałeś, jeśli w pamięci zachowałeś to, co minęło i znikło, to raz jeszcze jej to zanieś! Jeszcze raz! Powiedz jej, jak bardzo cię prosiłam

i nalegałam. Powiedz jej, jak głowę złożyłam na twem ramieniu, gdzie spoczywała może jej głowa i jak pokornie cię prosiłam, Ryszardzie. Powiedz jej, że patrzyłeś na moją twarz i że cała piękność, którą ona tak sławiła, minęła całkowicie i pozostała tylko blada wychudła mara, nad którą by płakała, gdyby ją zobaczyła. Powiedz jej wszystko i jeszcze raz jej to zanieś, a ona już teraz nie odmówi, nie będzie tak bezlitosną!

Siedział zadumany, powtarzając ostatnie słowa, dopóki się znów nie ocknął.

— Nie przyjmiesz tego, Małgosiu? spytał, powstając.

Potrząsnęła głową przecząco i prosiła go, by odszedł.

— Dobranoc, Małgosiu.

— Dobranoc.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć, zdumiony jej bólem, a może też i współczuciem dla niego, przejawiającem się w drżeniu jej głosu. Był to odruch chwilowy, który postać jego ożywił dawnym odblaskiem. Ale trwało to tylko parę sekund. Następnie zwiesił głowę i odszedł, jak przyszedł, a owa iskra zgasłego ognia nie roznieciła w nim poczucia obecnego jego upodlenia.

Małgosia zmuszona była pracować, mimo udręki, bólu i dolegliwości fizycznych i duchowych. Usiadła i znów się zabrała do szycia. Noc głęboka, północ, a ona wciąż jeszcze pracuje.

Utrzymywała w piecyku słaby ogień, gdyż noc była bardzo mroźna, a od czasu do czasu wstawała, by rozżarzyć węgle. Dzwony biły pół do pierwszej, gdy pogrzebaczem przegarniała ogień, a gdy się podniosła z klęczącej postawy, usłyszała lekkie pukanie do drzwi. Zanim miała czas dać folgę zdumieniu, że ktoś przychodzi o tak późnej godzinie, drzwi się rozwarły.

O młodości, o urodo, przeznaczone do szczęścia, spojrzcie! O młodości, o urodo, błogosławione i błogosławiące wszystkiemu, co się z wami zetknie, i spełniające cele dobrotliwego swego Stwórcy, spojrzcie!

Spojrzała na wchodzącą postać i zawołała: — Lilly!

Szybko przypadła do niej, osunęła się na kolana i uczepiła się jej sukni.

— Wstań, Lilly droga! Wstań, dziecko moje!

— Nigdy, Małgosiu, nigdy! Tu, tu chcę być przy tobie, trzymać cię w mych

objęciach, czuć na mej twarzy twój oddech słodki!

— Lilly droga, Lilly ukochana, moje dziecko jedyne! Własna matka nie mogłaby cię kochać goręcej! Złóż głowę na mej piersi.

— Nigdy już, Małgosiu, nigdy! Gdy cię ujrzałam po raz pierwszy, klęczałaś przedemną. Teraz pozwól mi umrzeć na klęczkach przed tobą. Pozwól mi tu umrzeć!

— Wróciłaś do mnie! Dziecko ukochane, będziemy znów żyć razem, razem pracować, spodziewać się i razem też umrzemy!

— Ach, pocałuj mnie, Małgosiu! Opleć mnie ramionami! Przyciśnij do swej piersi! Spojrz na mnie życzliwie, ale nie podnoś mnie z klęczek. Pozwól mi tak pozostać u swych stóp, pozwól mi po raz ostatni patrzeć w twą twarz!

O młodości, o urodo, przeznaczone do szczęścia, spojrzcie! O młodości, o urodo, spełniające cele swego dobrotliwego Stwórcy, spojrzcie!

— Wybacz mi, Małgosiu! Droga, kochana, wybacz! Wiem, że to czynisz, widzę, że mi wybaczasz, ale powiedz mi to, Małgosiu, powiedz!

Powiedziała jej, przyciskając usta do twarzy Lilly, obejmując ramionami istotę — czuła to — złamaną.

— Niech ci Bóg wynagrodzi, najdroższa! Jeszcze raz mnie pocałuj! On jej pozwolił usiąść u stóp świętych i osuszyć je włosami. Małgosiu, tyle współczucia, tyle miłosierdzia!

Gdy umarła, duch powracającego dziecka niewinny i promienny, dotknął Toba i skinął doń ręką, by szedł dalej.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Ponowne przypomnienie upiornych postaci w dzwonach; ponowne słabe rozróżnienie ich dźwięków; rozpraszająca się świadomość, że widział raz po raz odnawiające się roje zjaw, aż zarysy ich zatraciły się w mnogości obrazów; nieokreślone uczucie, że minęło wiele lat — i oto Trotty, wiedziony przez ducha dziecka, znów znalazł się w towarzystwie ludzi.

Tęgich, czerwonych, zadowolonych ze siebie! Było ich tylko dwóch, ale czerwoni byli za dziesięciu. Siedzieli przed jasno buchającym płomieniem, przy niskim stoliku, a jeśli woń gorącej herbaty i grzanek nie zachowywała się tu dłużej, niż zazwyczaj, to chyba dopiero co stolik ten był nakryty. Wobec tego jednak, że filiżanki i spodki stały czyste na gzymsie, a mosiężny widelec do przewracania grzanek wisiał w swym kącie, wyciągając swe bezczynne cztery palce, jak gdyby mu brano miarę na rękawiczki, więc nie było innych widzialnych oznak nie-

dawnego posiłku, oprócz wygrzewającego się, mruczącego kota, pewnych palców, z upodobaniem gładzących bujną brodę i zażywnych, by nie powiedzieć tłuszczem zalanych twarzy obojga państwa.

Ta otyła para, widocznie małżonków, uczciwie się podzieliła ogniem kominka, patrząc w strzelające iskry, które padały do rusztu, kiwając się w półdrzemce, to znów się budząc, gdy rozżarzony węgiel, większy od innych z trzaskiem, zleciał w płomień, jak gdyby ogień zrywał się do odlotu.

Nie zanosiło się jednak na to, by rychło miał wygasnąć. Płonął bowiem nietylko w małym pokoju i na malowanych szybach drzwi, oraz na przesłaniających je portjerach, lecz także w przylegającym sklepiku. W małym sklepiku, przepełnionym zapasami, w sklepiku wprost żarłocznym, o żołądku tak olbrzymim i napchanym, jak żołądek rekina: serem, masłem, podpałkami, mydłem, wędzonką, zapałkami, słoniną, piwem, konfiturami, karmelkami, ziarnem dla ptaków, surową szynką, miotłami, krzesiwami, solą, octem, pastą do obuwia, śledziami, przyborami do pisania, sosem grzybowym, szpagatem, chlebem, piłkami,

jajmi i rysikami — wszystkie te artykuły to były niejako ryby, które dostały się w sieci tego żarłocznego sklepiku. Jakie jeszcze inne artykuły się tu znajdowały, trudno byłoby określić, ale były tam kłębki szpagatu, wieńce cebuli, świece w funtowych paczkach, szczotki umocowane tuż pod sufitem, gdy flaszki i gąsiorki rozmaitego kształtu, z których wydobywały się zapachy nęcące, stwierdzały słuszność szyldu, obwieszczającego publiczności, że właściciel tego sklepiku jest koncesjonowanym sprzedawcą herbaty, kawy, tytoniu, pieprzu i tabaki.

Spoglądając na towary, widoczne przy blasku ognia i mniej wesołym płomieniu dwóch kopcących lamp, słabo palących się w sklepie, jak gdyby nadmiar krwi dusił im płuca, Trotty przeniósł następnie wzrok na drzemiącą przy kominku parę i w otyłej niewieście odrazu poznał Mrs. Chickenstalker, która zdradzała skłonność do tuszy już w owych dniach, kiedy to figurował w jej księdze z dobrym długiem.

Rysy jej towarzysza były mu mniej znane. Wydatny, zwisający podbródek, pełen fałdów, w których ukryłby się palec, wybałuszone oczy, zdające się kłócić

że coraz to głębiej zapadają w tłuszcz gąbczastej twarzy, nos, obarczony wadą w funkcjonowaniu, pospolicie zwaną zatkaniem, krótka gruba szyja i sapiąca pierś, obok innych równie pięknych rysów, dość były osobliwe, by się wyryć w pamięci Toba; a jednak nie mógł on ich w pierwszej chwili przypisać nikomu ze swych znajomych. Wreszcie poznał w towarzyszu prostej i krzywej drogi życia Mrs. Chickenstalker, dawnego portjera Sir Josepha Bowley'a, apoplektycznego głupca, który w jego wspomnieniach od szeregu lat łączył się z osobą grubej Chickenstalker, jako że on umożliwił mu dostęp do domu, gdzie przyznawszy się do drobnej zaległości wobec tej damy, ściągnął był ciężkie gromy na swą nieszczęsną głowę.

Toba niewiele interesowała zmiana w karjerze życiowej dawnego portjera, po tylu zmianach, oglądanych poprzednio. Ale asocjacja myśli bywa niekiedy dość silna; to też mimowoli rzucił on okiem na ścianę, gdzie kredą zapisane widniały długi kundmanów. Jego nazwiska nie było. Przeczytał kilka nazwisk, całkiem mu nieznanych i zauważył też, że lista ich była znacznie skromniejsza niż daw-

niej, z czego wywnioskował, że portjer uznaje obroty gotówkowe i że przystąpiwszy do interesu Mrs. Chickenstalker, dobrze patrzył na palce jej dłużnikom.

Trotty był tak zrozpaczony i zgnębiony zwarzoną młodością i niespełnionemi nadziejami córki, że smutno mu nawet było, iż nie figuruje wśród dłużników Mrs. Chickenstalker.

— Jak tam na dworze, Anno? zapytał dawny portjer Sir Josepha Bowley'a, wyciągając nogi przed ogniskiem i trąc je, dokąd sięgały jego krótkie ramiona, przyczem wyraz jego twarzy zdawał się mówić: — Tu się oto wygrzewam podczas słoty, a w pogodę również nie muszę wychodzić.

— Wiatr zimny a niebo coś tak wygląda, jakby miał spaść śnieg — odrzekła żona. — Przytem noc bardzo ciemna.

— To dobrze, że mieliśmy grzanki — mówił dawny portjer, tonem człowieka, którego sumienie poszło na emeryturę. — Taka noc, to jakby stworzona dla grzanek i miękkich bucht i pączków. Dawny portjer wymieniał te rodzaje ciast, jak gdyby wyliczał swe dobre uczynki. Poczem znów zaczął sobie nacierać grube łydki, kręcąc kolanami, by płomień skie-

rować na części mniej przypieczone — dodał, krztusząc się od śmiechu, jak gdyby go łaskotano.

— W dobrym coś jesteś humorze, mój drogi Tugby — zauważyła żona.

Firma brzmiała obecnie: „Tugby, dawniej Chickenstalker".

— Nie, w nieszczególnym — odparł Tugby. — Jestem tylko trochę podniecony. — Grzanki były takie smaczne. Przytem się znów śmiał, aż twarz stała mu się całkiem fioletową, a odzyskanie poprzedniej barwy kosztowało go tyle trudu, że jego krótkie grube nogi, wykonywały w powietrzu przedziwne ruchy. I nie przybrały pozycji przyzwoitszej, zanim Mrs. Tugby, potrząsaniem i klapsami w plecy, nie doprowadziła ich właściciela do pewnej równowagi.

— Boże wielki, co się z tobą dzieje, mężu! wykrzyknęła Mrs. Tugby przerażona. — Co ci jest?

Mr. Tugby przecierał załzawione oczy i słabym głosem powtarzał, że czuje się trochę podnieconym.

— Więc proszę cię, mój drogi, nie bądź już podnieconym — rzekła Mrs. Tugby — bo tem swojem wymachiwaniem i dyndaniem nogami, na śmierć mnie przerażasz

Mr. Tugby przyrzekł, że się to już nie powtórzy. Jendakowoż życie jego było ciągłą walką, w której wnosząc z coraz to krótszego oddechu i coraz ciemniejszej purpury jego twarzy, on miał zostać zwyciężonym.

— Wiatr zimny i niebo zapowiada śnieg, a noc bardzo ciemna. Nieprawdaż, moja droga? ozwał się Mr. Tugby, patrząc w płomień i znów wracając myślą do powodu swej wesołości.

— Tak, ostra zima! potwierdziła żona, kiwając głową.

— Tak, tak — rzekł Mr. Tugby — lata są pod tym względem podobne do chrześcijan; jedni mają ciężką śmierć, a inni lekką. Ten rok niedaleką już ma przed sobą drogę, a jednak się tak męczy. Tem bardziej mi się podoba. Wszedł ktoś do sklepu, żono.

Ale Mrs. Tugby wstała już za pierwszem skrzypnięciem drzwi.

— Czem mogę służyć? spytała, wchodząc do sklepu. — Ach, przepraszam, Sir, nie wiedziałam, że to pan.

W ten sposób usprawiedliwiała się wobec dżentlemana w czarnym ubiorze, który w kapeluszu lekko na bakier nasa-

dzonym i z rękoma w kieszeniach, niedbale siadł okrakiem na beczce piwa.

— Źle z nim, Mrs. Tugby — rzekł przybyły. — Człowiek ten nie będzie żył.

— Ten na poddaszu? spytał Tugby, który również wszedł do sklepu, by wziąć udział w konferencji.

— Tak, ten na poddaszu — rzekł dżentleman, choroba postępuje szybko i niezadługo będzie koniec.

Przenosząc wzrok z Tugby'a na jego połowicę i naodwrót, badał nogami, jak wysoko jeszcze sięga piwo w beczce, a zbadawszy należycie, zaczął bębnić marsza na pustej jej części.

— Ten na poddaszu — zwrócił się gość do Tugby'a, który przez chwilę stał w niemem przerażeniu—dzieli los wszystkiego, co żyje.

— Nie sądzę, by go jeszcze można przewieźć — mówił dalej, potrząsając głową. — Ja nie wziąłbym na siebie takiej odpowiedzialności. Lepiej go tu pozostawić. Długo to już nie potrwa.

— To jest jedyny punkt, co do którego musiałem się sprzeczać z żoną—rzekł Tugby, gdy waga, na której położył swą rękę, z trzaskiem opadła na ladę. — I co z tego? Po tem wszystkiem gotów jeszcze tu

umrzeć; na naszym gruncie, w naszej posiadłości, w naszym domu!

— A gdzież miałby umrzeć, Tugby? spytała żona.

— W przytułku — odparł. — Poco istnieją przytułki, hę?

— Nie po to — odrzekła Mrs. Tugby z niezwykłą energją. — Nie po to. I nie dlatego wyszłam za ciebie, Tugby, abyś mną rządził. Ja tego nie chcę i nie pozwolę. Raczej się z tobą rozwiodę i nigdy cię już nie zobaczę. Kiedy nad temi drzwiami widniało jeszcze moje nazwisko wdowieńskie, co trwało długie lata, dom Mrs. Chickenstalker znany był daleko i szeroko i zawsze cieszył się dobrą sławą i szacunkiem. Kiedy nad temi drzwiami widniało jeszcze moje nazwisko wdowieńskie, znałam go jako silnego, przystojnego, dzielnego, niezależnego chłopaka; i znałam ją: najmilszą, najurodziwszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek widziałam w życiu; i znałam jej ojca (biedny staruszek, spadł z wieży, na którą się dostał w śnie lunatycznym i zabił się na śmierć) najuczciwszego, najpracowitszego, najłagodniejszego człowieka na świecie. I gdybym ich wypędziła z domu, to niech anieli mnie wy-

pędzą z nieba! Coby też uczynili i sprawiedliwie!

Jej stara twarz, która była tak krągła i miała wdzięczne dołeczki, zanim się dokonała zmiana, znów promieniała jak dawniej; a gdy otarłszy oczy, kiwała głową do męża, równocześnie powiewając chusteczką z wyrazem niewzruszonej stanowczości, Trotty rzekł: — Niech ją Bóg błogosławi! Niech ją Bóg błogosławi!

Następnie z bijącem sercem czekał, co nastąpi, bo nic wszak nie wiedział, poza tem, że mówili o Małgosi.

Jeśli Tugby w pokoju był trochę podniecony, to teraz się wszystko zrównoważyło, gdyż popadł w zgnębienie nielada, patrząc na żonę i nie znajdując słowa odpowiedzi. Pokryjomu jednak — może przez roztargnienie, a może z przezorności — wszystkie pieniądze z kasy zagarniał do kieszeni.

Dżentleman, siedzący na beczce z piwem, zapewne asystent lekarski z przytułku dla ubogich, był widocznie zbyt oswojony do tego rodzaju różnicy zdań pomiędzy małżonkami, by się wtrącać do sprzeczki familijnej. Siedział na beczce, pogwizdując cicho, gdy pojedyncze kropelki piwa sączyły się z czopa na po-

długę. Gdy nastąpiło milczenie, podniósł głowę i zwracając się do Mrs. Tugby, o wdowieńskiem nazwisku Chickenstalker, rzekł: — Ta kobieta posiada jeszcze dotychczas pewien wdzięk. Jak to się stało, że wyszła za niego?

To właśnie stanowi najbardziej okrutną część jej losów — rzekła Mrs. Tugby, siadając w jego pobliżu. — Widzi pan, ona i Ryszard kochali się przed laty. Gdy jeszcze oboje byli młodzi i przystojni, wszystko zostało ułożone i w pewne święto Nowego Roku postanowili wziąć ślub. Tymczasem Ryszardowi strzeliło coś do głowy, ponieważ jacyś panowie mu powiedzieli, że pożałuje tego ożenku, bo młody, przystojny chłopiec nie powinien się żenić. Ci wielcy panowie wzbudzili w obojgu trwogę i niepokój, przepowiadając, że on ją rychło porzuci, a dzieci ich pójdą na szubienicę, że zawieranie małżeństwa jest bezbożnością itp. Jednem słowem, oboje zaczęli się wahać i zwlekać i zastanawiać się; stopniowo tracili do siebie zaufanie, aż wreszcie całkiem się rozeszli. Ale wina była po jego stronie. Ona byłaby każdej chwili została jego żoną. Nieraz widywałem ją później znękaną i zrozpaczoną, gdy prze-

chodził mimo niej obojętnie; a już najbardziej cierpiała wtedy, gdy Ryszard począł schodzić na manowce.

— Tak, on zeszedł na manowce?—spytał dżentleman, wyciągając czop z beczki, by zaglądnąć do jej wnętrza.

— Bo widzi pan, mnie się zdaje, że on sam nie wiedział dobrze, czego chce. Zdaje mi się, że sobie wziął do serca to zerwanie i gdyby się nie był wstydził owych panów, i nie obawiał się, że ona go już może nie zechce, to z pewnością byłby zrobił wszystko, by odzyskać przyzwolenie i rękę Małgosi. Jestem tego pewna. On wprawdzie nigdy o tem nie mówił, ale tem gorzej. Zaczął pić, przebywał w złem towarzystwie, rozpróżniaczył się, używając swobody życia, która miała być o tyle lepszą od małżeństwa. Stopniowo tracił dobrą reputację, zdrowie, siły, przyjaciół, pracodawców, wszystko!

— Nie wszystko, Mrs. Tugby — zauważył dżentleman — bo zdobył przecież żonę, a radbym wiedzieć, w jaki sposób.

— Zaraz panu opowiem. Otóż takie życie prowadził przez długie lata, upadając coraz niżej i niżej; a ona, biedaczka, dość się mordowała, by zarobić na życie.

Wreszcie doszło do tego, że nikt mu już nie chciał powierzać roboty, ni mieć z nim do czynienia, a gdziekolwiek się zwrócił, zatrzaskiwano mu drzwi przed nosem. Szedł z miejsca na miejsce, od drzwi do drzwi, a gdy może po raz setny przyszedł do pewnego pana, który najdłużej mu ufał (jako że do ostatka był dobrym robotnikiem) pan ten, znający jego historję, rzekł: — Zdaje mi się, że jesteście niepoprawni; chyba tylko jedna istota na świecie mogłaby was ocalić; nie liczcie więc na mnie, dopóki ona się wami nie zajmie. Tak mu powiedział w gniewie wielkim i oburzeniu.

—Aha! wtrącił dżentleman — Co dalej?

— Tedy Ryszard poszedł do niej i ukląkł przed nią, opowiedział wszystko i prosił, by go ocaliła.

— A ona? No, niechże się pani tak nie przejmuje, Mrs. Tugby.

— Ona do mnie przyszła pewnego wieczora i spytała, czy nie mogłaby dostać mieszkania. — To, czem mi był dawniej, leży w grobie, taksamo jak to, czem ja byłam dla niego. Ale się namyśliłam i postanowiłam go ratować, przez wspomnienie miłości owej lekkomyślnej dziewczyny (pani ją znała), która w pewien

Nowy Rok miała zostać jego żoną. Mówiła też, że do niej przychodził z polecenia Lilly i że Lilly miała do niego zaufanie, czego ona nigdy nie zapomni. Więc się pobrali, a gdy przyszli do domu i ich ujrzałam, musiałam pomyśleć, by takie przepowiednie, jakie ich rozłączyły w młodości, nie spełniały się już nigdy, a przynajmniej jabym ich nie chciała wygłaszać za skarby świata.

Dżentleman wstał z beczki i przeciągając się, rzekł: — A po ślubie zaczął się zapewne źle z nią obchodzić?

— Nie wiem, aby jej kiedykolwiek wyrządził był jaką krzywdę — odparła Mrs. Tugby, potrząsając głową i ocierając sobie oczy.

— Przez jakiś czas powstrzymywał się od picia, ale nałóg ten zbyt już był zakorzeniony, by go mógł przezwyciężyć. Pewnego dnia przyszedł do domu pijany, co powtarzało się coraz częściej, aż się rozchorował obłożnie. Zdaje mi się, że zawsze był do niej przywiązany. Wiem, bo widziałam, jak drżąc i płacząc, chciał ją całować po rękach i nazywał ją Małgosią, mówiąc, że to jej dziewięćdziesięcioletnia rocznica urodzin. Tak leżał długie tygodnie i miesiące. Całkiem zajęta pie-

lęgnowaniem jego i dziecka, nie mogła pracować regularnie, wskutek czego straciła zarobek. Nie wiem doprawdy, jak oni odtąd żyli.

— Ale ja wiem — mruknął Mr. Tugby, zerkając oczyma to na szufladkę z pieniądzmi, to na żonę i kiwając głową z wyrazem niezrównanej przebiegłości— jak dwa koguty.

Mowę jego przerwał okrzyk bolesny z piętra. Dżentleman rzucił się ku drzwiom.— Mój przyjacielu — rzekł, odwracając głowę — nie potrzebujesz się już kłócić, czy go odwieźć do przytułku, czy zostawić. Zaoszczędził wam dalszej sprzeczki.

Szybko wbiegł na schody, za nim Mrs. Tugby, gdy Mr. Tugby powoli za nią podążał, sapiąc i mrucząc do siebie; zawartość kasetki, w krórej było dużo miedziaków, spotęgowała jeszcze jego astmę.

Trotty odskoczył z dzieckiem, poczem na schody, jakby był powietrzem.

„Za nią, za nią!“ Znów słyszał upiorne głosy dzwonów, powtarzające te słowa. „Naucz się od istoty, sercu twemu najbliższej.“ Skończyło się. A oto ona, swego ojca duma i radość, ta wynędzniała, wychudła kobieta, płacząca koło

łóżka, a raczej barłogu, i tuląc do piersi dziecko, na które spoglądała. Kto zdoła opisać, jak mizernie i słabowicie wyglądało to dzieçko! I kto zdoła wyrazić, jak je kochała.

— Dzięki Bogu! rzekł Toby, składając ręce i podnosząc je ku niebu — dzięki Bogu, ona kocha dziecko!

Dżentleman, który nie był ani twardego serca, ani obojętny na podobne sceny, lecz poprostu widywał je codziennie i wiedział, że podług obliczeń Mr. Filera były to tylko cyfry bez znaczenia, położył rękę na serçu, już niebijącem i nadsłuchując, czy jeszcze oddycha, rzekł: — Skończyły się męki. To i lepiej!

Mrs. Tugby próbowała pocieszać serdecznemi słowy, Mrs. Tugby argumentami filozoficznemi.

— Tak, tak — mówił, trzymając ręce w naładowanych kieszeniach — nie trzeba się poddawać. Trzeba umieć walczyć. Coby się było stało ze mną, gdybym nie umiał bronić, kiedy jeszcze byłem portjerem. Nieraz podczas nocy pukano ze sześć razy do naszej bramy, że to niby ktoś przyjechał. Ale ja wiedziałem, że mnie chcą wystrychnąć na dudka i

z całym spokojem ducha nie otwierałem bramy.

Trotty znów słyszał głosy: „Idź za nią!“ Odwrócił się do swego przewodnika i ujrzał, że ten wzbił się w powietrze i uleciał. — Idź za nią! zawołał z wysokości i zniknął. A Trotty niewidzialny, okrążał córkę, siadł u jej stóp, szukał w jej twarzy śladu dawnego wyglądu, nadsłuchiwał na dźwięk jej dawnego dźwięcznego głosu. Okrążał dziecko, o wyglądzie starczym, takie wątłe, takie przerażające w swej powadze, takie pożałowania godne w swym smutnym, cichym, bolesnym płaczu. Ubóstwiał je, czepiał się go jako jedynej swej podpory, jako jedynego węzła, łączącego go jeszcze z życiem. Swą nadzieję ojcowską i całe swe zaufanie pokładał w wątłem dziecku, czuwał nad każdem jego spojrzeniem, gdy je matka trzymała w objęciach i po tysiąckrotnie powtarzał: — Ona je kocha! Bogu dzięki! Ona je kocha!

Widział, jak gospodyni domu czuwała przy niej przez długą chwilę, poczem znów wróciła w nocy, gdy burczący jej mąż spał, i uspakajała ją i płakała z nią i podała jej trochę pożywienia. Widział znów nadchodzący dzień i zapadającą

po nim noc i znowu dzień i noc. Widział, jak wyniesiono z domu zwłoki, a w izbie została tylko ona z dzieckiem. Słyszał, jak jęczało i kwiliło, widział, że bezustannie wystawiało na próbę jej cierpliwość, a gdy zasnęła z wyczerpania, znów ją przywoływało do świadomości, drobnemi rączkami przykuwając ją do ławy tortur. Ale ona wciąż była dla dziecka łagodną i cierpliwą. Cierpliwą! Była jego kochającą matką, a życie jego tak ściśle złączone było z jej życiem, jak wtedy, gdy jeszcze było w jej łonie.

W ciągu całego tego czasu cierpiała niedostatek, gorzką, straszną nędzę. Z dzieckiem na ręku chodziła tu i tam, szukając zajęcia, a gdy leżało na jej kolanach, zwracając ku niej mizerną twarzyczkę, pracowała za najmarniejszem wynagrodzeniem, szyła dniami i nocami za tyle fenigów, ile zegar słoneczny ma cyfr. Gdyby bodaj raz zniecierpliwiła się na dziecko, lub je zaniedbała, lub chwilowo się na nie rozgniewała, lub uderzyła je w rozdrażnieniu! Nigdy! A on się pocieszał: — Wciąż je jeszcze kocha!

Nikomu nie mówiła o swej biedzie, a dnie spędzała poza domem, by jedyna przyjaciółka nie zadawała jej pytań. Bo

wszelka pomoc, jakiej jej udzieliła, spowodowywała sprzeczkę między tą dobrą kobietą a jej mężem, a dla Małgosi było nową męką, że wprowadza kłótnie i niesnaski do domu, któremu miała tyle do zawdzięczenia.

Kochała jeszcze swe dziecko, kochała je coraz bardziej, ale miłość jej przybrała inną formę.

Pewnej nocy chodziła po izbie tam i napowrót, chcąc je uspokoić, nucąc cicho, by zasnęło. W tem rozwarły się drzwi i wszedł jakiś mężczyzna.

— Po raz ostatni! rzekł.

— William Fern!

— Po raz ostatni!

Nadsłuchiwał, jak człowiek ścigany, poczem rzekł szeptem:

— Małgorzato, czas mój się kończy. Nie mogłem jednak odejść, bez pożegnania z tobą, bez podziękowania.

— Coście zrobili? spytała i spojrzała nań przerażona.

Podniósł na nią wzrok, lecz nie odpowiedział.

Po chwili milczenia wykonał ręką ruch, jak gdyby chciał odsunąć jej pytanie, jak gdyby je chciał unicestwić i rzekł:

— Dawno już temu, Małgorzato, ale owa

noc tak wyraźnie żyje w mem wspomnieniu, jak gdyby to było wczoraj. Nie myśleliśmy wówczas,—dodał, rozglądając się dokoła — że tak się znów zobaczymy. Czy to twoje dziecko, Małgorzato? Pozwól mi je wziąć na rękę. Pozwól mi potrzymać dziecko.

Umieścił swój kapelusz na podłodze i wziął dziecko na ręce, przyczem drżał od stóp do głowy.

— Dziewczynka?

— Tak.

Ręką przesłonił drobną twarzyczkę.

— Patrz, Małgorzato, jak jestem słaby, że nie mam odwagi spojrzeć na dziecko. Pozostaw mi je na chwilę. Nie zrobię mu nic złego. Tak już dawno temu... ale jak się one zowie?

— Małgorzata — odrzekła szybko.

— To mnie cieszy — rzekł — to mnie cieszy.

Wydawał się swobodniejszym, a potrzymawszy dziecko przez chwilę, odjął rękę i spojrzał mu w twatz. Ale zaraz ją znów zasłonił.

— To Lilly!

— Lilly!

Takie same dziecko trzymałem na

ręku, gdy matka Lilly umarła i mi ją pozostawiła!

— Gdy matka Lilly umarła i ją pozostawiła! powtórzyła Małgosia głosem wzburzonym.

— Czemu to powiedziałaś tak gwałtownie? Czemu się we mnie tak wpatrujesz, Małgorzato?

Padła na krzesło, przycisnęła dziecko do piersi i płakała. Chwilami odsuwała je nieco, trwożnie wpatrując się w jego twarzyczkę. I znów je przycisnęła do piersi. Gdy na nie patrzyła, do miłości jej przyłączało się coś dzikiego, coś strasznego. Wtedy stary jej ojciec płakał.

— Idź za nią! rozbrzmiewało po domu — naucz się od istoty, sercu twemu najbliższej!"

— Małgorzato — rzekł Fern, pochylając się nad nią i całując ją w czoło. — Dziękuję po raz ostatni. Dobranoc! Bywaj zdrowa! Podaj mi rękę i powiedz, że od tej chwili mnie zapomnisz i będziesz myśleć, jako o kimś, który już skończył.

— Coście zrobili? spytała znowu.

— Tej nocy wybuchnie pożar — rzekł, odsuwając się od niej. — Dużo będzie pożarów tej zimy, by rozświetlały ciemne noce — rano, w południe, wieczór i o pół-

nocy. Gdy na niebie zobaczysz łunę, będziesz wiedziała, że się pali. Gdy w dali zobaczysz łunę na niebie, nie myśl już o mnie. A jeśli będziesz myśleć, to myśl, jakie piekło płonie w mojej duszy, i myśl, że widzisz jego płomienie, odbijające się w chmurach. Dobranoc! Bywaj zdrowa!

Zawołała nań, by wrócił, lecz go już nie było. Siedziała tak zmartwiała, aż dziecko przywołało ją do przytomności, do uświadomienia sobie głodu, zimna i mroku. Przez całą długą noc chodziła z dzieckiem po izbie, by je uspokoić, powtarzając od czasu do czasu: Jak Lilly, gdy matka jej umarła i ją pozostawiła!

Czemu chód jej był tak szybki, wzrok tak dziki, miłość do dziecka tak gorąca i straszna, gdy powtarzała te słowa?

— A jednak to miłość — mówił do siebie Trotty — miłość. — Nigdy go nie przestanie kochać. Moja biedna Małgosia!

Nazajutrz rano ubrała dziecko z niezwykłą starannością — ach, jakiż daremny trud poświęcenia tylu starań dzieciom tak nędznym! — i raz jeszcze próbowała zdobyć jakiś zarobek. Był to ostatni dzień starego roku. Chodziła do samego wieczora, przez cały dzień nie mając nic w ustach. Wszystko napróżno!

Wmieszała się w tłum biedaków, czekających na śniegu, dopóki urzędnik rozdzielający publiczne jałmużny — jałmużny oficjalne, nie te, o jakich mówi kazanie na Górze — raczy ich wezwać, by jednemu rzec: „pójdziesz tu i tu“; drugiemu: „przyjdź w przyszłym tygodniu„; a z trzeciego zrobić piłkę, rzucaną z ręki do ręki, z domu do domu, aż wyczerpany: położy się, by umrzeć, lub zbierze się na odwagę i popełniwszy rabunek, stanie się złoczyńcą wyższorzędnym, którego pretensje nie znoszą zwłoki.

I tu czekała napróżno. Kochała swe dziecko i pragnęła, by spoczywało przy jej sercu i tyle.

Noc zapadła, ponura, ciemna, przerażająco zimna. Przyciskając dziecko do piersi, by je ogrzać, doszła do domu, w którym mieściła się jej izba. Była tak osłabiona i czuła taki zamęt głowy, że nie widziała nikogo we drzwiach i dopiero chcąc wejść, zobaczyła gospodarza, który tak się ustawił — przy jego tuszy nie było to rzeczą trudną — że zabarykadowywał całe wejście.

— O — rzekł cicho — więc wróciliście?

Spojrzała na dziecko i potrząsnęła głową.

— Czy nie sądzicie, że dość już długo mieszkacie tu, nie płacąc czynszu? Czy nie sądzicie, że nie płacąc ani feniga, dość często jednak nawiedzaliście ten sklep? — pytał Mr. Tugby.

Wykonała ten sam niemy gest.

— A gdybyście tak spróbowali kupować gdzieindziej, a gdybyście tak rozejrzeli się za innem mieszkaniem? Czy nie sądzicie, że to byłoby możliwe?

Odpowiedziała cichym głosem, że już bardzo późno. Jutro to zrobi.

— Widzę już czego chcecie i jaki macie zamiar — rzekł Tugby. — Wiecie, że w domu tym są w tej mierze dwie partje i chcielibyście doprowadzić znów do sprzeczki. Byłoby to dla nas wielką przyjemnością. Ale ja nie chcę mieć w domu kłótni, i dlatego mówię do was spokojnie. Jeśli się jednak nie wyniesiecie, to potrafię też mówić głośno, głośniej niż wam będzie miło. Do domu już jednak nie wejdziecie, to postanowiłem.

Odgarnęła włosy z czoła i szybko podniosła oczy ku niebu i ciemnym groźnym chmurom.

— Ostatni dziś wieczór starego roku, a ja nie chcę kłótni i gniewu przenosić

na nowy rok, dlatego tylko, aby się przypodobać wam, czy komukolwiek — rzekł Tugby, w małym zakresie „przyjaciel i ojciec" ubogich. — Dziwię się, że się nie wstydzicie rozpoczynać nowego roku takiemi intrygami. Jeśli nie macie w życiu nic lepszego do roboty, jak ustawicznie waśnić męża i żonę, to lepiej się wynoście. Precz stąd, precz!

— Za nią! W rozpacz!

Znów Trotty słyszał głosy napowietrzne, a podniósłszy oczy, zobaczył unoszące się nad nim postacie, wskazujące mu ciemną uliczkę, w którą ona weszła.

— Ona je kochała — wykrzyknął trwożnie i błagalnie zarazem — o dzwony, ona je jeszcze kocha!

— Za nią!

Nad drogą, która przeszła, unosiły się cienie, niby chmury ciężkie.

Szedł za nią, tuż za nią. Spojrzał jej w twarz. Wciąż jeszcze widział na niej tensam wyraz dziki i straszny, obok miłości macierzyńskiej. Promieniował on z jej oczu, gdy z ust raz po raz wybiegały słowa: — Umrzeć jak Lilly, jak Lilly!

Och, gdybyż ją coś zdołało zbudzić! Widok, czy dźwięk, lub zapach, mogący w jej pamięci wskzesić jakieś wspo-

mnienie serdeczne! Gdybyż z przeszłości przemówił do niej jeden bodaj obraz miły!

— Ja byłem jej ojcem! ja byłem jej ojcem! — rzekł starzec, wyciągając ręce ku mrocznym cieniom, unoszącym się nad jego głową. — Zlitujcie się nad nią i nademną! Dokąd ona idzie? Niech zawróci; ja byłem jej ojcem!

Ale one wskazywały tylko na nią, biegnącą coraz szybciej i mówiły: — W rozpacz! Naucz się od istoty, sercu twemu najbliższej!“

Setki głosów odpowiedziały echem. Powietrze było tylko tchnieniem, na którem unosiły się te słowa. Trotty zdawał się je wchłaniać za każdym oddechem. Nie mógł im umknąć, bo zewsząd go otaczały. A ona wciąż jeszcze mknęła naprzód, z tymsamym płomieniem w oczach, z temi samemi słowy na ustach: — Umrzeć jak Lilly, jak Lilly!

Nagle przystanęła.

— Każcie jej zawrócić! krzyknął starzec, rozpacznie wyrywając sobie siwe włosy. — Moje dziecko, Małgosia! Każ jej zawrócić, Ojcze niebieski, każ jej zawrócić!

Swym wytartym płaszczem otulała dziecko. Rozgorączkowanemi rękoma

gładziła mu nóżki, wygodniej układała główkę, poprawiała na niem mizerne odzienie. W swych zawiędłych ramionach trzymała je silnie, jak gdyby je na zawsze chciała w nich zatrzymać, a wyschłemi wargami całowała je ostatnim wybuchem cierpienia i ostatnią długą walką miłości.

Drobną jego rączkę oplotła sobie koło szyi, poczem przycisnęła je do zrozpaczonego serca, do twarzy swej przytuliła twarzyczkę dziecka, a potem pomknęła w kierunku rzeki. W kierunku huczącej, rwącej, ponurej rzeki, nad którą przycupnęła noc zimowa, niby ostatnia myśl tych wszystkich, co w niej szukali ratunku, gdzie pojedyncze światła nadbrzeżne płonęły czerwono i niepewnie, niby pochodnie wskazujące drogę śmierci, gdzie żadne domostwo ludzi żyjących nie rzucało swego cienia w ten mrok głęboki, smutny, nieprzenikniony.

Ku rzece! Ku tym podwojom wieczności mknęły jej zrozpaczone kroki z szybkością wód rwących, gdy pędzą do morza. Chciał jej dotknąć, gdy przebiegała mimo niego w kierunku ciemnej powierzchni wody, lecz dzika, chora postać, straszna rozpaczą miłości, nie dająca się powstrzymać

żadnem ludzkiem uczuciem, śmignęła niby wiatr.

Biegł za nią. Na chwilę przystanęła u brzegu przed wykonaniem strasznego skoku. Padł na kolana, wołając do postaci dzwonów, unoszących się nad nim: — Nauczyłem się od istoty, sercu memu najbliższej. Ratujcie ją, och, ratujcie!

Palcami mógł dotknąć jej sukni. Mógł ją ująć. Zaledwie słowa te wybiegły z jego ust, uczuł że odzyskuje zmysł dotyku i wiedział, że ją oto trzyma.

Postacie ustawicznie spoglądały nań z góry.

— Nauczyłem się — wykrzyknął starzec. — O, miejcie nademną litość w tej godzinie, gdy w miłości ku niej, tak młodej, tak dobrej, oczerniałem naturę w sercach matek zrozpaczonych. Ulitujcie się nad mem zuchwalstwem, złością i niewiedzą i ocalcie ją!

Czuł, że dłużej jej już utrzymać nie zdoła. A one wciąż jeszcze milczały.

— Zlitujcie się nad nią! wołał. — Ta straszna zbrodnia zrodziła się z odwróconej miłości, z najsilniejszej, najgłębszej miłości, jaką śmiertelni znają. Pomyślcie, jak wielkim musiał być jej ból, jeśli z takiego nasienia, taki się zrodził owoc.

Niebo przeznaczyło ją do dobrego. Niema na świecie matki kochającej, która nie doszłaby do tego, gdyby musiała była takie pędzić życie. O, zlitujcie się nad mojem dzieckiem, które nawet w tej chwili lituje się nad swojem dzieckiem i samo umiera i zabija swą duszę nieśmiertelną, aby je ocalić!

Leżała w jego objęciach. A on ją trzymał silnie. Czuł w sobie siłę olbrzyma.

— Widzę pośród was ducha dzwonów — rzekł starzec, zobaczywszy dziecko i natchniony niejako jego widokiem, mówił: — Wiem, że czas sprawuje pieczę nad przypadającym nam udziałem. Wiem, że pewnego dnia wzbierze ocean czasu, i niby liście spłuka tych, co nas krzywdzą i ciemiężą. Widzę to morze, jak wzbiera i się podnosi. Wiem, że powinniśmy ufać i mieć nadzieję i nie wątpić o pierwiastku dobra ani w nas samych, ani w innych. Nauczyłem się tego od istoty, sercu memu najbliższej. Znów ją trzymam w objęciach. O, dobre, łaskawe duchy, naukę tę zapisuję w piersi, do której ją tulę. O, dobre łaskawe duchy, jestem wam wdzięczny.

Byłby jeszcze więcej powiedział, gdyby dzwony, stare kochane dzwony, jego

dobre, wieczne wytrwałe przyjacioły, nie były w tej chwili na przywitanie Nowego Roku zaczęły dzwonić tak wesoło i radośnie i donośnie, że zerwał się na równe nogi, rozpraszając czar, trzymający go na uwięzi.

— Możesz tatku robić co chcesz — rzekła Małgosia — ale ja ci już nie pozwolę nigdy jeść flaków, jeśli wpierw nie zapytasz lekarza. Bo nie masz pojęcia, jaki miałeś sen niespojny!

Siedziała przy stoliczku w pobliżu ognia, szyjąc swą skromną ślubną sukienkę, przybierając ją wstążkami. Cała jej postać promieniowała taką błogością, urodą, wdziękiem i dobrą wiarą, że Trotty krzyknął głośno, jak gdyby w izbie swej zobaczył był anioła. Następnie zerwał się i pochwycił ją w objęcia. Ale nogi zaplątały mu się w gazetę, która spadła na ziemię, a tymczasem ktoś się wsunął między niego a Małgosię.

— Nie — rzekł ów ktoś głosem serdecznym, wesołym. — Nawet wam nie wolno. Pierwszy całus Małgosi w Nowy Rok mnie się należy. Mnie! Całą godzinę stałem przed domem, by uszłyszeć dzwony i zdobyć całusa. Małgosiu, serce drogie, szczęśliwego Nowego Roku! Obyśmy

dożyli wielu lat szczęśliwych, ukochana moja!

I Ryszard omal jej nie zadusił pocałunkami.

W ciągu tej sceny Trotty był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Usiadł na krześle, rękoma uderzał się po kolanach i płakał. Usiadł na krześle, rękoma uderzał się po kolanach i śmiał się. Usiadł na krześle, rękoma uderzał się po kolanach i śmiał się i płakał równocześnie. Wstał z krzesła, pieścił i głaskał Małgosię. Wstał z krzesła, pieścił i głaskał Ryszarda. Wstał z krzesła i pieścił i głaskał oboje równocześnie. Podbiegł do Małgosi i ujął jej świeżą twarz w obydwie dłonie, ucałował ją i cofał się wstecz jak rak, by jej nie utracić z oczu i znów biegł ku niej, jak nakręcona figurka w szopce, a co chwila znów siadał na krześle, by natychmiast znów się zerwać i biec ku córce. Jednem słowem, nie posiadał się z radości.

— Jutro twój ślub, dziecino najdroższa? pytał Trotty. — Naprawdę twój ślub, Małgosiu!

— Dzisiaj — odpowiedział Ryszard — ściskając go za ręce — już dzisiaj. Dzwony właśnie biją na Nowy Rok. Posłuchajcie!

Biły istotnie.

Błogosław im Boże! O, jakież to wielkie, potężne dzwony, dźwięczne, głębokie, szlachetne, ulane z kruszcu niezwykłego, ulane przez mistrza niezwykłego. Czyż w przeciwnym razie, potrafiłyby dzwonić tak rozgłośnie jak dzisiaj?

— Małgosiu — ozwał się Trotty — czy nie sprzeczaliście się dzisiaj trochę z Ryszardem?

— Owszem, tatku, bo taki z niego kogut zaczepny — odparła Małgosia. — Czy nie mówię prawdy, Ryszardzie? Taki gwałtownik i uparciuch! Koniecznie uwziął się, by takiemu wielkiemu panu jak sędzia Alderman, wypowiedzieć swe zdanie i nic się nie krępował, jak gdyby chodziło o...

— O pocałowanie Małgosi — dokończył Ryszard i odrazu też to wykonał.

— Doprawdy, że wcale się nie krępował. Ale ja nie pozwoliłam. Bo i naco by się to przydało?

— Ryszardzie — rzekł Trotty — chłop z ciebie na schwał, i takim już zostaniesz do końca życia. Ale dziś wieczór płakałaś Małgosiu, gdy wróciłem do domu. Powiedz, dlaczego płakałaś?

— Myślałam, ojcze, o wszystkich tych

latach, któreśmy razem tu przeżyli. Tylko dlatego. I myślałam, że będziesz się czuł samotny, gdy ja odejdę.

Trotty znów wrócił do swego krzesła, gdy zbudzona głośną rozmową, dziewczynka zbudziła się i weszła do izby nawpół ubrana.

— Oto jest — rzekł Trotty, biorąc ją na kolana — oto jest mała Lilly. Ha, ha! oto jesteśmy i oto znów pójdziemy. Oto jesteśmy i oto znów pójdziemy. A wy Will także!

Zatrzymał się w galopie, by go serdecznie przywitać. — Ach, wuju Will, jakież ja widzenie miałem dzisiejszej nocy, dlatego, że was przyjąłem w gościnę. Ach, wuju Will, jakże wam jestem wdzięczny, żeście do mnie przyszli, kochany przyjacielu!

Zanim Will Fern mógł odpowiedzieć, weszło do izby kilku muzykantów w towarzystwie licznych sąsiadów, wołając: — Szczęśliwego Nowego Roku, Małgosiu! Szczęśliwych zaślubin! I długiego, długiego życia! Trębacz, najbliższy przyjaciel Toba, postąpił na środek izby i w takie się ozwał słowa: — Trotty Beck, stary druhu, dowiedzieliśmy się, że córka twoja bierze dziś ślub. Niema

ani jednego człowieka, coby was znał i nie życzył najlepszego szczęścia, lub ją znał, i nie życzył jej wszystkiego najlepszego, lub znał was oboje i nie pragnął dla was wszelkiego błogosławieństwa w tym Nowym Roku. I poto tu przyszliśmy, byście ten Nowy Rok rozpoczęli muzyką i tańcem.

Przemówienie to przyjęto ogólną radością i okrzykami. Trębacz był wprawdzie trochę podpity, ale to nic nie szkodziło.

— Co to za szczęście — rzekł Trotty — cieszyć się takiem poważaniem swych przyjaciół i sąsiadów. Wiem, że wszystko to robicie dla mojej córki. Zasługuje na waszą życzliwość.

W jednej sekundzie byli wszyscy gotowi do tańca, w pierwszej parze Małgosia z Ryszardem. Trębacz miał właśnie zadąć z całej siły, gdy nagle dały się słyszeć dziwne dźwięki i weszła kobieta o dobrodusznej miłej twarzy, mogąca liczyć około pięćdziesiątki, a obok niej siadł mężczyzna, niosący dzban kamienny olbrzymich rozmiarów, a obok niego na tacy kości szpikowe, piszczałki i dzwonki.

— Trotty rzekł: — Mrs. Chickenstalker — siadł na krześle i uderzył się po kolanach.

— Małgosiu, jakże mogłaś! Wychodzisz za mąż i wcale mi nie powiedziałaś! rzekła przybyła, tonem dobrotliwego wyrzutu. — Nie mogłabym była spokojnie spędzić ostatniego wieczora starego roku, gdybym nie była przyszła ci powinszować. Naprawdę, Małgosiu, że byłabym przyszła, chociażbym nawet była obłożnie chora. Tedy przyszłam, a ponieważ mamy i Nowy Rok i wesele, więc kazałam odrazu coś przygotować, byśmy sobie urządzili „małą bibkę".

„Mała bibka" Mrs. Chickenstalker świadczyła o jej szczodrobliwości. Kamienny dzban syczał i dymił jak mały wulkan, a człowiek, niosący go na tacy, miał co dźwigać.

— Mrs. Tugby — rzekł Trotty — okrążając ją pełen zachwytu — chciałem rzec: Mrs. Chickenstalker, niech pani Bóg nagrodzi. Szczęśliwego Nowego Roku i długiego życia, Mrs. Tugby — rzekł Trotty, całując ją — chciałem rzec: Mrs. Chickenstalker. A oto Wiliam Fern i Lilly.

Godna niewiasta, ku jego zdumieniu, nagle poczerwieniała i zbladła.

— Chyba nie Lilly Fern, której matka umarła w Dorsetshire? spytała.

Wuj skinął głową potakująco i szybko zamienili z sobą parę słów, których wynik był taki, że Mrs. Chickenstalker uścisnęła mu obydwie ręce, Toba z własnej woli pocałowała w policzek, a dziewczynkę przycisnęła do swej potężnej piersi.

— Will Fern — rzekł Trotty — czyżby krewna, którą chcieliście odszukać?

— Ona sama — odparł Will, kładąc obydwie ręce na ramionach Toba — i jak się zdaje, znalazłem w niej równie dobrą krewną, o ile to możliwe, jak w was przyjaciela.

— Ach! bronił się Trotty. — Hejże, muzykanci, a możebyście teraz zagrali?

Przy dźwięku muzyki, piszczałek, dzwonków i kości szpikowych, i przy akompanjamencie wciąż jeszcze z wieży rozbrzmiewających dzwonów, Trotty poprowadził do tańca Mrs. Chickenstalker, ustawiwszy się z nią jako druga para, tuż za Ryszardem i Małgosią. I podrygiwał obok niej, wykonywując kroki nieznane ani wpierw ani później, bo

stanowiące pewną odmianę jego zwykłego codziennego galopu.

Czy Trotty śnił, czy jego radości, cierpienia i osoby, do których się one odnosiły, były tylko snem? On sam, byłżeby tylko snem? Opowiadający tę historję, marzycielem, który dopiero co zbudził się ze snu? Jeśli tak, to proszę cię, kochany czytelniku, wyryj sobie w duszy przykrą rzeczywistość, z której cienie te się wyłoniły i staraj się w swojem kole — żadne nie jest zbyt wielkie, ni zbyt małe do tego celu — ulepszyć ją i uczynić mniej przygniatającą. Oby ten Nowy Rok szczęśliwym był dla ciebie i dla wielu, których szczęście zależnem jest od ciebie! Oby ten Nowy Rok szczęśliwszym był od poprzedniego, i oby nikt z najbiedniejszych naszych braci i sióstr, nie został wyłączony ze sprawiedliwego udziału w tem, co wielki nasz Stwórca dla ludzkiego stworzył użytku!

WALENTY KRZĄSZCZ.

JANEK.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEŁOMOWYCH NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM.

CIESZYN.
DRUKIEM I NAKŁADEM »DZIEDZICTWA BŁ. JANA SARKANDRA DLA LUDU POLSKIEGO NA ŚLĄSKU«.
1921.

I.

Cudny dzień majowy, rozmarzony w blaskach słonecznych. Milczący las, otaczający polanę, tonął w mleczno-błękitnej mgle. Smukłe, poważne jodły osaczały polanę wysokim, ciemnogranatowym murem, pocentkowanym tu i ówdzie śnieżną białością giętkich brzózek. Odurzająca woń biła od kwiecistej łączki. Cała chmara pstrych motylków i muszek unosiła się gnuśnie ponad rozgrzaną ziemią. Głęboka cisza płynęła od boru, ledwo co pszczółki tu i ówdzie sennie zabrzęczały. I dom gajowego na skraju polany stał w niemem milczeniu pogrążony, tylko bluszcz, zwisający z jego szczytu, zaszumiał tu i ówdzie z lekka za podmuchem lekkiego wietrzyka.

Na werandzie okazała się postać gajowego Holeksy, mężczyzny średniego wieku i wzrostu, o miłej, sympatycznej twarzy, z której jednak biła jakaś dziwna melancholia. Przez ramię miał zarzuconą strzelbę, w ręce trzymał sękaty kij. Zszedłszy po schodach na podwórze, powlókł się zwolna krętą ścieżyną w stronę boru. Na

krańcu polany spotkał się z hożą dziewczyną, swą córką Jadwigą.

— No i cóż tam, Jadwisiu? — zagadnął ją pieszczotliwie. — Czy masz kartki na mąkę?

— Ach tatku! — westchnęła dziewczyna żałośnie. — Już ja do kierownika nigdy nie pójdę! Jak on mnie zbeształ w obecności wszystkich, a kartek jednak nie wydał!

— Dlaczego nie?

— Powiedział, że kartki wczoraj wydawano.

— A innym też nie dał?

— Gdzież tam! Swoim ulubieńcom wydał bez dalszego. Tylko mnie odprawił haniebnie, wskazując mi drzwi.

Holeksa zachmurzył się, zagryzł wargi, a muskularne jego pięści ścisnęły się kurczowo.

— Podła kanalia renegacka! — wykrztusił. — Mści się od czasu, kiedym mu raz przed wojną publicznie wytknął jego nikczemne zachowanie się pod względem narodowym. Cóż jednakże począć? Podczas wojny stał się z kierownika wszechwładcą we wsi. Wszyscy przed nim drżą. Jest komisarzem żywnościowym i może byle kogo według własnego widzimisię wygłodzić. Jest referentem gminnym w sprawach wojskowych, więc może z wojska zwolnić, albo też niewygodnego niespodzianie na front »szupnąć«. Proponuje zasiłki wojenne w starostwie. Jeżeli się mu podoba, wstrzymuje nawet

najbiedniejszej wdowie wypłacanie zapomogi wojennej. Ach, jak też to szczęśliwi są obywatele w sąsiedniej wiosce, gdzie mają nauczyciela narodowca, który odczuwa krzywdy ludu i jako komisarz aprowizacyjny bierze go w obronę. No, pójdę ja sam do kierownika, może mi łaskawie przecie wyda kartki.

— Tylko sobie, tatku, idźcie ścieżką — ostrzegała go córka. — Inaczej spotkacie się przed lasem z synem wójta Karłem Wantulokiem, wiecie, tym feldweblem, który od trzech dni jest na urlopie. Spił się jak bydlak i zaczepia każdego w drodze. Ledwom się przed chwilą z rąk jego wyrwała.

— Świnia! — zgrzytnął Holeksa wściekle. — Jaki ojciec, taki syn. Muszę jednak milczeć, bo wójt i kierownik, to najlepsi koledzy. No, idźże sobie do domu, dziecko, ja już sprawę z kartkami sam w szkole załatwię.

Holeksa puścił się ścieżyną przez las ku wiosce. Smutno i ciężko było mu na sercu, a troska przygniatała go jak zmora. Wyszedłszy z lasu, ujrzał przed sobą w uroczej dolinie wioskę, wyzierającą z pośród kwitnących sadów. Tuż pod kościołem jaśniały mury budynku szkolnego. W opłotkach szkolnych spotkał się z Herzykiem, komornikiem pańskim.

— Skądże, Herzyku? — zawołał na starego.

— Aha, to oni, panie gojny — wyszczerzył

komornik trzonowe zęby. — Byłech oto w szkole u rechtora. Pytołech go na smiłowani, żeby mi też prośbe napisoł o zapomoge po moim poległym synie.

— Napisał?

— Ap, napisoł tam! — machnął starzec rozpaczliwie ręką. — Gdybych mu tam przyniósł z pore kilo masła lebo wajec, toby napisoł. Ale cóż człowiek mizerny może takimu dać? Nadoł mi, wyprzezywoł i wyproł za dwierze. Mo tam kupe gości.

Gajowy zawahał się, czy ma wejść do szkoły.

— Idą tam, idą — zachęcał go Herzyk. — On ich tam za dwierze nie wychynie, bo są przeca gojnym w książęcej służbie. To zaś co innego, niż taki mizerny kumornik pański.

Holeksa wszedł do sieni. Aromatyczny zapach pieczonego mięsiwa i przypraw korzennych zawiercił mu w nosie. Zapukał z bijącem sercem w drzwi kuchenne.

— Dalej! — ozwał się głos służącej, odchylającej drzwi.

— Pan kierownik w domu? — zapytał Holeksa.

— Są doma, jeny mają dzisio moc gości, jacysi oficerzy, panowie i frelki z Cieszyna.

— Jewko, nie zgłosiłabyś mię? Tylko na minutkę.

— Spróbuję. Nie wiem jednak, czy pon rechtór wyńdą.

Zniknęła za drzwiami, prowadzącemi do salonu, skąd dolatywały śmiechy, głosy wesołej rozmówki i brzęk szkła. Po chwili ukazała się w progu pani kierownikowa, rumiana, strojna, z uśmiechem zadowolenia i dumnej rozkoszy. Zobaczywszy gajowego, podparła boki, pytając:

— Czegóż żądacie? Mąż jest bardzo zajęty.

— Prosiłbym, żeby mi pan kierownik wydał kartki.

— Kartki wydawano wczoraj! — odparła wyniośle.

— Ależ proszę pani kierownikowej — rzekł gajowy z cicha, tłumiąc gniew w sobie, — przecież i inni otrzymali dziś kartki. Dlaczegóż miałbym ja tylko być upośledzony? Niechże tylko pani zawoła pana kierownika.

— Jeżeli inni kartki odebrali, to tylko z łaski męża — odparła kierownikowa chłodno.

— A to ja mam ginąć z głodu? — rzucił Holeksa zirytowany.

— Cóż nam do tego? — odcięła. — Czy to koniecznie musi dzisiaj każdy do syta się najeść? Iluż to ludzi ginie po miastach z głodu, dlaczegożby więc taki gajowy miał opływać we wszystko? Jewko? — zwróciła się do służącej — zanieś teraz gościom te kołacze z migdałami, a potem przyjdź po gęsinę. Więc jako mówię —

tak odezwała się do gajowego — kartki wasze przepadły i już się nam tutaj więcej nie naprzykrzajcie. Inaczej musiałby mój mąż względem was na inną nutę zagrać. Jesteście ze służby wojskowej jako gajowy na razie zwolniony, zatem uważajcie, abyście mego męża nie drażnili. Wystarczy tylko liścik do starostwa! Zrozumieliście mnie?

— Doskonale! — odpowiedział gajowy, tłumiąc złość w gardzieli.

— A więc możecie iść, bo nasz czas dzisiaj bardzo drogi.

— Z Bogiem!

— Moje uszanowanie!

— Niech cię las trzaśnie — burknął Holeksa, ale już za drzwiami.

Poszedł z frasobliwą miną drogą ku gospodzie, rozmyślając nad swem przykrem położeniem. Kartek nie otrzymał, nie dostanie ani mąki, ani cukru; czem on właściwie będzie się żywił? Własnych zapasów nie posiada, pola nie ma, zakupić niczego nie można, choćbyś krwią płakał. Może w gospodzie nawinie mu się jaki życzliwy z pośród miejscowych gospodarzy, któryby zechciał wybawić go z kłopotu. W tym też celu wstąpił do szynkowni. Usiadł zmęczony i wielce przygnębiony w rogu pod szynkwasem, zapalając fajkę, ażeby sobie ulżyć na sercu. Ilekroć bowiem był w jakimkolwiek kłopo-

cie, uspokajał wzburzone nerwy i znękane serce swą nieodstępną porcelanową fajeczką. Rozchmurzyło się mu też cośkolwiek oblicze, skoro tylko wypuścił pierwsze kłęby niebieskawego dymu z cybucha. Westchnął i założył ręce na piersiach, wyciągnął przed siebie nogi i począł medytować.

— Podajcie mi tam ósemkę — zawołał na gospodzkiego, uganiającego z miotłą po izbie.

— Słodkiej?

— Ale ba, gdzieżby tam słodkiej — odparł z bolesnym uśmiechem. — Dajcie gorzkiej, ale tęgiej.

Gospodzki postawił przed nim na stole kieliszek zielonawej, silnie pachnącej wódki.

— Skądże idziecie? — zagadnął Holeksę.

— Pytajcie się tam jeszcze! — splunął gajowy zdesperowany. — Ze szkoły, od pana rechtora, przepraszam, od pana komisarza.

— Pewnie jakieś zajście przykre? — badał gospodzki.

— Ap! — machnął gajowy. — Niema ani co gadać. Dajcie jeszcze jeden kieliszek. Trzeba robaka zapić, inaczej pierwszemu lepszemu kości połamię.

Gospodzki, pokręciwszy głową, oddalił się spiesznie od stołu. Nie wnikał już głębiej w tajemnicę gajowego. Obawiał się, by Holeksa nie zaczął wyzywać na kierownika, coby mu, jako

gospodzkiemu i kupcowi od łaski komisarza żywnościowego zupełnie zależnemu, mogło grubo zaszkodzić. Nuże mógłby ktoś kierownikowi donieść, iż przysłuchiwał się spokojnie, jak gajowy pana komisarza w jego gospodzie darzył wyzwiskami. Miałby potem do czynienia z kierownikiem samym. Postawiwszy zatem drugi kieliszek przed Holeksą, czmychnął co tchu z miotłą do przyległej izdebki.

Natomiast kilku chłopów, popijających w przeciwległym kącie izby, przytakiwało żywo gajowemu.

— Bezmali was tam rechtór przejechoł — ozwał się jeden z nich.

— Niech go licho biere! — wybuchnął Holeksa, uderzając pięścią o stół.

— Czy was chce do wojska »szupnąć«? — zapytał ktoś lękliwym głosem.

— Na razie chce mię wygłodzić — odparł zapytany.

Chłopi popatrzyli z przerażoną miną po sobie, poruszali się niespokojnie, ten i ów poskrobał się po czuprynie, albo zapił to, co miał na końcu języka, wódką i nikt nie przerywał powstałego milczenia. Bali się, by jakiemś słówkiem nie obrazić majestatu rechtora. Także i gajowy, poskramiając swą popędliwość, zamilkł, ledwo co boleśnie odetchnął i kieliszek wychylił. Gospodzki tymczasem całą swą uwagę skupił na

miotłę, którą wycierał śmiecie w »ekstra-cymrze«.

Wtem otwarły się drzwi, a w progu ukazał się gospodarz Halama, jeden z najmajętniejszych siedlaków ze wsi, pierwszy radny i obywatel wysoce poważany.

— Pochwalon Jezus Krystus! — pozdrowił, uchylając kapelusza.

— Na wieki amen! — odpowiedzieli chórem. — Pódźcie dali, gazdo.

— Na dyć też tam, dyć też tam — wymawiał się. — Takech sie oto jeny po tabake stawił.

Uścisnął serdecznie rękę gajowego i usiadł obok niego za stołem. Z tonu, jakim przemawiał do gajowego, nietrudno było wywnioskować, iż byli bardzo serdecznymi przyjaciółmi. Jakże inaczej? Przecież wszyscy wiedzieli, że Janek, syn Halamy, jest zaręczony z Jadwigą, córką gajowego. Skoro się tylko wojna skończy, będzie wesele i to nielada jakie. Janek, chłopak sympatyczny, wykształcony, absolwent szkoły rolniczej, odziedziczy po ojcu cały majątek. Partya świetna, nie ma co!

— Skądże Bóg prowadzi? — zapytał Holeksa.

— Na oto walę od rechtora — odpowiedział gospodarz.

— Cóżeś tam mioł u rechtora?

— Ap! Same kłopoty na starość — narzekał Halama. — Jak wiesz, Janka dotychczas nie powołali do wojska gwóli tego, że jest jako jedynak potrzebny na gruncie. A dziśka przyszło pismo urzędowe ze starostwa, że Janek musi do dwóch tygodni narukować. Mie już teraz głowa nadobrze zesiwieje. Cóż jo pocznę bez niego przy telownem polu?

— Trzeba wnieść nową petycyę w celu jego dalszego zwolnienia — radził Holeksa.

— Dyćech też prawie gwóli tego był u rechtora.

— Cóż ci poradził?

Halama, rzuciwszy ostrożnie spojrzenie w stronę chłopów, nachylił się ku uchu przyjaciela i szepnął:

— Hekto pszenice, kope wajec i pięć kile szperki zanieść rechtorowi do szkoły, to napisze, że Janek nie porukuje. Co robić? Chłapca trza doma, tóż trzeba dać, choćby na przednówku pojczać.

Holeksa pokiwał znacząco głową, świsnął przez zęby i uderzył pięścią w kolano.

— Ma ci marcha gody! — mruknął. — Od każdego tak biere.

— Pst! — przyłożył Halama palec do ust. — Jeny cichutko, synku. Jeszcze nie wiem, co powie fojt Wantulok. Czy też to pismo bedzie

chcioł potwierdzić. Wiesz, żechmy są na krzyż społem.

— Ach, Wantulok zrobi to, co mu kierownik poleci — kalkulował gajowy.

— Kole ciebie też tam cosik mówił — dorzucił Halama. Prawił, że ci już nigdy kartek nie do. Ale sie nie frasuj. Dzisio wieczór poszlę ci do gajówki przez Janka cosi zboża, żebyś głodu nie cierpioł. Już to muszemy jeden drugigo popierać.

Holeksie zakręciła się łza w oku, wargi zadrgały mu ze wzruszenia.

— Gdyby nie ty, dawnobym już wraz z córką i starą matką z głodu zginął.

— Jakosikej już to tam bee — uspokajał go gospodarz. — Schowało sie cosi małowiela tego łobilo w dziurze pod piwnicą, aby wszyckigo nie zarekwirowali. A do Pónbóczek, to przeca ta wojna kierymsi razem musi się skończyć. Cosik tam powiadają, że sie Austrvi kiepsko powodzi. Możne bee prędzej koniec, niż sie tego spodziewomy.

Kiedy tak z cicha między sobą rozmawiali, oglądając się ostrożnie na wszystkie strony, usłyszeli z drogi ochrypłe głosy pijackie, nucące jakąś pieśń wojskową, a po chwili wtoczył się do szynku chwiejnym krokiem feldwebel Kareł Wantulok.

— Protoste mie maminko, protoste mie cho-

wa... la... — śpiewał zachryple, wywijając ręką nad głową. Kaszkiet wsunął na bakier, w lewej ręce trzymał podniesioną szablę, dwa kroki posunął się naprzód, trzy kroki w tył, plątając nogami, że zdawało się, iż już runie na podłogę jak długi. A potem począł inną nutą:

Niema to jak herski wojak,
Zmykej przed nim każdy plundrak.
Szasnę, prasnę roz francuza,
Walę przez łeb i mozgola.
A kto cywil, ustąp z drogi, —
Cywil sprosty, liż mi nogi...

— Ten już tam najwięcej mozgoli zwalił — mruknął Halama, patrząc z podełba na zuchwałego pijaka.

— Pewnie! — pochwycił gajowy, spluwając pogardliwie. — Walił mozgoli, ale nie na froncie, jeno po kancelaryach wojskowych za piecem.

— Czwarty rok niby na wojnie, ale prochu jeszcze nie posznupoł — szepnął Halama.

— Od czego byłyby łapówki starego ojca? — dodał Holeksa.

Feldwebel, zauważywszy, iż tam ci dwaj pod szynkwasem nie bardzo pochlebnie o nim się wyrażają, rozkroczył się na środku izby, oparł rękoma o szablę, a wlepiwszy wyblakłe, krwią zaszłe bycze oczy w siedzących, zaryczał:

— Cywile, mordę trzymać! Jam tu feldwebel, a nikt inny, psiakrew! Milczeć, albo mi się stąd wynosić.

Halama wykrzywił drwiąco usta, a wychyliwszy kieliszek, odparł spokojnym, nieco od wewnętrznego wzburzenia drżącym głosem:

— Bezmali ci sie pomieszało w pustej czepani, bo se pewnie myślisz, że stoisz w koszarach przed regrutami.

— Szweigen, hundsmiserable Schweine! — wrzasnął feldwebel, tupiąc nogą.

— Nie rozumię bardzo, co mówisz, Cosi sie mi zdo, że mówisz o świniach. Świnia jeny świnie mo na myśli — odciął Halama.

Na to już obrażony felak zapienił się ze złości, podniósł obnażoną szablę do góry, a postąpiwszy krok naprzód, chciał nią uderzyć Halamę przez głowę. W samą porę jednakże zerwał się gajowy z miejsca i pchnął pięścią zuchwalca pod żebro, tak, iż tenże się potoczył w tył i runął z łoskotem na ławę.

— Co to jest? — ryknął feldwebel na całe gardło. — To jest Subordinations-Verletzung! Krucitürk noch einmal, za to jest szubienica, rozumiesz? Psiakrew, coś podobnego się mi jeszcze nie przydarzyło, jak jestem feldweblem. Krucitürk, basama, mit Pauk und Trompete! Piąta kompania, herrrraus! Co dziesiąty, kula w łeb! Nie pomoże żadne wołanie, jakem feldweblem jest! Strzelaj, bij, na capart, na moczke! Krucitürk noch einmal! Berta, bij!

Tak ryczał, drżąc na całem ciele, a kiedy

mu nikt nie odpowiadał, oprzytomniał cośkolwiek i zniżył głos; a wyciągnąwszy głowę naprzód, spojrzał zdziwiony po obecnych i zapytał:

— Któż tu tak wrzeszczy?

— Nikt nie wrzeszczy, panie feldwebel — odezwał się drżący głos gospodzkiego, który dopiero teraz ośmielił się wyjrzeć z ekstracymry. — To tylko pan feldwebel się tak głośno bawi.

— Trzymaj mordę, rokitko żydowska — zbeształ go Wantulok. — Jeżeli się bawię, to moja wyłączna sprawa, a tobie, smrodlawy Icku, wara ode mnie! Nalej do kielicha.

Zwróciwszy się zaś do chłopów, siedzących w kupce w przeciwnym rogu izby, rzekł:

— Czy mię ktoś przypadkiem z was nie potrącił? Jakiś ból czuję pod żołądkiem.

Chłopi poruszali się nieśmiało na ławie, ten i ów chrząknął, lecz nikt się nie odezwał. Bali się zadzierać z feldweblem, do tego jeszcze synem wójta.

— Pytam się, oszkliwe regruty zamazane, czy mię ktoś nie potrącił? — powtórzył Wantulok groźnie.

Wtedy odezwał się Holeksa.

— Ja was tak tylko z lekka pod żebrem połechtałem.

— Jak to?

— A tak! — odparł gajowy, uderzywszy się pięścią pod bok. Przytem zabłysły mu namiętnie oczy.

— Za to czeka was kryminał! — rzucił feldwebel. — Czy byliście już kiedy w kryminale?

— Widziałem kryminał z zewnątrz. Mogłem też przed wojną jednego kłusownika wsadzić do bąka. Wstrzymało mię jednakże od tego moje dobre serce, czego dzisiaj bardzo żałuję.

— Było trzeba wsadzić, toby się teraz nie żałowało — odparł feldwebel drwiąco.

— Gdybym był wsadził, toby się dzisiaj pewien warchoł nie rozpierał jako feldwebel po gospodzie — odparł gajowy z naciskiem.

Na te słowa poczerwieniał Wantulok na twarzy, a oczy zabłysły złowrogo. Wnet jednakże oprzytomniał i zapytał wyzywająco:

— Czy te docinki mają się do mnie odnosić?

— Jako uważacie! — odpowiedział gajowy.

— Widzę, że z cywilem trudno rozsądnie pomówić — wywodził feldwebel z dumą, rozwalając się szeroko na krześle. Wogóle nie pojmuję, dlaczego Bóg stworzył cywilów. Gdyby to, psiakrew, ode mnie zależało, wytępiłbym to plemię co do jednego. Na świecie powinno właściwie być tak: Jeden Bóg na niebie, jeden feldwebel na ziemi, a reszta rekruty, żeby miał kto feldweblowi buty czyścić i papierosa zapalać.

Takie zasady wyłuszczał feldwebel. Bojaźliwsi z pośród chłopów wynieśli się cichaczem z szynku, jakby na potwierdzenie teoryi Wantuloka, że cywilów nie trzeba na świecie. Holeksa z Halamą jakiś czas przysłuchiwali się mu jeszcze dla rozrywki, nakoniec jednakże splunął Holeksa z pogardą, zapłacił za wódkę i opuścił wraz z przyjacielem gospodę. Feldwebel pozostał sam na sam z gospodzkim.

— Czy nie tak, żydzie? — krzyknął na gospodzkiego.

— Tak, tak, panie feldwebel — potwierdził z namaszczeniem żyd. — Cywilów wcale na świecie nie trzeba.. Zupełnie słusznie.

— Tak się mi zaraz strać z oczu — rozkazał Wantulok, a kiedy żyd, wytrzeszczywszy oczy, udawał, że nie rozumie, chwycił go feldwebel za kołnierz i »szpyrtnął« nim za drzwi. Wreszcie i on puścił się drogą ku chałupie, pośpiewując sobie:

Protoste mie maminko,
protoste mie chowala...

II.

Przecudna noc księżycowa. Ołowiana cisza ciąży nad ciemnym borem. Wszystko spoczywa

w głębokim śnie wiosennej nocy, a tylko ogromna złota tarcza księżyca toczy się spokojnie ponad wierzchołkami jodeł. Rozświetloną czarownym blaskiem aleją leśną kroczy właśnie gajowy Holeksa. Często przystaje, rozgląda się bacznie wokoło, wnikając bystrem okiem w tajemniczy mrok. Widocznie kogoś oczekuje.

Jakoż w kilka minut zamajaczyła w pewnem oddaleniu niewyraźna postać mężczyzny. Holeksa postąpił spieszniej naprzód i stanął przed młodzianem, uginającym się pod ciężarem worka.

— A! jesteś mój drogi! — szepnął Holeksa tkliwym głosem.

— Przebaczcie, iż dopiero teraz nadszedłem — odpowiedział młodzian, zsunąwszy worek z ramion na ziemię.

Był to Janek, syn Halamy.

— Czy niema kogo w pobliżu?

— Ależ nie, nie, dziecko — uspokajał go gajowy.

— Chodzi mi o to, by nas nikt nie podpatrzył. Byłby z tego wielki kłopot, skoroby wykryto, iż zboże, które jest własnością państwa, przemycam nocą do was.

— Rozumiem, Janku — rzekł gajowy. — Nastały takie czasy, że człowiek stał się złodziejem własnej żywności. No, chodźmy dalej,

dziecko, chwyć tam za ten koniec a ja znów podtrzymam tutaj. Dyabeł nie śpi, mógłby ktoś nadejść.

Ruszyli z miejsca chyżym krokiem, sapiąc gwałtownie, bo worek ciążył w rękach i przygibał ich do ziemi. Minęli aleję, przelecieli przez zroszoną polanę i stanęli przed gajówką.

— Chwała Bogu, jesteśmy na miejscu — westchnął Holeksa, prostując zbolałe plecy.

— Dobry wieczór, Janiczku! — ozwał się nagle pieszczotliwy głos Jadwigi, zstępującej raźno po schodach werandy.

— Dobry wieczór też tobie, gołąbeczku mój drogi! — przywitał ją Janek, ściskając w drżącej dłoni jej delikatne paluszki. — Jakto, moja ptaszyna jeszcze nie śpi?

— Gdzieżbym też potrafiła tak cudną noc majową przespać — szczebiotała. — A już niepodobna kłaść się do łóżka, skoro się wie, że mój sokołek do lasu przyleci.

— Moja ty droga, jedyna — wyjąkał rozczulony Janek.

— He, he, he — uśmiechał się do siebie Holeksa, przypatrując się młodym z werandy. — Jakie to koty, patrzcie jeno.

Janek usiadł z narzecozną na ławeczce w werandzie. Nie mówili spory czas nic do siebie, tylko swój wzrok zatopili w rozsrebrzonej nocy księżycowej i wciągali pełną piersią

aromatyczną woń, bijącą od zroszonej polany i milczącego boru.

Księżyc zapadał w kropelkach rosy zwisających z traw i zielsk, lśniące, niebiesko-czerwone ogniki i rzucał wibrujące plamy na drzewa, budowle i płoty. Ponad łączką rozpościerała się para, niby misternie ze srebrnej tkaniny utworzona szata, liście bluszczu, otulającego szeleszczącym murem werandę, migotało w błyskach zielono-rudawych, a tylko bór stał w ciemnej, zbitej masie, niby czarna czeluść naokoło polany.

Ciszę uroczystą, lubą, do serca przylegającą, przerywał tylko brzęk przelatującego chrabąszcza lub cienki, drżący głosik konika polnego.

Naraz rozwarło się okno, wychodzące na werandę, a w ramach ukazała się łagodna twarz staruszki, babki Jadwigi. Dziewczyna już matki nie miała, a jej miejsce zajęła od dawna troskliwa babka, Agata. Staruszka spojrzała rozrzewnionem okiem na młodych, uśmiechnęła się błogo, a potem zawołała:

— Pójdźcie, dzieciczki, wieczerza już downo gotowo.

Młodzi, trzymając się za ręce, weszli do pokoju, schludnego, jak śnieg białego, oświetlonego jasno lampą, zwisającą z sufitu. Zajęli wraz z Holeksą i babką miejsce przy stole w ro-

gu. Babka nalała każdemu do filiżanki herbaty, a na stół postawiła talerz z chlebem.

— Jedzcie, dzieci, lepszego dziś ni momy — mówiła.

— Chwała Bogu, że i tyle jest — rzekł Holeksa. — Nie wszędzie dzisiaj mogą się tak smacznym chlebiczkiem dzielić.

— Tak, tak — westchnęła stara. — Głód i nędza w kraju. Ale pamiętom jeszcze gorsze czasy, moi drodzy. Kiedym była dziełuchą, to nastały głodne roki, że ludzie jak muchy kapali. Prośmy Boga, żeby gorzej nie było.

— I dzisiaj ludzie straszne czasy przeżywają — wtrącił Holeksa. — Wprawdzie nie mamy jeszcze tego głodu, o jakim mama wspomina, ale takiej długiej i zaciętej wojny, jak obecnie, świat doprawdy nie pamięta.

— Och Boże, Boże — wzdychała babka z bolesną miną, składając ręce. — Straszno ploga na ludzi przyszła. Okropno rzecz posłóchać, jak ci opowiadają, co z frontu przychodzą. Boże przenajświętszy!

— Ileż już to narodu wyginęło! — kiwał zamyślony Holeksa. Któżby też to był przewidział, kiedy się wojna rozpoczęła. Całe morze krwi już się przelało.

— Nie darmo też w proroctwie Sybili stoi — mówiła staruszka z przejęciem. — Krew bee potokami płynąć a trupy na cztery siągi zalegną

pola. Zawsze sie ludzie z tego proroctwa śmioli, a dziwejcie sie, jak sie to wszycko wypełniło. Ale już tej pychy i tego roztolicznego bluźnierstwa było strasznie moc na świecie. Ploga musiała przyjść, a teraz cierpi winny i niewinny.

Tak sobie Holeksa z matką rozmawiali, zaś młodzi, zgrozą przejęci, tulili się do siebie. Jadwiga pobladła na twarzy, drżała jak osika, słysząc z ust ojca o tych okropnościach na polu bitwy. Janek sposępniał, uprzytomniając sobie, iż jemu również grozi służba wojskowa na wypadek, gdyby kierownik nie zechciał dalszej jego reklamacyi w starostwie odpowiednio zaopiniować. Oczy zapaliły mu się ponurym płomieniem, a na czole usiadła ciężka chmura, ilekroć sobie przedstawił, że musiałby Jadwigę opuścić, przeszyła go trwoga i bezmierny ból. Snać musiała Jadwiga przeczuwać, jakie myśli snuje jej narzeczony, bo się biedaczka znagła rzewnie rozpłakała. Ojciec z babką, którzy, zajęci rozmową, mało zważali, nad czem Jadwiga boleje, żałowali w duszy, iż w jej obecności rozpoczęli rozmowę na tak ponury temat. Udało się jednak ojcu córuchnę jakotako uspokoić i wykazać, iż Jankowi żadne niebezpieczeństwo pod tym względem nie grozi.

Jadwiga otarła łzy z oczu, starzy zamilkli, w pokoju zapanowała cisza, tylko ogień zatrze-

szczał niekiedy pod blachą, lub zaszeleściała winna latorośl za oknem.

Księżyc spoglądał ciekawie przez szyby do pokoju, od czasu do czasu dolatywał urywany szmer od boru, albo zahuczała gdzieś nad gruszą sowa. Poważny nastrój zawisł nad całą przyrodą, spokój zapanował wszędzie. Gdzie te lasy rozległe, tonące w blaskach księżycowych, miały wyobrażenie, co się het tam daleko w świecie dzieje, jak się ludzkość wzajemnie morduje i tępi!

Ażeby znękaną duszę cośkolwiek ukoić, ozwał się gajowy do Janka:

— Weźmijże skrzypce, chłopcze, wyjdź na werandę i zagraj nam co.

— Tak, Janiczku, zagraj co, proszę cię — przymilała się i Jadwiga.

Janek sięgnął po skrzypce i wyszedł z Jadwigą na werandę. Holeksa zaś począł się ubierać w drogę, bo chciał nocną porą swój rejon leśny raz jeszcze przejść. Młodzian usiadł na skraju werandy, przyłożył skrzypce i musnął z lekka smyczkiem po strunach.

W ciszy leśnej rozległ się tkliwy dźwięk skrzypiec, popłynęła rzewna melodya jakiejś tęsknej pieśni ponad mieniącą się polaną, drgając odgłosem w zaroślach niby bolesnem łkaniem. Mroczny bór wtórował swym przeciągłym szmerem, wzdychając ciężko, tylko świerszcze za-

milkły strwożone, przysłuchując się w skupieniu szlochającym tonom. Księżyc zaś patrzał z poza wierzchołków chwiejących się jodeł na polanę i gajówkę tak obojętnie, jakby go cały ten świat wcale nic nie obchodził. Snać jego serce zupełnie już zlodowaciało na losy i dolegliwości siostry ziemi.

— Bywaj mi zdrów, chłopcze — rzekł Holeksa do Janka, odchodząc do lasu. — Bawcie się, a ty, mamo, owiń się mocniej w hackę, bo może być koło północy chłodniej. Ja wrócę przed świtem. Dobranoc.

Długo po odejściu Holeksy przygrywał jeszcze Janek. Babka, przykucnięta w rogu, raz szeptała pacierze, to znów, uśpiona dźwiękami, poczęła się kiwać na boki, zaś Jadwiga, do szczętu rozmarzona, wodziła szeroko rozwartemi oczyma po lśniącej polanie. Wreszcie zerwał się młodzian, mówiąc:

— Ja sobie tu gram, a północ już pewnie dawno minęła.

Pożegnał się z Jadwigą i babką i podążył spiesznie ścieżką wpoprzek polany. Księżyc stoczył się już dawno z zenitu ku zachodowi, a zmrok zapadł na aleję leśną, ledwo co jeszcze niewyraźnie widniały białe pnie brzózek. Głuche milczenie zawisło w parnem powietrzu, niekiedy przeleciał cichy odblask dalekich błyska-

wic po ciemno-szafirowym firmamencie, a z czarnej głębi lasu dolatywał senny szmer potoczka.

Uszedłszy spory kawał drogi, zobaczył Janek na tle lekkiej mgły niewyraźnie zarysowującą się postać ludzką. Zdziwił się, nie mogąc pojąć, ktoby o tej porze tak jakoś podejrzanie snuł się po lesie. Może jaki kłusownik? Przystanął w miejscu, obserwując, dokąd nieznany się zwróci. Postać zbliżała się zwolna, a potem skręciła w bok, w gęstwinę. Kiedy znowu błyskawica górą mignęła, odbiła się czerwonym światłem na lufie od strzelby, jaką obcy widocznie niósł.

Nie namyślając się długo, puścił się Janek cichaczem w trop za tajemniczą postacią. Kilka razy mu znikła z oczu, ale zawsze potem pojawiła się parę kroków przed nim. Posuwała się bardzo ostrożnie, niekiedy przystawała, jakby coś pilnie śledziła. Nie było wątpliwości, że to kłusownik.

Gęstwina się cośkolwiek przerzedzała i nieznacznie przechodziła w dosyć obszerną polanę, tonąc w wyraźniejszem świetle. Kłusownik zatrzymał się na skraju polany, przykucnął do ziemi i pozostał w nieruchomej pozycyi. Janek uczynił to samo. Nie trwało to długo, zaledwie kilka minut, kiedy z przeciwległego gąszczu wynurzył się rogacz i, posuwając się zwolna naprzód, stanął w środku polany. Wtedy pod-

niósł nieznajomy lufę, zwracając ją ku rogaczowi. Padł strzał, huk wstrząsnął powietrzem, kilkakrotne echo odbiło się od drzew, a rogacz, podskoczywszy do góry, okręcił się w półkolu i runął do trawy. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Nim jeszcze Janek ochłonął z doznanego wrażenia, nim zdołał podnieść się z ziemi, wypadł z przeciwległych zarośli mężczyzna, również ze strzelbą w ręce i krzyknął groźnie:

— Stać! Ani mi się z miejsca ruszać!

Janek odrazu poznał po głosie gajowego Holeksę. Prawie w tym samym momencie prysnął ogień, padł drugi strzał i gajowy z jękiem bolesnym runął jak ścięta jodła na twarz. Jankowi stanęło serce, w uszach zaszumiało mu wichrem, a nogi tak mu się zatrząsły, iż musiał się rękami oprzeć o poblizkie drzewo, aby nie upaść. Lecz wnet się ocknął i poczuł w sobie jakąś dziką żądzę zemsty, aby rzucić się na kłusownika i rozdrapać go w kawałki. Z głębi piersi wydarł mu się nieludzki okrzyk. Prawie na oślep skoczył przez jakieś cierniste krzaki w stronę kłusownika. Błyskawicznym ruchem odwrócił się tenże ku niemu, a jego oczy, straszliwie rozwarte, sypnęły snopem iskier. Przez moment zdawało się, iż rzuci się na Janka. Lecz znagła zawrócił, zgiął się, skoczył w ciemną jak otchłań gęstwinę, znikając jak widmo. Janek puścił się w pościgu kilka kroków za nim, gdy

wtem usłyszał jakieś słabe skomlenie od strony, gdzie Holeksa nieruchomo na ziemi leżał. Zawrócił na miejscu i stanął prawie jednym susem obok leżącego. Schyliwszy się nad nim, odwrócił go twarzą do góry. Trupia bladość okrywała policzki gajowego, oczy były przymknięte, usta lekko rozwarte, z których wydobywały się ciche jęki.

Janek rozpiął gajowemu bluzkę na piersiach. W świetle zachodzącego księżyca ujrzał wązką strugę krwi, ściekającą miedziano-rudą nitką wzdłuż prawego boku. Nie namyślając się długo, odsłonił ostrożnie ranę, wypruł z rękawa własnej koszuli szeroką szmatą płótna, opatrując nią umiejętnie i delikatnie zranione piersi. Następnie, zwilżywszy chustkę na rosie, otarł nią kilkakrotnie bladą twarz rannego. Po chwili otwarł Holeksa oczy, spojrzał nieprzytomnie w oblicze Janka i westchnął z głębi piersi.

— Chwała Bogu! — wyrwało się z drżących ust Janka. — Czy czujecie, drogi tateczku, wielkie bóle?

Holeksa poruszał wargami, lecz przymknął znowu oczy. Po chwili dopiero, podnosząc powieki, spojrzał już bystrzej wokoło, szepnąwszy urywczo:

— Boli... w boku... pali... do domu... Jadwisia. — Potem znów zamknęły się powieki i zdrętwiał w rękach młodziana.

Janek rozejrzał się bezradnie wokoło. Serce poczęło mu bić młotem, w żyłach raźno krążyła krew, niby elektrycznym prądem. Cóż tu począć? Gajowego koniecznie trzeba ostrożnie zanieść do domu, a on temu sam nie podoła. Na szczęście przypomniał sobie, iż niedaleko stoi chata wyrobnika leśnego, Warcyngi. Okrywszy zatem starannie leżącego płaszczem, pobiegł co tchu do Warcyngi.

Stary wyrobnik przeraził się niemało, kiedy go o tej późnej porze zbudzono. Wypadł z łóżka, otworzył okienko, wołając:

— Do Krysta Pana, a któż tam burzy na dwierze? Zbuje lebo co?

— Przebaczcie Warcyngo — odpowiedział Janek. — Ubierzcie się śpiesznie i chodźcie natychmiast ze mną do lasu. Gajowemu wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Leży postrzelony na polanie, ot tu, niedaleko.

— Matko Boska! — jęknął wystraszony Warcynga. — Czy sie abo som postrzelił? A może jaki rabczyk? Jezusie Kryste!

— A tak, — potwierdził Janek. — Rabczyk. Ale chodźcie już, opowiem wam w drodze bliższe szczegóły.

Kiedy Janek z wyrobnikiem wrócili na miejsce wypadku, zastał gajowego w zupełnie nieprzytomnym stanie. Otrzeźwili go cośkolwiek, sporządzili na prędce z gałęzi nosze, po-

łożyli go ostrożnie na nie i ponieśli, stąpając lekko krokiem miarowym w stronę gajówki.

— Tak mi teraz Janku powiedz, jaki to było wszycko — ozwał się Wacynga w drodze.

— Przedewszystkiem zważajcie na to, abyście trzymali krok i nie potrącali nosze o drzewa — odpowiedział Janek.

— Dyć jo już dowom pozór, jeny mi teraz mów, jak sie to stało. Dyćby mie baba po pysku sprała, jakbych do domu wrócił, a nie umiołbych jej doskumentnie wyłożyć, jak co było.

— Cóż tam dużo opowiadać? — rzekł po chwili Janek. — Kłusownik podstrzelił i basta.

— Dzisz, to mosz! — rzucił Warcynga tonem, zdradzającym więcej niepohamowaną ciekawość niźli głębsze współczucie. — Kajś tam wloz? A któżby go też tak przejechoł, nie widziołeś? Poznołeś? Jezu Kryste, tak do człowieka strzelać, jak do zająca!

— Czemużbym nie miał poznać? — odparł Janek. — W świetle księżyca poznałem doskonale jego twarz, aczkolwiek wyraz dzikiej namiętności czy strachu zmienił ją do szczętu. Poznałem dobrze, choćby i teraz przysięgać!

— Brrr! — otrząsł się Warcynga, bo go mrowie przeszło. — Przysięgać bee chłapiec, dziwejcie sie. Jak łońskigo roku Żyłę ze Zolesio na śmierć w sądach odsądzili, toch też musioł

przysiągać. Jezu Kryste, wszycko, jeny to ni, ludkowie złoci. A tóż gdóż to strzelił, he?

Janek zaraz nie odpowiedział. Widocznie coś w myśli ważył, nim zdecydował się na tę odpowiedź:

— A ktoby tam strzelił, jak nie feldwebel Wantulok. Widziałem i wszędzie powiem — rzucił.

Wtedy nosze się zachwiały, bo Warcyndze poczęły ręce mocno drżeć.

— Poczkej, halt Janek, spocznijmy. Już dali ni mogę — zawołał nieswojskim głosem, opuszczając nosze na ziemię.

Wszyscy święci i ty aniele stróżu bądź mi zawdy na pumocy — wyrwało mu się z pobladłych ust, a zimny pot wystąpił na czoło. — Tóż syn fojtów, prawisz? No to ci dziepro parada! I jak tu potem biedny człowiek ni mo zgrzeszyć, jak już tacy hyrocy i sztudyrowani sie tak nizko spuszczają. No to ci dziepro bee breweryja! Maryja pociesz, co też na to wszycko moja baba powie! Ciekawych! Ale pódźmy, bo mie bee staro niecierpliwie czakać.

Trudno opisać dziką rozpacz córki Jadwigi i babki Agaty, kiedy przyniesiono im ciężko rannego ojca do domu. Matka, która w życiu, niewątpliwie niejeden ciężki cios zaznała, hamowała się jeszcze cośkolwiek, ale Jadwiga, to już prawie że od zmysłów odchodziła. Rwała

biedaczka włosy z głowy, tuliła zimną twarz ojca do swej piersi, okrywała jego ręce pocałunkami, a z jej ust wyrywały się głosy tak szalonej boleści i rozpaczy, iż Janek, aczkolwiek sam do najwyższego stopnia wzruszony i rozdrażniony, musiał ją uspakajać i od łoża chorego odrywać, ażeby nie dotknęła rany ojca, nie dodawała mu jeszcze większego bolu. Nawet Warcynga, widząc, jak ta młoda dziewczyna cierpi, zaszlochał gwałtownie, mrucząc przez zaciśnięte zęby:

— Boże, co to za nieszczęście! Och chudzioczku ty, moja dziełuszko, niewinne ty dzieciątko, sierotko. Dyć coby to moi dziecka krzyczały, dyby sie to na przykłod mie tak przydarzyło. A co dziepro tako fajniutko, delikatno cereczka, jedynaczka Holeksy! O jej, jej, jej, kany!

— Zrobilibyście nam wielką przysługę, Warcyngo, gdybyście natychmiast polecieli po lekarza. Pamiętajcie, że każda minuta jest droga. Życie gajowego leży w waszych rękach.

Tak przemówił Janek do Warcyngi; ten zaś, ocierając rękawem łzy, wypadł bez kapelusza z gajówki i jak opętany pędził w stronę wioski, do mieszkania lekarza. W tej chwili ani nawet o swojej babie nie myślał.

Janek tymczasem zajął się rannym i kobietami. Pierwszemu uśmierzał wedle sił bole, Ja-

dwigę zaś wciąż pocieszał, tak, że się mu w końcu udało ją trochę uspokoić. Zapewniał uporczywie, że rana ojca bynajmniej nie jest tak niebezpieczna.

Szary dzień począł zwolna fioletowe cienie nocy majowej rozpraszać, kiedy lekarz z Warcyngą nadszedł. Zbadał dokładnie ranę Holeksy, przyłożył nowy opatrunek, a jego twarz przybrała wyraz jakiegoś przykrego zakłopotania. Skoro jednak zauważył, z jakim wyrazem naprężenia śledziła jak trup blada Jadwiga jego minę, wypogodził oblicze i zawyrokował z dobrze udawaną wesołością:

— Pan gajowy wyliże się do tygodnia. Dziękuj dziecko Bogu, że rana tylko lekka, wcale nie niepokojąca. — Wydawszy zaś dyspozycye co do pielęgnowania chorego, uścisnął rękę Jadwigi i wyszedł do sieni z takim pospiechem, jakby się obawiał, że nie zapanuje nad swem wewnętrznem wzruszeniem i zdradzi się. Przyrzekł, iż jeszcze przed południem odwiedzi chorego. Przed gajówką zaś zwrócił się do Janka temi słowy:

— Rana jest ciężka! Płuca uszkodzone! Może być silne zapalenie, a wtedy jest katastrofa nieunikniona.

III.

Lotem błyskawicy rozniósła się po wsi wieść o nieszczęśliwym wypadku gajowego. Ogólny postrach padł na ludzi, kiedy podawano sobie z ust do ust nowinę o zbrodniczym zamachu na Holeksę. Jeszcze ani słońce nie weszło, a już zakotłowało we wsi jak w ulu. Ludzie przystawali na drodze przed chatami, zbijali się w kupy, gestykulowali żywo, kobiety załamywały ręce, a dzieci kryły się ze strachu po kątach. Boć to przecież był niesłychany wypadek w okolicy.

— Słyszeliście Jewko? Toć już chyba sądny dzień.

— A jużci. I to bezmali jeszcze »taki« mioł nabroić.

— Żeby to naozaist »on« do Holeksy strzelił?

— Cicho! Mógłby jeszcze kto posłyszeć. Jezu Kryste, bobych z fojtem na krzyż nie chciała przyjść. Tak jeny ludzie bojają, tóż nie wiem, wiela prowdy na tem.

— Jędrys Maryna! Toby ci była dziepro breweryja!

— Cicho, cicho sąsiadki. Parcie, hanej akurat wali fojt z rechtorem na przejmo przez podorówke. A taki jakisi rozpajedzony.

Tak sobie zestrachowane kobiety gawędziły, drepcąc w opłotkach. Mężczyźni zaś mniej hałaśliwie rozmawiali, zato ten lub ów śmielej rzucił jakieś słówko zuchwalsze:

— Niby feldwebel psiakrew, a na stryczku miołby downo wisieć.

— Wychowoł se fojciczek synalka, o ja! Bee mioł pocieche z niego.

— Bo już tej pychy było kapke za moc.

— Prowde prawicie. Dyćbyście mu ani żertką do nosa nie dosięgli.

Tymczasem wójt z kierownikiem zmierzali spiesznym krokiem ku domostwu Halamy. Naprzód kroczył zamaszyście, z butnie podniesioną głową wójt, nie zważając wcale na zbiegowisko we wsi, za nim, sapiąc jak miech kowalski, tyrckał kierownik z miną Jowisza. Nie mówili nic do siebie. Stanęli na powórzu Halamy, szepnęli coś do siebie, a potem weszli, stąpając ciężko, do mieszkania.

— Dobre rano! Czy gazda w domu?

— Na oto żech je — ozwał się głos z komory. — Aha, dyć to pón rechtor z fojtem, nale wiecie kany. Proszę dali do izby.

— Nie mómy wiela czasu — odparł wójt oschle. — Jesteście tu sóm, chcę sie krótko z wami rozmówić.

— Cóż takigo? — zapytał Halama oziębłej.

— Bardzo mocka, człowieku! — buchnął wójt zapalczywie. — Powiedzcie mi, jak sie ten wasz smarkocz Janek, ten chłystek zielony, opowoży taki plotki rozsiewać po dziedzinie, he?

Halama poczerwieniał na twarzy, usta zadrgały mu nerwowo, ale się jeszcze hamował i odparł spokojnym tonem:

— Mój chłapiec żodnych plotek nie rozsiewo. Jesi co kiej powie, to powie prowde.

— Tak! — dyszał wójt wściekły. — Tóż to też mo być prowda, że mój syn, pon sztabsfeldwebel, strzelił do gojnego, he?

— Gdyby mój Janek nie był widzioł jak strzeloł do gojnego i nie był go poznoł, toby ni mógł głupstwa pleść.

— Halamo, miarkujcie sie, co mówicie! — groził wójt, dygocąc na całem ciele.

— Wiem, co mówię! — odparł Halama.

— Nie tak zuchwale, psiakrew, pókich dobry! Czy jo je wasz pasterz? Fojta mocie przed sobą, pamiętejcie se! Nie grejcie se ze mną!

Byłoby niewątpliwie przyszło do jakiegoś czynnego starcia, gdyby kierownik zawczasu nie był zainterweniował:

— Tylko spokojnie, ludzie! Rozmówcie się statecznie! Słuchajcie, Halamo, co wam powiem. Szanowałem was dotychczas jako człowieka rozsądnego, więc mam nadzieję, że dacie sobie sprawę rozumnie wyjaśnić. Chyba prze-

cież sami nie uwierzycie w bajkę, jakoby pan feldwebel miał postrzelić gajowego, nieprawdaż?

— Hm! — podrapał się Halama w głowę. — Jo już tam nie wiem. Coby ni mioł strzelić, je przeca felwebel!

— No słuchajcie, Halamo, dajcie sobie rozumne słowo powiedzieć. Janek sie widocznie pomylił co do osoby zbrodniarza. Osądzą niewinnie pana feldwebla i wyrządzą przez to bądź co bądź niemałą przykrość panu wójtowi. Pomyślcie sobie, co to znaczy tak zacną rodzinę, jak Wantuloków, niepotrzebnie szkalić. Janek może na siebie surową karę ściągnąć za oczernianie uczciwych obywateli. Nie mówię już o kłopotach, na jakie i was naraża, poróżniając was z panem wójtem i — otwarcie powiadam — także ze mną, jako szczerym przyjacielem wójta. Jesteście od nas pod każdym względem zależni. Pamiętajcie także, iż na jedno skinienie z mej strony powandruje Janek do szeregów! Namyślcie się, póki czas, przyjacielu, jak macie postąpić. Oprzezywejcie chłapca, nakożcie mu jak ma przed światem mówić, niech odwoła natychmiast brednie, a wówczas zalicza się do naszych przyjaciół. Sądzę, iż w całości przyjmujecie moją propozycyę.

— Mój kochany rechtorku! — odparł Halama. — Przykro mi, ale Janek bedzie musioł przed sądem tak świadczyć, jak sie rzecz stała.

Przeca ni może krzywoprzysięgać? No, uznają se to sami!

— Chodźmy! — warknął wójt, blady jak ściana. — Kiej taki mądry, to on jeszcze pozno, co jo znaczę! Jędrys Maryna, człowieku, jak sie wy dostaniecie do moich pazurów, to niech was ręka Bosko broni.

I odeszli. Halama zaś potoczył się jak pijany na ławę pod piecem, bo go jakieś straszne przeczucie ogarnęło. Chwycił się oburącz za głowę, wzdychając: Boże mój, co też teraz jeny bedzie!

Ledwo się wójt z kierownikiem wyniósł, zapukał znowu ktoś do drzwi. Halama był tak głęboko zamyślony, iż wcale nie zauważył, jak na progu stanął żandarm.

— Dzień dobry, gospodarzu!

— Dzień dobry! Aha, dyć to oni są, pón wachmajster.

— Cóż porabiacie? Sami jesteście w domu?

— A tak, som, panie wachmajster. Staro sie kansi plęcie po chlewie, a syn bezmali je w gajówce.

— Właśnie z waszym synem chciałbym pomówić — rzekł żandarm. — Zresztą i wy możecie mi z pewnością dać jakieś wyjaśnienie w sprawie zamachu na gajowego. Cóż wy właściwie o tem wszystkiem wiecie? Musiał wam chyba coś syn opowiadać.

— A jużci, że cosik tam mówił — tłómaczył się stary Halama, skrobiąc się z frasobliwą miną w głowę. — Ale to je taki niedorzeczne, że temu wiary dać ni można. Mój synek sie pewnie musioł pomylić.

— No mówcie jeno śmiało, jak wam syn sprawę tę przedstawił — wezwał żandarm gospodarza.

Więc Halama zaczął, jąkając się bezustannie, opowiadać z pewną ostrożną rezerwą całą nocną przygodę w lesie, tak, jak mu ją Janek sam wczas rano przedstawił. Co kilka zdań, twierdził, że nie może ręczyć, czy rzecz rzeczywiście tak się ma i że Janek z pewnością co do osoby napastnika musiał się pomylić.

— To już, mój kochany, z pewnością wszystko się wyjawi — zapewniał żandarm, zapisując sobie w notatniku szczegóły opowiadania. — Od tego są sądy, ażeby sprawę dokładnie zbadały i wyświetliły. A teraz zostańcie z Bogiem. Udam się wprost do gajówki. Moje uszanowanie!

Ciężkie dni nastały zarówno u Halamów, jak i w gajówce. Holeksa leżał kilka dni bez przytomności, w wysokiej gorączce, walcząc ze śmiercią i zdawało się niekiedy, iż lada chwila wyzionie ducha. Stara matka Agata z Jadwigą nie odstępowały od łoża, dniem i nocą pielęgnując chorego. Janek wyręczał ich też często. By-

wało, że przychodził po ciężkiej całodziennej pracy na roli do gajówki, zmuszał kobiety, by wypoczęły, a on sam zajął ich miejsce, czuwając przez całą noc przy chorym. Trudno opisać, ile wszyscy przecierpieli. Do tego gryzł ich niepokój i lęk o przyszłość. Dowiadywali się z rozmaitych stron, jak się wójt z kierownikiem odgrażał, jak Halamów przeklinał i w gospodzie pomstował. Nikiedy to ich taka trwoga ogarniała, iż chodzili po gajówce jak w letargicznym śnie, nie odzywając się ani słówkiem do siebie. Najwięcej bolała Jadwiga. Zmizerniała, pobladła i wciąż po kątach szlochała i narzekała.

Pewne ukojenie wstąpiło w ich znękane dusze, kiedy lekarz pewnego wieczora z zadowoleniem stwierdził, iż jest pewna nadzieja, że gajowy szczęśliwie przetrwa kryzys. Natomiast nazajutrz zatrwożyli się niemało, kiedy Janek otrzymał od listonosza pozew na rozprawę sądową.

Feldwebel Wantulok po owem zajściu w lesie jakoś wytracił się ze wsi. Mówiono, iż dobrowolnie skrócił swój urlop i wrócił do kadry swego pułku w Cieszynie. Ojciec jego wysiadywał w gospodach, stał się jakiś uprzejmy i nadskakujący wobec każdego, częstował obficie kogo spotkał i podjudzał przeciwko Halamie i gajowemu.

— Beecie widzieć — wykrzykiwał butnie — że moimu Karłowi nic nie bee. Eszcze ten gizdok Halamów odwali za posądzeni. Na mu duszu!

— Mocie recht! — przytakiwali mu ci, których częstowoł. — Taki fojt, jakoście wy są, zawsze musi mieć swoi na wierzchu.

— To sie wie! — potwierdził dumny wójt. — Tobych sie przeca podziwoł, jakby mi tu pierwszo lepszo haltapujtka miała co pokręcać. A od czegoby byli adwokaci, he? A od czego moi bogactwo? Na zdrowie, gibasy, lejcie do basu, pókiel kazuję!

— Na zdrowi naszemu fojciczkowi! Niech skrepnie Halama i cały Holeksa! — krzyczeli na całe gardło. — Wielko rzecz, że go tam kierysikej kulką połechtoł.

— No, no, toście świętą prowde powiedzieli, kumoterku!

— Na mu duszu! Nima ani o co tela banować!

— Isto! A czy to feldweblowi nie wolno se tak puknyć? — wtrącił jeden z pijanych nierozważnie. — Od czegoby mioł gwiozdki pod karkiem? A medal na piersiach? A złoty krzyż zasługi?

— Pst! — upominali warchoła rozsądniejsi i mniej opici. — Co ty fulosz, człowiecze? Jakeś ożrały to idź spać do chlewka!

Tak to broił wójt ze znajomymi i kolegami przy kieliszku, kpiąc sobie ze sądów i ustaw.

Jego butne przepowiednie ziściły się w zupełności. Wywody Janka przeciwko feldweblowi uznał trybunał sądowy jako nieścisłe i niewystarczające. Skonstatowano niewinność feldwebla Wantuloka, żołnierza »wielce zasłużonego«, nieposzlakowanego, nawskroś uczciwego, zgodliwego i szlachetnego. Stary Wantulok postawił trzech adwokatów, którzy wymownie i z niezwykłą werwą bronili nieskazitelnego honoru pana feldwebla, przedstawiali jego cnoty i zalety, tak, że się oskarżony sam niemało zdziwił, iż dotychczas nic a nic o tem nie wiedział, jaki to z niego zacny i szlachetny bohater.

— Psiakrew! — zaklął, wyszedłszy po rozprawie z sali sądowej. — Jak widzę, świat mię dotychczas zamało respektował. Poczekajcie, zielone, wszawe regruty, pokażę ja wam, kim jestem. Dopiero te adwokaty potrafią ocenić należycie feldwebla, lepiej niż te zamazane regruty. Co uczony, to uczony, nie ma co!

Niebawem zaczął spadać na rodzinę Halamów i Holeksów cios za ciosem, powodowany mściwością wójta i kierownika. Zaraz po tygodniu zjawiła się na podwórzu Halamy niespodziewanie komisya rekwizycyjna, składająca się z kilku żołnierzy, żandarmów i komisarzy

z urzędu powiatowego, na ich czele kroczył kierownik z wójtem.

— Jesteście oskarżeni — zwrócił się jeden z nich z surową miną do pobladłego Halamy, — że ukrywacie gdzieś zapasy zboża, które na mocy ustawy są własnością państwa.

— Chciołbych wiedzieć, kto mie tak oszkalił? — zapytał Halama niepewnym głosem, spojrzawszy na wójta z wyrzutem i wielką żałością.

— Jo ci zaroz powiem, kto cie oszkalił — rzucił wójt z miną tryumfatora. — Pasterz, co u ciebie słóżył, a teraz u mnie krowy pasie, zdradził cię kanarku. Zboże mosz w dziurze pod piwnicą schowane. Widzisz, mądroku! Kopołeś dołki pod nogami moigo pana feldwebla, a teraz sie pokoże, kto zbrodniarz, ty, czy mój zasłużony Kareł, co mo medal i złoty krzyż zasługi.

Weszli do piwnicy, rozkopali wszystko do góry nogami, aż nareszcie pod murem znaleźli znaczne zapasy zboża. Żołnierze wynieśli natychmiast worki ze zbożem na podwórze i rzucili je na przygotowany wóz. Nie dosyć na tem. Zabrali i zboże ze strychu, na wyżywienie rodziny przeznaczone, zarekwirowali i ziemniaki, owoce strączkowe i słoninę. Spisali potem długi protokół, a jeden z komisarzy rzekł do Halamy złowieszczym tonem:

— Odtąd pobierać będziecie żywność na kartki, które wam wyda co tydzień pan kiero-

wnik szkoły. Zboże jest skonfiskowane, zaś w najbliższych dniach doniosą wam z urzędu, jaką karę wam wyznaczą za zatajenie zapasów żywności i wprowadzenie władzy w błąd.

Halama stał przed komisyą jak skazaniec. Twarz zsiniała mu okropnie, wargi drgały jak w febrze, nogi zesztywniały pod nim i nie był w stanie wykrztusić ani słówka na swe usprawiedliwienie.

— A to jeszcze nie wszystko — ozwał się wójt z szatańskim uśmiechem. — U pana rechtora leży już powołanie Janka do wojska. W przeciągu dwunastu godzin ma się do komendy odstawić. A teraz zostoń z pónbóczkiem, przyjacielu, zaś wy, moi panowie, — zwrócił się do komisarzy — pójdźcie ze mną na gulasz i piweczko do żyda, boście sie moc spocili z tem łowieniem.

Poszli, a Halama stał wciąż w pośrodku podwórza jakby skamieniały. Niekiedy potarł dłonią po oczach, jakby się chciał z ciężkiego a strasznego snu zbudzić. Żona jego, Hanka, tłukła się po pokojach, a przez otwarte okna dolatywały głosy jej jęku i płaczu rozpaczliwego. Janek, siedząc pod ścianą na ławeczce, oparł schyloną głowę o dłonie, a z jego oczu ściekały łzy jak z cebrzyka.

— Ach Boże przenajdroższy! — krzyknął

wreszcie Halama zachrypłym głosem. — Co za nieszczęście spadło na mnie!

A potem popędził jak szaleniec w słoneczne pola bez kapelusza, w spodniach i kamizelce, aby już nie przysłuchiwać się dłużej przejmującym skargom i narzekaniom swej żony. —

— — — — — — — — — — — —

Nazajutrz zjawił się Halama z Jankiem w gajówce. Janek ubrany był do podróży, w ręce trzymał walizkę. Twarz jego była smutna i zmartwiona.

— Musi się z wami rozłączyć. Dziś przed południem ma być w komendzie — rzekł po krótkiem przywitaniu stary Halama ponurym głosem.

Holeksa, leżący na łożu, zwrócił zwolna swe mętne, wyblakłe oczy w strony mówiącego. Westchnął, chwycił się wychudłą ręką za zbolałe piersi, a potem wypowiedział urywczym, ledwo dosłyszalnym głosem:

— Jużem o wszystkiem słyszał. Chudzioczku ty! cierpisz teraz dla mnie!

Wielkie łzy potoczyły mu się po zapadłych policzkach, a usta drgnęły w kurczach. Jadwiga zaszlochała w kącie rozdzierającem łkaniem, tuląc twarz w fartuchu, Agata załamała ręce, a Janek stał przed łożem jakby wrósł w ziemię.

— Marne narzekani! — rzekł po chwili Halama, tłumiąc żal w duszy. — Rozłączcie się

dzieci, a ty, drogi przyjacielu, błogosław Jankowi na drogę.

Janek uklęknął wraz z Jadwigą przed łożem, Holeksa zaś, pochyliwszy się przy pomocy matki Agaty na bok, podniósł z trudem ręce do góry, położył je na głowach zaręczonych i otworzył usta, ażeby wypowiedzieć słowa błogosławieństwa. Ruszył drżącemi wargami kilka razy, lecz głosu nie mógł wydobyć z zaciśniętej gardzieli, tak go ból dusił za krtań, tylko z oczu polały mu się obficiej krople. Wreszcie, wysilając się, szepnął:

— W razie, żeby mię Bóg wkrótce powołał, udzielam wam, drogie dzieci, ostatni raz błogosławieństwa na wasze życie. Jestem, Jadwisiu, spokojny o twój los, poznałem Janka, ufam mu w całości. Żeby tylko Bóg pozwolił mu szczęśliwie z wojny powrócić. O to tylko proście, dzieci, amen.

Opuścił ręce i popadł w omdlenie. Rzewny płacz rozległ się po izbie, bo słowa chorego wszystkich do głębi duszy przejęły.

Pierwszy ocknął šię znowu Halama.

— Dyć przeca, dzieci, tak nie płaczcie. Do Bóg, to gajowy wyzdrowieje i Janek z wojny zdrowy wróci, poco sie tak daremnie gryźć? Jeszcze do choroby popadniecie. Tobie, Janku, trza iść, aby nie był sztrof.

Janek złożył gorący pocałunek na ustach chorego, przycisnął jego dłonie do zwilżonych ust, uścisnął potem prędko łzami zalewającą się matkę Agatę, objął ojca za szyję i wyszedł spiesznie z Jadwigą, która go miała jeszcze kawałek odprowadzić.

Za lasem przystanęli i spojrzeli na szerokie, w szmaragdowej zieleni mieniące się pola. Stali przez chwilkę milcząco, trzymając się za ręce, jak dwoje dzieci. W dole majaczył w rudej mgle Cieszyn z Piastowską Wieżą i koszarami na wzgórzu. Jankowi ścisnęło się serce z żalu. Nie chciał jednakże zbyt martwić Jadwigi, zaczem przycisnąwszy jej jasną główkę do piersi, pogłaskał po włosach i rzekł tkliwym tonem:

— Nie smuć się, Jadwisiu. Ja wrócę prędzej, nim się tego spodziewasz. Mam przeczucie, że się wszystko szczęśliwie ułoży.

Potem jeszcze jeden uścisk — i rozeszli się.

Zdążał chyżym krokiem drogą, oglądając się często na las. Długo widział jasną postać dziewczyny na skraju lasu, aż nareszcie znikła mu z oczu.

Koło południa zjawił się spocony i pyłem okryty w kancelaryi wojskowej. Stanął skromnie u drzwi z walizką, czekając, skoro go ktoś zagadnie. Po kancelaryi uwijało się kilku żołnierzy z gwiazdkami na wysokich kołnierzach. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili z obszerne-

go biura, każdy nibyto bardzo zajęty. Za długim stołem pisało kilku z wyższej szarży. To ten, to ów, przystąpił do stołu, oddawał lub odbierał pospiesznie cedułki, akty i znikał za drzwiami. Nareszcie jeden z nich, zmierzywszy Janka chmurnem spojrzeniem, zapytał krótko z czeska:

— Co z wama?

— Jestem powołany do wojska — odpowiedział Janek, prostując się.

— Mate cedulku nebo kniżku? Dejte to sem!

Janek podał mu pozew do wojska. Plutonowy rzucił okiem na kartkę, drgnął, popatrzył bystro na Janka, a uśmiechając się złośliwie, rzekł:

— A to wyste ten Jan Halama? Slava!

Potem wpisał coś do księgi, przywołał ordynansa i zawołał:

— Pane frajter! Toho muże seberte do patej kompanije. Zhlasić ho spiž w kancelarzu u pana sztabsfeldwebla Wantuloka. Dzite!

Janek, słysząc nazwisko feldwebla, zadrżał na ciele. Toć to przydzielą go do plutonu, stojącego pod rozkazem Wantuloka. W oczach mu pociemniało, a w głowie poczuł zawrót, że się musiał o futrynę drzwi oprzeć, aby nie runąć na ziemię. Cóż go czeka w koszarach, skoro

jako rekrut podlegać będzie Wantulokowi? Zgroza!

— No to dzite już, ne hledźte tak bylbie! — powtórzył plutonowy niecierpliwie.

Poszedł więc Janek z bijącem sercem za frajtrem, ledwo zamiatając nogami. Przechodzili przez jakieś długie, ponure korytarze, podwórza, puste ubikacye, aż nareszcie weszli do wysokiego budynku, w którym roiło się od żołnierzy jak w mrowisku. Krzyki, nawoływania, klątwy, rozkazy, śmiechy, pogwizdywania, urywcze głosy jakiejś melancholijnej pieśni — wszystko to łączyło się w ogłuszający chaos głosów piekielnych. Jedni stali na korytarzach, smoląc papierosy, drudzy pędzili jak opętani po schodach na górę i w dół, inni ocierali zwilżonemi chustami kamienną posadzkę, przyklinając siarczyście, skoro im ktoś właził z zabłoconemi butami na wymytą podłogę, niektórzy nieśli ostrożnie w naczyniach blaszanych jadło, tu i ówdzie kłóciło się kilku między sobą; prawie nikt nie zważał na »cywila« Janka, przeciskającego się nieśmiało pomiędzy tą zgrają.

Jakieś drzwi się otwarły i Janek stanął w obszernej kancelaryi. Frajter wyprostował się, zasalutował i zgłosił przybycie rekruta. Janek sporzał bystrzej w głąb biura. Krew mu się ścięła w żyłach, kiedy wśród całego zastępu ordynansów, kaprali i plutonowych poznał

feldwebla Wantuloka, rozpierającego się na wygodnem krześle, smolącego cygaro. Wszyscy się koło niego uwijali, przymilali mu się pokornie, nadskakiwali, każdy ubiegał się o jego łaskę, Na pierwszy rzut oka poznał Janek, co to za straszna potęga taki feldwebel.

Kiedy Wantulok ujrzał Janka, roześmiał się szyderczo na całe gardło, przeszył młodziana mściwym i złowrogim wzrokiem, a potem, splunąwszy, krzyknął:

— Chodź tu bliżej, regrucie zielony.

Janek stał, jakby wryty w ziemię. Trzech, pięciu kaprali przyskoczyło znienacka do niego, szarpiąc go za ramię.

— Nie słyszałeś, bydlaku, że pan sztabsfeldwebel cię woła? Co to, psiakrew, nie znasz dyscypliny? Nauczysz się jej, uszalu!

Janek, pchnięty do przodu, stanął przed feldweblem. Ten napawał się przez chwilę widokiem oszołomionego młodzieńca, a jego chropawa, nabrzmiała twarz przybrała wyraz okrutnej rozkoszy.

— Znamy się, co? — wycedził przez zęby.

Janek, z miną męczennika, stał nieruchomo, nie odpowiadając wcale. Jeden z ordynansów żgnął go pod żebrem.

— Sakra ty uszalu, ty wsziwaku, to procz ne rzeknesz slowa? Pan sztabsfeldwebel z tebu, osle, mluwią!

— Plutonowy Naprstek! — zawołał teraz feldwebel.

— Zu Befehl, Herr Stabsfeldwebel!

— Uważaj Pan, jaki rozkaz wydaję: Regruta Jana Halamę przydziel do oddziału kaprala Dzidy. Naporęczysz kapralowi, by wydał regrutowi natychmiast mundur, rozumie się nie najlepszy. Niech też zaraz da mu jakie zajęcie, na przykład wychodki wyczyścić, grządki w ogrodzie gnojówką oblać, schody wytrzeć, ziemniaki skrobać, jednem słowem ciągle chłopaka zajmować, ażeby mi tutaj bąków nie zbijał. Jutro wziąć go razem z innymi do musztry. Trzymać go wogóle w największej ostrości, nie folgować mu w niczem. Przy najmniejszym oporze albo okazywaniu niechęci wziąć regruta na słupek, niech dynda dwie godzinki. Taki jest mój rozkaz, Pan i kapral jesteście za wykonanie rozkazu odpowiedzialni. Abtreten!

— Pódź sem! — zwrócił się plutonowy grubijańskim tonem do Janka.

Weszli do obszernej »cymry«. Wzdłuż ścian były ustawione tapczany, okryte kołdrami. Na tapczanach siedzieli żołnierze, zajęci czyszczeniem broni lub munduru. Było tutaj o wiele ciszej, niż w innych ubikacyach. Słychać było tylko szepty, ciche rozmowy półgłosem, prawie żadnego śmiechu, ani zuchwałych wyrazów lub klątwy. Na pierwszy rzut oka można było po-

znać, że to był pokój dla rekrutów. Na twarzach młodych ludzi malowała się trwoga i niepewność. Ile razy ktoś głośniej przemówił, zadrżeli, bledli i z szeroko rozwartemi ustami po »cymrze« się rozglądali.

W rogu, na wygodnem miejscu, pod oknami leżeli na starannie usłanych tapczanach pan kapral Dzida i frajter Małysz, mocarze trzeciego oddziału rekrutów. Palili papierosy, popijali z butelki, zafundowanej przez któregoś z rekrutów, rozmawiając o »galankach«. Kiedy pan kapral włożył do ust nowego papierosa, zakomenderował donośnym głosem:

— Sirku!

Wtenczas skoczył każdy z rekrutów jak jeleń z płonącą zapałką ku kapralowi. Biada temu, ktoby się ociągał i nie okazał gotowości, by panu kapralowi usłużyć!

— Co pak noweho powite, pane führa? — zwrócił się teraz Dzida z uprzejmym uśmiechem do plutonowego Naprstka, prowadzącego Janka.

Naprstek ogłosił koledze rozkaz pana feldwebla, dając do zrozumienia, jak łatwo można zdobyć specyalną łaskę pana feldwebla, jeżeli się tego »zeleneho regruta« porządnie weźmie do habtaku. Pan kapral uśmiechał się jakoś dziko, przymrużał oczy, puszczał dym nosem, a pokiwawszy głową, rzekł ordynarnym głosem

— Już ja tam, pane führa, temu żakowi pokażu, jak u mne regrut nohi sztrekuje, na mu duszu! Bież, frajter, dej mu mundur, wisz ten potrhany, z teho regruta, co dnes na suchociny zemrzel. A potom ać myje »aborty«.

Ku wieczorowi, przechadzając się z jakąś wszetecznicą po podwórzu, ujrzał feldwebel Janka, zamiatającego korytarz.

— Hej, regrut! — zawołał. — Chodźno tu, oczyść dłonią proch z obuwia tej imościnki. Ale prędko!

Janek natychmiast odrzucił miotłę, upadł ladacznicy z pokorną miną do nóg i począł jej palcami starannie ścierać proch z bucików.

Tak rozpoczęła się służba wojskowa rekruta Jana Halamy, absolwenta szkoły rolniczej, w plutonie pod komendą sztabsfeldwebla Wantuloka.

IV.

Janek otworzył oczy i spojrzał zdziwiony wokoło siebie. Szary brzask wczesnego ranka wchodził przez wysokie okniska do wnętrza »cymry«, oblewając zżółkłe, wychudłe twarze śpiących rekrutów na tapczanach. Przykry, nawet bolesny widok przedstawiały te wynędzniałe oblicza z sinemi obwódkami pod przymkniętemi oczyma, z drgającemi muszkułami

lub kurczowo wykrzywionemi ustami. Świszczące chrapanie, stłumione jęki lub urywcze słowa wydobywały się z napół otwartych ust. Ciężkie, duszące powietrze napełniało izbę.

Ktoś stąpał ociężałym krokiem po korytarzu. Naraz otworzyły się drzwi z łoskotem. Żołnierz, pełniący nocną służbę, wszedł hałaśliwie do »cymry«, stanął w rogu, gdzie spał kapral z frajtrem, zasalutował i krzyknął:

— Posłusznie melduję, panie kapral: Tagwach jest!

A zwróciwszy się na »cymrę«, zahuczał głośno:

— Auf! Kafe holen!

Ozwały się też zaraz głosy jak w menażeryi dzikich zwierząt. Jedni ziewali przeciągle, drudzy stękali, inni poczęli kaszleć, a niektórzy kichali jakby na wyścigi. Ten lub ów chrapał jeszcze tak długo, dopóty go frajter z siennikiem i tapczanem na ziemię nie wywalił albo wodą nie oblał. Dźwigali się leniwie z pod siennika z wytrzeszczonemi oczyma i rozczochraną czupryną.

— Jeny sie mi uwijejcie, chłapcy, prawię wom, kiery nie chce ode mnie odwalić! A hónem! Nie wrzeszcie tak, bo pon kapral jeszcze spią. Cygaretle dejcie!.

Rekruci zaczęli się spiesznie ubierać i tapczany uścielać. Największy ruch i harmider za-

panował na podwórzu. Cisnęli się zbitą masą ku studni, czerpali do naczyń kuchennych wodę, a rozbiegłszy się potem po całem podwórzu, ustawiali naczynia na ziemię, zakasywali rękawy i kołnierze od koszul i zaczęli się myć. Po całym dziedzińcu rozległo się parskanie, chlipanie i bulgot wody w gardzielach. Niejeden się otrzeźwił, to też humor się obudził, że już niektóry gwizdnął na jakąś dziewczynę, rzucił kamykiem za kolegą lub próbował ze swawoli przeskakiwać płoty. U niektórych był to też tylko tak zwany »Galgenhumor«. Natomiast starsi, ojcowie rodzin, wcale nie podzielali wesołości młodych. Twarze ich były posępne, smutne, w oczach osiadła jakaś martwa rezygnacya lub straszna tęsknota. Wykonywali ruchy mechanicznie, bezwiednie, chodzili jak potępieńcy.

Niedaleko studni stała szopa z desek zbita, mieszcząca kuchnię wojskową. Do niej garnęli się teraz żołnierze z blaszanemi szalkami. Wchodzili do wnętrza w ustawionym szeregu jeden za drugim. Z drugiej strony wychodzili z czarną gorącą kawą. Było się trzeba spieszyć, bo już frajtrzy nawoływali krzykliwie do przygotowania się do wymarszu.

Janek uwijał się co mógł, ponieważ jednakże jako nowicyusz nie posiadał jeszcze biegłości rutynowanego żołnierza w wykonywaniu pracy porannej, szła mu robota jakoś opacznie,

tak, że gdy frajter Małysz zakomenderował: »Heraus!«, na który to rozkaz wszystko z karabinami i cielęciakami zaczęło z »cymry« wychodzić i na podwórzu do szeregu się ustawiać, Janek dopiero jak szalony poleciał do kuchni po kawę.

— Co chcesz, uszalu? — huknął na niego kucharz.

— Kawy — odrzekł zastraszony Janek.

— Biołej z bułkami i masłem, ni? Może jakąś przekąske przed tem, co? — drwił kucharz.

— Lebo może czornej z czekuladą, he?

— Niech będzie czarna!

— Tak se idź pod chlewki, kaj gnojówka płynie — rzucił kucharz.

Wszyscy w kuchni parsknęli śmiechem. Janek zaś stał zawstydzony pod drzwiami z głodnym żołądkiem, a jeden z zamiataczy kuchni objaśnił:

— Idź, idź, ufermo, kawy już dzisio nie dostaniesz, bo je wszycka wybrano. Miołeś prędzej przyjść, a nie teraz. Wywal tu stela a nie zawadzej!

Równocześnie też przypadł pan frajter i krzyknął zaperzony:

— Co to, psiakrew? Wszycko uż stoi w glidzie a ten szajsal jeszcze se tu z szalką szpaceruje. Gwer na ramie a heraus.

Na podwórzu stało rzeczywiście już wszystko w starannie uszykowanych szeregach. Każdy rekrut prostował się, spoglądał ukosem w prawo i lewo, czy stoi w równej linii, ten i ów poprawiał na prędce ładownicę nad brzuchem, karabin na ramieniu, otarł spiesznie guzik u bluzki, a pan kapral z frajtrem przechadzali się poważnie przed szeregiem, czekając na przybycie pana sztabsfeldwebla Wantuloka.

Jakoś po chwili wypadł też pan feldwebel z kantyny z papierosem w ustach. Idąc w poprzek podwórza, pobrzękiwał szablą, zaś kapral Dzida, zwróciwszy się z groźną miną do rekrutów, zahuczał ostro:

— Tak pozor, hoszi! Panu sztabsfeldweblowi prosto do oczi hledzieć!

A potem zakomenderował piskliwie:

— Habt Ach! Kompagnie, links schaut!

Wszystko wyprostowało się jak blaszane figurki na sprężynach, patrząc szeroko rozwartemi ślepiami w nabrzmiałą twarz pijanego feldwebla. A pan frajter z boku szeptał trwożnym i niecierpliwym głosem:

— Sztrekować sie, pierony, bo bee szkandal! Krucitürk basamateremtete! Ty tam, pierwszy muż na fliglu z prawa, nie wypinej tak kolero tego brzucha!

Feldwebel powiódł bacznem okiem wzdłuż szeregów i zapytał:

— Są wszyscy?

— Wszechno stoi, pane sztabsfeldwebel.

— Regrut Halama też?

Dzida pobladł na twarzy. Na nieszczęście zapomniał zupełnie o tym nowym »uszalu«.

— Ha... la... ma? — zająkał się. — Frajter, ti ostrawski chacharze! To gde masz teho proklateho regruta?

— Teraz wychodzi z cymry! — objaśnił frajter, wskazując drżącą ręką na Janka, zjawiającego się z zakłopotaną miną na podwórzu.

— To mi ładna dyscyplina — zaczął feldwebel besztać kaprala. — Kapralem chce być, a nie wie, ile »mużu« ma w szeregu. Jutro do raportu! A teraz na pole ćwiczeń! Regruta Halame brać w musztrze ostro, ażeby stanął na równi z innymi, ćwiczącymi już dłuższy czas. Doppelreihen rechts um, marsch!

Stanęli za miastem na wzgórzu za koszarami, gdzie odbywała się codzienna musztra rekrutów. Feldwebel Wantulok podzielił pluton na kilka oddziałów i oddał je pod »czułą« opiekę poszczególnych frajtrów i kaprali. Janek dostał się z pięciu innymi towarzyszami pod komendę Dzidy.

— Poczkej, saframencko murgo ti! — zaryczał na wstępie Dzida wściekle do Janka. — Żebych ja skrz takeho szajsala miel odwalić przy raporcie? Ne! Tak wam tedź powidam, ho-

szi, dnes ma cela kompania kasarnika, aż se mi żaden muż nie odważi weczer na miesto wyjiti, a to wszechno skrz toho wsziwaka Halamu.

Wszyscy spoglądali na Janka zjadliwie, a ktoś mruknął mściwie:

— Psiakrew, gwóli tej hrómski ufermy wszyscy bedemy cierpieć.

— Zbić murge na kwaśne jabłko — rzucił inny.

— Dać mu w nocy deke! — zaproponował trzeci.

— Na słupek z nim, do góry nogami! — radzili drudzy, a kapral, przerywając te złośliwe plany, rzekł:

— Tak se udzielejte z nim porzadek weczer sami! A tedź dejte pozor, hromske uszale, bo budu komandirowat. Habt Acht!

I rozpoczęło się ćwiczenie, nudne i męczące ciało i duszę. Janek pojmował na wylot wszelkie instrukcye kaprala, wszak kiedyś uczył się gimnastyki w szkole wydziałowej i rolniczej. Kapral zauważył zaraz, iż ma pojętnego inteligenta przed sobą. Mimo tego krytykował go wciąż, by mu dokuczać według wskazówki pana feldwebla. Żaden zwrot, żaden ruch u Janka nie był mu po woli. Pan feldwebel przypatrywał się ćwiczącym oddziałom z dalsza, bez ustanku ryczał na szarże, by ostrzej i surowiej beształy uszali. Przedewszystkiem ba-

czną zwracał uwagę na grupę Dzidy. Ile razy się do tej gromadki przybliżał, Dzida jął głośno przyklinać, wyzywać, besztać, a już najbardziej uwziął się na Janka.

— Zatraceny osle, ti! — tak częstował Janka co chwilę. — Stoi mi tady jak stara baba! Snad twa maminka tie tak wyuczyla egzecirki, co? Proklate howado ti!

Pan feldwebel zaś uśmiechał się szatańsko, pokręcał wąsa lub zapalał nowe cygaro i mówił:

— Jeno lepiej, Dzida! Ogibać, aż będą kości trzeszczeć!

Po dwugodzinnem nużącem ćwiczeniu nastąpiła krótka pauza. Żołnierze rozpierzchli się, pokładli się zmęczeni na trawę i zapalili papierosy albo też chleb zajadali. Tylko Janek stał oszołomiony na jednem miejscu, rozglądając się smutnem okiem po szerokiej okolicy. Trudno opisać, co się w jego duszy działo, jaka gorycz zalewała jego wrażliwe serce. Nieprzyzwyczajony do takiego barbarzyńskiego traktowania, bolał tem straszniej i odczuwał każdą zniewagę jak smaganie rozpalonym drutem w twarz. A tu było trzeba milczeć i pokornie spoglądać w szyderczą i butną twarz nikczemnego Wantuloka.

Stał i wlepił swe oczy z niewymówną tęsknotą i bolem w prześliczny krajobraz okolicy Cieszyna. Dzień był pogodny, jasny, z błękitnej

głębi niebios przyświecało mile słonko, wszystkie pola, gaje i lasy mieniły się w świeżej zieleni majowej, w różnokolorowych odcieniach i blaskach, po pastwiskach przechadzało się swobodnie bydełko, — jakże zazdrościł mu Janek tej wolności — tu i ówdzie tuliły się białe domki i schludne wioski w gęste czuby kwitnących sadów, ponad miastem snuła się sina smuga dymu i pary, osłaniając z lekka drzemiącą starą wieżę Piastowską, w mocno pachnącem powietrzu rozśpiewało się ptactwo, rozbijały się motyle i brzęczące pszczółki, a tam, het wzdłuż sinego widnokręgu południowego roztaczały się lesiste Beskidy w przepysznych kolorach fioletowo-lazurowych, piętrzyły się ich gołe szczyty, otulone modrą mgłą.

Dalej tam, gdzie Jaworowy występuje wyraźniej z łańcucha cienistych szczytów w bok, drzemią u stóp gór wioski podgórskie, a między niemi kryje się i wieś rodzinna Janka, gdzie w borze cichym stoi gajówka, gdzie zostawił swą drogą Jadwigę, dalej domostwa ojca, krewnych i sąsiadów. Cóż oni tam teraz porabiają? Jadwiga pewnie przechadza się smutna po polanie, ociera łzy płynące z błękitnych oczu, Holeksa leży w bolach na łożu, a może już nawet i zmarł, a Jadwisia została sierotą? Niewypowiedziany żal szarpał jego duszę, tęsknota straszna rozpierała krwawiące serce, kiedy tak

myślał o nich wszystkich. Ach, czy oni też wiedzą o tem, jak go tutaj różne łotrzyki krzywdzą, znieważają i gnębią!? Lepiej, że nie wiedzą! Lepiej, że Jadwisia o niczem nie wie, bo zapewnie żal rozsadziłby jej współczułe serduszko. On będzie cierpiał chętnie, byleby im tam było dobrze, byleby tylko Jadwisia nie musiała boleć. Wszak te ciężkie chwile przeminą jak straszny sen, wszak nastaną znowu kiedyś dni szczęścia i błogiego spokoju.

— Co pak ti proklaty otroku tady stoisz?! — huknął mu znagła kapral Dzida do uszu. — O czem myslisz? O twe mamince nebo holce? Twa holka musi być herske dziwcze, ty jsi take tuhy sztramak i piekny hoch. Jak mi ju namluwisz aspoń na jednu nedelu, to se stanesz mym kameradem, rozumisz? A tedź marsz do glidu, egzecyrka zaczina.

I znów na nowo musztra w skwarze słonecznym. Koło południa powrócił pluton do koszar. Każdy był w najwyższym stopniu zmęczony, spocony, zły i ponury. Kapral Dzida kazał sobie oczyścić obuwie z prochu, potem poprowadził swój oddział do kuchni po menaż. Jankowi kazał podczas obiadu zamieść korytarze i »cymrę«. Inni z apetytem spożywali na tapczanach menaż, a Janek, wygłodniały, uwijał się z miotłą po gankach. Kiedy potem pojawił się z szalką w kuchni, zbeształ go feldwebel, wy-

bierający z kotła najlepsze kawałki mięsa na talerz, za to, iż tak późno przychodzi po menaż.

— Taki podciep, to se ani na to »żrodło« nie zasłuży — mniemał.

Po menaży położył się kapral na swe legowisko. Janek musiał mu zzuć z nóg obuwie i oczyścić. Po południu odbywała szarża z rekrutami «szkołę«. Właściwie wykładał tylko frajter, kapral tymczasem drzemał dalej w rogu.

— Tak wom hoszi — rozpoczął frajter Małysz wykład — opowiem dziś, co to jest linia frontowa. Naciągcie hromiciele uszy, a dowejcie pozór. Kiery to nie bee mógł powtórzyć, co z tej książki wyczytom, tego gichnę w gryzok, że trzonowe zęby połknie. Lynija frontowa to je tako hrozno lynija na froncie. Rozumiecie? To znaczy, że jak sie bedemy z Rusem lebo Talianem bić, a jo wom zakomanderuję »Zugschwarmlinie«, to sie wszyscy pierónem rozpyrskniecie na prawo i lewo ode mnie, rzniecie sobą w ty pięty na ziem, przyłożycie gwery do ramienia i maścić bedziecie jak sto djabłów po mozgolach. Rozumiecie? Wy, zielone regruty, jeszczeście tego nie widzieli, ale jo, psiakrew, joch już był trzy razy na froncie. Jeżyszmaryja, coch jo to wystrzyloł tych mozgoli! Ale tego pierońśtwa, chłapcy, nie lza wytępić. Zwalisz pukowką dziesięć, to ci zaroz wylezie skądsi dwacet żywych. Na mu duszu, jakem najstarszy

frajter w kompanii, toch dostoł pore razy łuftu! A potem sie idzie na bagnety. Krucytürk, chłapcy, to wom je potem regracyj! Chycisz se gwer do ręki, oto tak, widzicie? Fest uchycić a potem wjo! Stanie dwóch, trzech kałablów kozackich przed tobą, piernika! Lebo ty pichnij mu hónem do brzucha, lebo on cie przedbiegnie i wewali ci gwer z taką piką do bachorza jak do pierzyny. Aboch to nie widzioł nieroz na swoi oczy? Sakra, uszale, to sie potem masarzy, jak w mięsopust, a im więcej bryje narobisz, tem więcej krzyży i medali przypną ci na piersi. Aha, widzę, że bledniecie! No to wóm zaroz muszę rzyc, że puszczać drugim pare, to nima oto dzierżeć sie mamulczynego fortucha. Na mu duszu! Ale poczkejcie, wy sie tego wszyckigo nauczycie. Tak do tej masarki przywykniecie chłapcy, że po wojnie lecy komu w gospodzie przy muzyce rozprujecie wańtuch. Na mu duszu, jakem frajter jest. Kto ma cygaretle? Siarki!

Tak wyłuszczał frajter Małysz z »dienstreglama« strategiczne teorye. A rekruty otwierały gęby, podziwiały frajtra i drżały ze zgrozy.

Pod wieczór, po »szkole«, nastąpiło jeszcze salutowanie, potem wolny czas. Z innych oddziałów wychodzili żołnierze na miasto, ale poddani Dzidy mieli »kasarnika« i nikt nie śmiał się ruszyć z »cymry«. Siedzieli skupieni na

tapczanach, palili papierosy, niektórzy pisali listy do rodziców i znajomych, Janek zaś na rozkaz Dzidy czyścił szyby w oknach. Kapral Dzida, wybierając się na przechadzkę do miasta, nakazał frajtrowi, ażeby dozorował pilnie rekrutów i żadnemu wyjść nie pozwolił. Wszyscy szemrali przeciw Jankowi, że z jego winy muszą siedzieć w koszarach. Gdzie tylko Janek zwrócił oczy, spotykał nieprzyjazne, złowrogie spojrzenia. Po kątach już się umawiano, jakby się porządnie na nim zemścić. Janek czuł, jak go gorycz za gardło dławi; łzy cisnęły się mu gwałtem do oczu, ale się trzymał, by nie wybuchnąć głośnem szlochaniem. A przytem wciąż stała mu przed oczyma smutna twarz Jadwisi, w uszach dźwięczał mu jej miły głosik żałosnej skargi.

Frajter Małysz, który się widocznie nudził, przystąpił po chwili do Janka i zagadnął go temi słowy:

— Mógłbyś tam, synek, co zafundować. Przyszełeś z domu, beesz mioł kierysi grejcar, boś je bezmali syn bogatego siedloka.

Janek ucieszył się niemało, słysząc przyjazne słowa frajtra. Bez namysłu wyciągnął z zanadrza trzy banknoty i rzekł:

— Bardzo chętnie poczęstowałbym pana frajtra, jeno nie wiem, gdzie tutaj jaka gospoda albo kantyna.

— To nic o tela — roześmiał się frajter, a oczy zabłysły mu na widok malowanych papierków. — Regrut Halapacz, skocz oto z flaszką do kantynie, kup liter jarzębinki, dwacet cygarów i pół kila wórsztu. Ty zaś, Jędrys Ferfecki, bedziesz za Halame okna czyścił.

Następnie kazał frajter Jankowi usiąść na tapczanie pod oknem, w miejscu, przeznaczonem dla szarży. Kiedy wypili po kieliszku i zapalili cygara, rozmówił się frajter po koleżeńsku z Jankiem.

— To ci, synku, na wojnie tak źle nie jest. A gor, jak mosz jaki grejcar, a szmarujesz, to po djablimu jedziesz. Ale powiedz mi ty, co ten felak ma przeciw tobie? On mo hromsko na cie z kopca. Czy sie abo z cywila znocie lebo co?

Janek zmarszczył brwi, utkwił wzrok w ziemię, a po chwili rzekł szeptem:

— Jesteśmy obydwaj z jednej wsi. Między nami przyszło niedawno do bardzo przykrego zajścia. Przy sposobności mogę coś Panu opowiedzieć.

— Boch jo to hnetka zmiarkowoł — kiwał podchmielony frajter. — Je to sakramencko bieda, jak ci taki felak siednie na karku. Ale wiesz ty co? Nie rób se nic z tego. Dyć ty z feldweblem bedziesz mioł mało do czynienio. On to jeny dziś wyszeł z nami na »egzecyrok«, innym razem to on zawdy całemi dniami wy-

siaduje w putyce, lebo sie ze szmajami po mieście smyko. Nejwięcej bedziesz mioł ze mną i z kapralem Dzidą styczność. A kapral to ci też rod luchnie, jak djosek. Jeny ty kup od czasu do czasu litrówke, paczek cygaretli, gulaszu, wórsztu, a bedziesz widzioł, że Dzide możesz kole palca owinyć. Na oko, jak sie feldwebel bee dziwoł, to cie bedemy po pieronie kiwać, ale jak sie felak wytraci, beesz mioł gody. Tak ci prawiem, synku, żebyś jeny tate porządnie cyckoł z piniędzy, żebyś doł dobrze chłapać, a pojedziesz jak po maśle. Nalej do szeroki, — to tak! Sobie też! A pij! Psiakrrrew! Niech całą wojne las trzaśnie, jakem frajtrem jest!

Janek zastosował się w zupełności do wskazówek frajtra. Częstował szarże, to też życie w koszarach zmieniło się mu na lepsze. Ziściły się słowa frajtra. Dopóki feldwebel miał Janka pod okiem, dopóty kapral i frajter »kiwali« młodziana. Skoro jednak Wantulok znikał z widowni, zwalniali Janka z pracy i służby.

Bywało, frajter zakomenderuje: Habt Acht! Halama, kupisz? A kiedy Halama kiwnął głową, dodał frajter: Ruht!

Ale raz przyszło jednak do ambarasu. A stało się to tak: Feldwebel ukarał cały pluton »kasarnikiem«. Szeregowcy i szarże miały siedzieć w koszarach i nie wychodzić ani do kantyny. Frajter, nudząc się dyabelnie, poprosił

Janka, ażeby niespostrzeżenie wykradł się do kantyny i kupił litr wódki na frasunek. Chcieli sobie czas skrócić i ducha rozweselić. Janek bez namysłu wybrał się po wódkę, przyniósł do »cymry«, frajter zaś, wypiwszy chyłkiem odrazu pół flachy, spił się i począł wyprawiać szopy. Tańczył, wywrzaskiwał, tapczany wywracał, szybę w oknie stłukł, obuwie rekrutom przez okno wyrzucał, aż przyleciał zdyszany feldwebel, który się na nieszczęście niedaleko koszar przechadzał z kobietkami, a widząc brewerye, zaperzył się z wściekłości i zakomenderował:

— Natychmiast wszystko ustawić się do szeregu!

A kiedy jego rozkaz w mgnieniu oka spełniono, rozpoczął śledztwo:

— Coś ty psiakrew taka spita, he? — zagadnął gromko frajtra.

— Posłusznie melduję, panie sztabsfeldwebel, joch sie nie spił, jakem jest najstarszym frajtrem w kompanii.

Na tę zuchwałą odpowiedź wymierzył feldwebel Małyszowi taki policzek, że się aż po »cymrze« rozległo.

— Co, ty świnio ożrało, mi tu jeszcze będziesz pyskował?! Natychmiast do kozy! A ty, kapral, co jest z tobą? Widać, że też masz opicę. Piekny mi porządek trzymasz w oddziale!

Jutro do raportu. A teraz chcę wiedzieć, kto kupił wódkę! Mów!

— Posłusznie melduję, panie sztabsfeldwebel, kwitu kupił regrut Halama — odparł Dzida niepewnym głosem.

— Aha! — uderzył się feldwebel w czoło. Z góry mogłem wiedzieć. Poczekajno, Halamo, ty łotrze, ty uszalu zielony, odpokutujesz ty za to. Na fleku z frajtrem do kozy. Ja cie nauczę, przeklęty wszywaku, co znaczy szarże przekupywać kwitem! Hołota! Banda! Złodzieje! Chachary ostrawski!

I tak się Janek niespodzianie dostał do więzienia. Siedział biedak samotny w ciasnej, mrocznej celi. Mdłe światło sączyło się do wnętrza przez zakratowane okno. Janek przeważnie leżał nieruchomo na ławie, jedynym sprzęcie w celi, służącym mu za legowisko. Zmizerniał, zżółkł w twarzy, oczy mu się od bezsennych nocy zapaliły. Wciąż też dniem i nocą waliły się nań ciężkie, trapiące myśli.

Raz, wydrapawszy się po ścianie do okna, zapuszczonego tuż pod powałą w gruby mur, powiódł smętnem, gorączką pałającem okiem przez dziedziniec koszarowy. Widział, jak żołnierze swobodnie przechadzali się po podwórzu, jak niektórzy ubrani schludnie wychodzili w grupkach na miasto, bo było już po musztrze, ku wieczorowi, w dali rozciągało się

miasto, oblane różowem światłem zachodzącego słońca, za miastem widniały zielone pola, bory, wioski, a na widnokręgu góry w niebieskiej szacie. Wszystko to takie jakieś serdeczne, miłe, powabne. A on tu sam, w pustej celi, jak zbrodniarz uwięziony.

Naraz uderzyła mu krew do mózgu, a w oczach pociemniało mu przez chwilę. Zadygotał na ciele, a ręce, obejmujące kurczowo kraty, osłabły jak po ciężkim wysiłku fizycznym. Tuż pod bramą stał jego ojciec z koszykiem w ręku. Rozglądał się bacznie na wszystkie strony, powiódł kilkakrotnie oczyma po licznych oknach koszar, zwracał się raz w prawo, to znów w lewo, zatrzymywał wychodzących na miasto żołnierzy, wypytując się ich o coś. Niewątpliwie o syna swego, Janka.

Janek już chciał krzyknąć przez okno, zawołać na kochanego ojca, przesłać mu co najmniej słówko pozdrowienia, zapytać się, co tam w domu nowego, ale się zawczasu wstrzymał, przypominając sobie, iż więźniowi surowo wzbroniona jest rozmowa przez okno.

Niebawem wyjrzał z okna kancelaryi wojskowej feldwebel Wantulok. Janek zauważył doskonale, jak feldwebel na widok ojca drgnął i szybko głowę pochylił. Po chwili wyszedł z ganku ordynans, pełniący służbę, przystąpił do

starego Halamy, chwycił go brutalnie za ramię i wyrzucił za bramę.

Janek przycisnął rozpalone czoło do zimnej kraty, skurczył się i załkał jak niemowlę. Serce krajało mu się z boleści, a dusza mdlała od niewysłowionego żalu i tęsknoty. Rzucił się na gołe deski, chwycił głowę oburącz, a z piersi wyrywały się tak rozdzierające jęki, iż zwróciły na niego uwagę żołnierza, pełniącego służbę na korytarzu więziennym. Żołnierz usunął zasuwkę w drzwiach celi, popatrzył jednem okiem do wnętrza, a widząc rekruta na deskach płaczącego, zawołał:

— Regrut, uszal, nie becz! Ni ma cie gańba tak zwuczeć? Czyś ty staro baba, lebo co? Nie bój sie, wszak to ni ma ostatni roz, co cie do bąka wrazili. Joch uż też tu pore razy siedzioł, a żyję. Przy wojsku, to sie uż tam zawsze odwali.

Widząc, iż Janek wcale na jego perswazye nie zważa, zasunął otwór, splunął, mrucząc pogardliwie: To ci kolera głupio! Mamulce do fortucha przywiązać, a nie na mozgola posyłać.

V.

Na podwórzu odbywa się dzisiaj przegląd żołnierzy, mających utworzyć pluton polowy,

który w najbliższych dniach odchodzi na front. Przygnębiający widok przedstawiają ci biedni ludzie, stojący jak skazańcy w szeregu. Strach, smutek lub martwa rezygnacya bije z ich twarzy. Są tam mężczyźni z siwiejącym włosem na skroniach, chłopi w sile wieku i młodzieńcy, a raczej podrostki z trwogą w dziecięcych, białych jak mleko twarzach. Między ostatnimi stoi i Janek.

Z bramy wyszedł feldwebel Wantulok z ordynansem. On to będzie rozstrzygał, kto zostanie wcielony do plutonu polowego, a kto na razie ma jeszcze »wisieć« z miesiąc w kadrze. Ordynans trzymał pod pachą grubą księgę, a w palcach obracał nerwowo ołówkiem. Żołnierze na widok feldwebla pobledli, nogi zadrgały pod nimi, boć to teraz wybiła dla nich rozstrzygająca godzina, nadeszła chwila straszna. Wantulok wyszczerzał zęby, szyderczo spoglądał na żołnierzy jak kat na swe ofiary, a w duszy rozpierała go dzika rozkosz, że od niego zależy los tych kreatur. Oj, jakim on był mocarzem w tej chwili. Zapalił powoli papierosa, rozmawiał coś długo z ordynansem i ociągał się umyślnie, jakby chciał tortury żołnierzy przedłużyć. Nareszce przystąpił do Janka.

— Pójdziesz do pola! — rzekł do młodzieńca, przeszywając go zjadliwym wzrokiem.

Janek ani drgnął. Patrzał dosyć obojętnie w twarz feldwebla. Był od dawna na to przygotowany, że go feldwebel jak najprędzej na front wyśle.

— Zapisz go! — rozkazał Wantulok ordynansowi, a potem zwrócił się do następnego, podstarzałego mężczyzny, z chudą, opaloną twarzą.

— Co jest z wami, stary? Byliście już na froncie?

Chłop ruszył kilka razy szczękami, nim zdołał wybełkotać pokornym głosem:

— By — by — byłem, pa-pa-nie sztabowy. Aże trzy razy. Ranny ech był dwa razy.

Feldwebel zmarszczył czoło. Dotknęło go niemile, że oto ten »dziad« był aż trzy razy na froncie, podczas gdy on od samego początku wojny szkoli w kadrze rekrutów.

— To pójdziecie po raz czwarty — rzekł tonem opryskliwym.

— Mom pa-pa-nie sztabowy babę i siedmioro drobnych dzieci, rzucił błagalnie chłop.

— A mnie co do tego — oburczał go feldwebel.

— Jakby mnie teraz zabili, to co one se poczną beze mnie? — dodał stary jękliwie.

— A niech skrepną! — odparł feldwebel zniecierpliwiony. — Ordynans zapisz!

Ordynans zapisał rączo nazwisko chłopa, któremu głowa głęboko na piersi opadła.

Teraz przystąpił Wantulok do rekruta żyda.

— Was ist mit Ihnen? — zagadnął go.

— Moje nazwisko Silberstein, jaśnie wielmożny panie sztabsfeldwebel — odrzekł żyd z przebiegłą miną, schylając swój giętki korpus raz w lewo, to z nów w prawo.

— Aha! — przypomniał sobie Wantulok. Toć mu przecież Silberstein przed tygodniem sakiewkę pełną banknotów potajemnie wcisł do dłoni.

— Zapisać Silbersteina do kadru. Od jutra będzie pisał w kancelaryi — rozkazał.

— Co z tobą? Byłeś już w polu? — zapytał następnego z kolei.

— Nie!

— A ty psiakrew! Nie wstydzisz się? Taki zuch, a w polu jeszcze nie był?

Ordynans znów zapisał. I tak przebierał feldwebel z pośród stojących dalej, przydzielając tego do plutonu polowego, innego do kadry, według swego osobistego upodobania i humoru.

— A teraz — rzekł po przeglądzie — wszyscy ci, którzy są przeznaczeni na front, pójdą do osobnej »cymry«, otrzymają jeszcze dzisiaj mundur i cały rynsztunek polowy. Urlopu nikt więcej nie otrzyma, bo lada chwila, może jeszcze

tej nocy, odjeżdża batalion polowy na włoski front! Abtreten!

Janek tego samego dnia zawiadomił telegraficznie rodziców, iż odjeżdża na front. Następnego dnia zjawił się też zaraz stary Halama w koszarach. Wtedy ujrzał Janka już w świeżym, ciemno-zielonym mundurze polowym; sposępniał bardzo. Nie okazywał jednakże wielkiej rozpaczy, jaka trawiła jego znękaną duszę, by syna bardziej nie zasmucać. Patrzał tak tylko jakoś z męczeńską rezygnacyą w świat, ledwo co zaciśnięte usta niekiedy zadrżały. Mówił, słabym, apatycznym głosem, jakby już o wszystkiem na świecie zwątpił. Wręczył Jankowi pieniądze, bochen czarnego chleba, a następnie udał się z nim do kantyny, by tutaj swobodniej z nim mógł się rozmówić, niż to w »cymrze« było możliwem.

— Gajowy powoli do zdrowia wraco — począł Jankowi opowiadać. — Jadwiga prawie co dzień do nas przychodzi i pyta się, czy je jaki pismo od ciebie. Ni mosz pojęcio, synku, jak ta dziełucha za tobą przepado! Kiedyś jej napisoł, że cie pewnie na front wyślą, to chudziok dziewczę rady se nie wiadziało. Byłaby tu ze mną przyszła, ale nie chce sie spotkać z Wantulokiem. Boi się go jak wściekłego psa. Dołby Bóg żeby sie to wszycko dobrze skończyło, żebys synku zdrowy do domu powrócił.

Tak sobie smętnie w rogu za stołem rozmawiali, podczas gdy inni żołnierze, tęgo podochoceni, wyprawiali harce, byleby ten żal zagłuszyć w sercu. Jedni śpiewali ochrypłym głosem, bijąc pięścią o stół do taktu, drudzy wynurzali sobie wzajemnie swe żale, częstując się obficie; byli i tacy, zwłaszcza starsi, co siedzieli w kącie nieruchomi, jakby z kamienia wykuci, z tępym wyrazem na twarzy, spoglądając w jeden punkt i rozmyślając o swej nieszczęsnej doli.

— Jo už tam ani babie do domu nie piszę — mówił jeden z nich. — Bo poco? Żeby mi zaś tu przyleciała z dzieciami i poczęła mi zwuczeć jak ostatni roz, kiedych do pola odchodził? Na co to? Już i tak człowiek mo dość na połowicy! Wypijcie kameradzi!

— Mocie recht, foter — odezwał się inny. — Jakech przed pół rokiem na front odchodził i jużeśmy stoli na rynku uszykowani, przykwanckała się moja staro z tem najmłodszem przy piersi i poczęła wom tak lamentować, że aż dusza we mnie przymierała. No i powiedzcie, czy są większe katusze w piekle, niż nikiedy na tej ziemi! Kelner, nalejcie mi jeszcze!

— Na mu duszu — przyklinał teraz i frajter, który również na front miał odchodzić. — Jo już teraz po piąty roz idę na te masarke. Rozech dostoł kulką do ramienia, drugi roz bagnetem przez noge, trzeci roz szupnął mie szra-

pnel przez palice, potem ech zaś oberwoł tyfus, a ostatni roz zostołech ranny w piersi; ledwoch sie wylizoł, a dziś zaś posyłają na front. Na mu duszu, że człowieka koniecznie z tego świata chcą skantrzyć!

— A co sie tam bedą, panie frajter, starać — zawołał jeden z rekrutów na niego. — Wypiją se oto. Joch je rod, że na front pojademy. Chcioł-bych to roz na swoi oczy widzieć te całą praczke. Ihi!

— Poczkej uszalu — hamował go frajter. — Tobie sie tej praczki djobligo odniechce. Joch też był taki z początku, a dzisio tobych se nejraczy w łeb strzelił.

Na placu przed koszarami panował również ruch niezwykły. Wszystko uwijało się jakoś gorączkowo. Jedni uganiali się za prowianturą, drudzy wychodzili z magazynu z mundurami, od bramy ciągnął długi sznur trenu, a wszędzie słychać było krzyki, nawoływania, rżenie koni, śmiechy lub słowa klątwy.

Wszystkiemu temu przypatrywał się stary Halama smętnemi oczyma, kiwając zamyślony głową. Miało się już ku wieczorowi, trzeba więc było syna pożegnać i wybrać się napowrót do domu. Kilka razy już podnosił się z ławy, chwytał kosz i laskę, macał bezwiednie po kieszeniach, rozglądał się niezdecydowany wokoło, a ilekroć miał przemówić ostatnie słowa do Jan-

ka, chwytało go coś tak silno za gardło, że siadał znów ociężale na ławę, nie mogąc »żywym końcem« oderwać się od syna.

Wreszcie jednakże, kiedy już lampy zapalono, porwał się nagle z miejsca, objął Janka prawicą w poły, przycisnął do piersi, pocałował w czoło i rzekł zmienionym tonem:

— Bywaj z Bogiem, dziecko. Wszak Opatrzność Boska wszędy bee nad tobą czuwać, a co ci je od Boga przeznaczone, to cie nie minie, czy to w ogniu lebo w domu w łóżku pod pierzyną, wszystko to stejne. Ale mom przeczucie, że wrócisz szczęśliwie.

I tak pożegnał się prędko z Jankiem, by jeno tej ciężkiej chwili pożegnania niepotrzebnie nie przedłużać. Młodzian stał w oknie i spoglądał z krwawiącem sercem za ojcem, który już kroczył przez podwórze. W bramie jeszcze obejrzał się na syna, skinął ręką i znikł za murem.

Późną godziną wszystko w koszarach było jeszcze w ruchu. Innym razem o 9. każdy spał, dziś natomiast, w przededniu odjazdu na front, pozwolono frontowcom całą noc przehoworzyć. Janek spoczywał ubrany na tapczanie. Frajter, przypuszczając, iż stary Halama hojnie syna w drogę na front w wiktuały i trunek wyposażył, kręcił się koło niego z przymilającą miną. Janek otworzył swą walizę, wyjął flaszkę koniaku, paczkę papierosów, poczęstował frajtra,

podzielił się z nim sutą przekąską, a kiedy frajter poczuł szum w palicy, popadł w nastrój żałosny, zapłakał rzewnie jak dziecko, przyciskając poduszkę do piersi.

A potem, pociągnąwszy jeszcze raz z butelki, zaintonował melancholijnie:

Zaszumiały góry, zahuczały lasy,
Gdzie się mi podziały moje młode czasy!

Zawtórowali mu wszyscy do tej starośląskiej pieśni ludowej, tak, że cała »cymra« napełniła się temi tęsknemi dźwiękami, a niejeden ocierał łzę z oczu, przypominając sobie chatę rodzinną gdzieś tam pod Czantoryą czy Jaworowym lub Girową, czy Witaluszem, gdzie matka, ojciec i rodzeństwo pozostali.

— Ach! wzdychali boleśnie — czy my też jeszcze te nasze zagrody bedemy kiej widzieć? Czy też jeszcze kiej przy miesiączku bedemy na naszych pastwiskach konie posować, na harmonijkach wygrywać, z kamratami figle wywodzać? Czy też jeszcze kiej bedemy w naszych kościołach te szumne odpusty odprawiać, na weselach z dziełuchami sarocza lebo szołtysa wywijać! Oj, Boże ty nasz Boże, kiela z między nas już tej pieknej cieszyński ziemie oglądać nie bee!

I tak się to syny śląskie, mające walczyć nie wiedzieć za kogo i po co, żaliły, skarżyły i

swe bole wynurzały. Hej, już to taki bezmali na nas czasy czakały. Oj, niedoczekanie nasze!

— Cierp ciało, kiej ci sie rodzić chciało — rzucił jakiś ponuro patrzący żołnierz z zaciśniętemi ustami, że aż mrowie przeszło.

Janek, ukrywszy się w kątku, przyglądał się przy świetle świecy fotografii Jadwigi. Oj, jak w tej chwili straszna tęsknota, żal niewysłowiony szarpał jego wnętrzności! Schował obrazek w zanadrzu, aby płaczem nie wybuchnąć. Położył się na tapczan i począł zajadać kołacz, który mu Jadwisia przysłała. Jadł nie dla głodu, bo go nie czuł, tylko ot tak dla pietyzmu, że to było od jego dziewczyny. Każdy kawałek, nim go zdławił, zrosił gorzkiemi łzami. Oj, Jadwisiu ty moja, czy też ty jeszcze kiedy kołacze dla mnie będziesz piekła?!

Z większym apetytem zajadał kołacze Jadwigi pan frajter.

— Musi to być krymsko dziełucha — mruczał zadowolony — kie takich fajnych kołoczy umie napiec. Choćby nie skyrs inszego, to dla tych placków samych musiołbych ją pokochać. Na mu duszu! Moja galanka nic mi nie posłała. To też smolę na nie, a jak przyjadę z frontu, to se inszą namówię, taką, co umie też tak fajnie wypiekać.

Nazajutrz wczesnym rankiem wpakowali ich do wagonów. Muzyka zagrała, lokomotywa

gwizdnęła, koła zgrzytnęły i pociąg ruszył z miejsca. — Na peronie cisnęła się masa ciekawych gapiów, lamentowały żony, dzieci, matki, powiewali chustkami za odjeżdżającymi, nawet feldwebel Wantulok, tęgo podchmielony, wywijał kaszkietem.

— To są moi ludzie — chełpił się, pobrzękując szablą. — Ja ich wyszkoliłem i będziecie widzieć, co oni na froncie dokażą! Ja zawsze twierdzę, że porządni feldweble trzymają zwycięską armię austryacką.

— Niech żyje Austrya! — krzyknął tłum. — Niech żyje feldwebel!

— Sztabsfelwebel — dodał Wantulok z opromienioną twarzą.

Pociąg wyjechał w szczere pola wiosenne, w stronę lazurowych Beskidów. Żołnierze wyglądali przez rozwarte otwory wagonów na szeroki, w promieniach słonecznych skąpany świat. Janek patrzył również smętnie na znane i ulubione podgórskie okolice. Het tam ciągnął się w mglisto-modrym pasie bór jego wioski rodzinnej. W miarę tego, jak pociąg zbliżał się pod góry, rozeznawał dokładnie każde wzgórze pojedynczo, napawał się widokiem lśniących, w szmaragdowej zieleni połyskujących szczytów. Zwolna przesuwały się przed jego oczyma wioski w bujnych sadach, białe domki, kościoły, kominy hut trzynieckich, a nareszcie zoczył nawet

błyszczący szczyt wieży kościółka swej wsi, wychylający się z poza zrębu lasu, jakby na ostatnie pożegnanie. Jak miło i rozkosznie rozpościerało się to wszystko w cudnych barwach, jaki spokój uroczy, jaki czar ujmujący tchnął od tych słonecznych gór, lasów, łanów zbożowych i wiosek śląskich!

— Ach! westchnął Janek, kiedy już ostatnie znane pagórki umykały w mglistą dal. — Czy ja cię, droga krainо, jeszcze kiedy zobaczę? Czy też moje oczy może po raz ostatni napawają się twym widokiem?

Tymczasem wjechał pociąg z głuchym łoskotem w tunel jabłonkowski. Ciemna noc ogarnęła wszystkich, a kiedy znów wyjechali na światło dzienne, przedstawił się im już jakiś obcy, aczkolwiek wciąż jeszcze uroczy krajobraz górski.

Pociąg pędził bezustannie dalej. Przesunął się popod stopami niebotycznych gór tatrzańskich, mijał wązkie doliny, mknął przez miluchne miasteczka słowackie, przesadzał rwące potoki; pod wieczór zaczęły się wzgórza jakby usuwać, doliny rozszerzać, a widnokrąg rozstępował się coraz to szerzej.

Spuściła się na ziemię noc, gwiazdy zamigotały na niebie, a księżyc wypłynął na firmament. Jankowi wydawało się, że ten księżyc tutaj jakoś inaczej przyświeca. Pewnie też będzie

teraz zaglądał na polanę, obleje okienka gajówki złotym blaskiem, a może Jadwisia, stojąca na werandzie, będzie rozmarzona w jego tarczę się wpatrywała, tak jak on to teraz czyni.

Żołnierze, zmęczeni jazdą, pokładli się na podłogę wagonu, zasypiając twardym snem. Niektórzy tylko, snując podobne myśli jak Janek, nie mogli zasnąć, wtapiając wzrok w noc księżycową. Z któregoś wagonu ozwały się tkliwe tony skrzypiec, a kilka głosów im zawtórowało, ciągnąc tęskną melodyę pieśni śląskich.

Jechali dniem i nocą z małemi przerwami na przystankach. Góry zniknęły zupełnie, a oczy zaczęły się gubić w rozległych i bezkresnych równinach węgierskich, oblanych skwarem słonecznym. Jakoś przy schyłku jednego dnia zobaczyli zdumieni na południowo-zachodnim horyzoncie różnorodne, dziwaczne kształty wysoko ponad niebo piętrzących się wzgórz.

— To są Alpy — objaśnił frajter. — Hromski gory, nie taki jak u nas przy Jabłonkowie. Mieliśmy tam nieraz sakramencki hyc z Talianami.

Wszyscy spoglądali, przejęci zgrozą, a zarazem i jakimś dziwnym zachwytem, milcząco w to pasmo lodowatych iglic, utkane jakby z delikatnej gazy, na te rozrzucone stożki i kłębiące się wały obłoków. Frajter zaś objaśniał dalej:

— W tych gróniach, chłapcy, mają nasi »sztelónki«. Jędrys Maryna, jak też Talian zacznie z kanonów i moździerzy walić w te skały, to sie wom bee zdało, że już sądny dzień nastoł. To jeszcze sto razy gorszy, niż kiedy feldwebel Wantulok zacznie w kasarni przeklinać.

Słuchali go z rozwartemi ustami, przełykając raz wraz ślinę, a wciąż wpatrywali się w te góry, jakby w jakieś straszne widzenie.

— A jak — ciągnął frajter dalej, smoląc papierosa — wsypie ci sie tako góra na palice, no to bywej zdrów, uż też kasarnie na Wyżnij Bramie w Cieszynie nie beesz widzioł, a sztabsfeldwebla Wantuloka też ni, chyba kiejsi kany w piekle.

Noc zapadła i Alpy zniknęły. Kiedy się jednakże rano obudzili, przerazili się widokiem tych szczytów górskich, sięgających w obłoki; a w wązkiej dolinie zwijał się pociąg jak gąsienica. Nagie skały, okropne przepaście, olbrzymie rumowiska, gigantyczne kształty, — wszystko to wywarło na naszych śląskich dzieciach potężne wrażenie. Byli widokiem tej dzikiej, a zarazem wspaniałej sceneryi alpejskiej tak oszołomieni, iż postradali doprawdy mowę, że zagapili się jak niemowlęta z wystraszonemi minami w te kolosalne rzeźby granitowej przyrody. Nareszcie wyrwało się komuś z zaciśniętej gardzieli:

— Do pierona, na kajśmy tu wleźli? Teraz już bee po nas!

I dopiero wtedy rozwiązały się im języki. Poczęli jeden nad drugiego wykrzykiwać, palcami cudaczne kształty gór wzajemnie sobie pokazywać, raz z prawego, to znów z lewego otworu wagonu ciało wychylać, żeby lepiej wszystko to zobaczyć, aż ich sam frajter musiał napominać:

— Jeny mi kiery nie wylećcie zazraki z wagonu! Mniejsza o to, żeby se tam jakiś ciekawy regrut łeb rozwalił w jamie, ale jobych musioł za niego potem trzeszczeć. Siarki!

W nocy stanął pociąg. Wysiedli z wagonu, rozbili pod lasem namioty i zapalili ognie. Oficerowie przywołali kaprali i frajtrów, długo wydawali im instrukcye, a z ożywionego ruchu szarży można było wnioskować, iż coś niezwykłego zawisło nad nimi. Po menaży kazano im położyć się pod namiotami. Dwie godziny mieli wypocząć, a około północy piechotą ruszyć dalej, by jeszcze przed ranem niespostrzeżeni przez nieprzyjaciela dojść do pozycyi frontowych i połączyć się z armią polową.

Mało kto spał. Zbili się w małe grupki, rozmawiając półgłosem o doznanych wrażeniach. Koło północy zaś ruszyli z miejsca. Szli zwolna, rozwlekłym sznurem, stąpając ostro-

żnie po kamieniach. Co chwila przystawali, a szarże wydawały rozkazy.

— Zważać na urwiska! Nie mówić głośno! Nie palić, sakra!

Nagle rozległ się gdzieś pod niebem, jakby na szczytach gór, przeciągły turkot.

— Nieder! — zakomenderował z tyłu jeden z oficerów. — Na ziem!

Żołnierze zrazu nie rozumieli o co chodzi. Przystanęli, oglądając się zdziwieni poza siebie, a niektórzy utkwili oczy w gwiaździste niebo.

— Na ziemię się położyć! — powtórzyli za oficerem niecierpliwie kapralowie, a frajter dodał:

— Talijański eroplan psiakrew jedzie! Na ziem!

Rzucili się na ziemię. Jedni skurczyli się w kłębek, wciskając twarz w piasek lub nakrywając się plecakiem, inni, mniej bojaźliwi, a więcej ciekawi, zwrócili twarze ku niebu. Turkot przechodził miarowo w ogłuszający grzechot, zgrzyt i świst, a równocześnie coś ciemnego, niby kawał ogromnej szmaty, wynurzyło się z poza zrębu lasu, potoczyło się po niebie, zniżyło się cośkolwiek i zakrążyło w półkolu ponad głowami leżących.

— Nie ruszać się — ozwał się ostry głos oficera.

Odleciawszy kawałek, zawrócił nieprzyjacielski latawiec i zawisł znów nad nimi. Nagle coś błysnęło, jakiś ostry szum rozległ się w powietrzu, a w tym samym momencie huknęło straszliwie, z ziemi wzbił się słup ognisty pod niebo, a ziemia zadrżała jakby z posad ruszona.

Powstał przeraźliwy krzyk, zgiełk i nieopisany zamęt. Jedni zaczęli się jak szaleńcy drapać po stromych skałach, drudzy, zerwawszy się z miejsca, skakali w padoły, inni zaś zostali nieruchomo na ziemi leżeć jakby piorunem rażeni. Ozwały się krzykliwe, sprzeczne rozkazy, głosy nawoływające, klątwy, przenikające jęki rannych, a potwór czarny wciąż krążył ponad głowami jak widmo piekielne.

Po raz drugi przeleciał błysk oślepiający, trzask i łoskot wstrząsnął powietrzem, potęgowany wielokrotnym odgłosem w halach, las zaszumiał przeciągle, a krzyk przeszedł w dziki chaos ryku i jęków.

Janek, przycisnąwszy się do pnia jakiegoś drzewa, rozglądał się osłupiałym wzrokiem wokoło. Ogień, dym, kurz czarnej zimi i deszcz spadających kamyków przysłonił mu widok najbliższego otoczenia. Słyszał tylko rozdzierające głosy, wołające o ratunek. W jednym momencie przesunęła mu się przed duszą zatrwożona twarz Jadwigi, niby widmo nieuchwytne. W następnej chwili prysnął snop iskier, uczuł nie-

znośny ból w czaszce, ciepła krew zalała mu oczy, potem gęsty zmrok, ciemność, słabe odgłosy — i wszystko zniknęło w jakiejś potwornej otchłani. Zraniony odłamkiem granatu w głowę, zsunął się bezwładnie w gęste zarośla jak bryła ciężkiej ziemi i — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

VI.

Łagodny dzień jesienny. Lasy liściaste pokryły się szatą o cudnych barwach. Jak daleko okiem sięgnąć, połyskują w mlecznem świetle jesiennego słonka kłęby zbitych czubów w harmonijnych kolorach, począwszy od płonącej purpury, ciemnego karminu, jaskrawego złota, aż do łagodnych, jasnoróżowych plam, a gdzie promienie słońca nie wnikają, wciska się między odstępy drzew niwelujący odcień fioletowo-niebieskiego zmroku.

Z cichym szelestem opada zżółkłe liście na ziemię, haftując trawy czerwonemi płatkami, a nitki pajęcze, rozciągnięte ponad miedze i złociste ścierniska, niby misterne krepy, drżą srebrnym szmelcem. Cisza niezmierna, kojąca i zadumana w przepysznej przyrodzie, tylko od wioski dolatuje przeciągłe gęganie stada gęsi.

W podobnym nastroju, jak ta marząca natura, znajduje się Janek. Kroczy właśnie aleją leśną, często przystaje, napawa się tą lubą ciszą, a błogi uśmiech przelatuje bezwiednie po jego bladych ustach. Każde drzewo, każdy barwny krzak, każdą ścieżynę, ginącą w zmroku leśnym, zdaje się witać serdecznem spojrzeniem. Niekiedy spogląda w górę, w miluchne słonko, przywiera z lubości oczy, a duszę rozsadza mu niewymowna rozkosz, że to wszystko znów może swobodnie oglądać.

Hej, ile on to przez kilka ostatnich tygodni przeżył! Leżał w szpitalu ciężko ranny. Lekarze wątpili już o jego życiu, przenosili go z miejsca na miejsce, a ilekroć chirurg z głębokiem współczuciem i niepokojem wpatrywał mu się w oczy, odczuwał, że życie jego wisi na włosku i że każdej chwili może przymknąć oczy na wieki, a wtedy tylko to jedno pragnienie podtrzymywało zwątpioną duszę: żeby chociaż jeszcze raz, przez kilka sekund, mógł popatrzeć na te szumiące lasy, łąki i pola zbożowe swej wioski rodzinnej, na ustronną polanę leśną i gajówkę, żeby jeszcze raz objąć mógł okiem postać drogiej matki i ojca, a ostatnie spojrzenie zatopić w płaczących oczkach Jadwisi.

Bóg miłosierny odwrócił śmierć od niego. Przeleżał jakiś czas w szpitalu na Węgrzech, a potem zaczął zwolna wracać do zdrowia. Kiedy

już czuł się dostatecznie na siłach, wyjechał jako rekonwalescent do domu rodzinnego.

Tak spędzał obecnie miłe chwile w swej wiosce. Przechadzał się po polach, lasach, a prawie codzień odwiedzał swą Jadwigę w gajówce.

Gajowy Holeksa, który zupełnie odzyskał zdrowie, towarzyszył mu w tych spacerach. Wszystko się więc na razie dobrze ułożyło; jedna tylko myśl trapiła obydwóch: Kiedy znowu Janka powołają do wojska?

Wprawdzie dochodziły głuche wieści, jakoby armia austryacka w ostatnich dniach ponosiła jedną klęskę za drugą na froncie włoskim. Coraz to częściej czytano w gazetach niewyraźne wzmianki o prędkiej likwidacyi tej okropnej rzezi narodów europejskich. W gospodach i na targach szeptano sobie coś o blizkim upadku Austryi. Prawdziwość tych pogłosek potwierdzali urzędnicy swemi ponuremi, zgryźliwemi minami, jakie osiadły od pewnego czasu na ich niedawno jeszcze tak butnych twarzach. Śmielej można już było w gospodzie puścić jakieś ostrzejsze słówko przeciw władzom i rządom austro-niemieckim. Bezkarnie mógł ten lub ów na ulicy ironicznym gestem jakiegoś urzędnika lub nawet oficera zaczepić.

Także kierownik szkoły i wójt od pewnego czasu przycichnęli i poskromnieli. Kierownik

nigdy nie był tak hojnym w rozdawaniu kartek chlebowych, jak obecnie. Okazywał się też niebywale uprzejmym dla wszystkich, a wójt nadmieniał, iż ciąży mu już ten urząd fojtowania i że go niebawem złoży.

Z zapartym oddechem czekano, co następne dni przyniosą. Nagle pojawiła się we wszystkich gazetach szumnie brzmiąca proklamacya cesarza: »Do moich ludów« o nadaniu im jak najszerszej narodowo-politycznej samodzielności.

Ludzie kręcili głowami, uśmiechali się znacząco, kierownik zaś, mimo obiecanej ze strony cesarza wolności, schudł i pobladł w twarzy, a wójt już na seryo chciał złożyć urząd.

Tem bardziej ożywili się wszyscy Polacy-narodowcy na wsi. Kiedy wolność, to wolność! Jeżeli mamy sami stanowić o swej politycznej przynależności, no to już chyba połączymy się z naszą macierzą — Polską i wypowiemy się tu na Śląsku Cieszyńskim za przynależnością do Polski. Wiwat, niech żyje Orzeł Biały! Cześć!

W tym sensie wykładał chłopom zachwycony gajowy treść proklamacyi cesarskiej, wbrew odmiennym zdaniom wójta, kierownika i ich politycznych popleczników.

— Dyć to bezmali nima tak, jak wy to bojocie — zagadnął wójt gajowego raz w gospodzie.

— Więc jak wy sobie to tłumaczycie? — zapytał Holeksa.

— Dyć jeny pomału, nie tak gorączkowo — odrzekł Wantulok. — Dyćeśmy przeca nie są polocy, żebychmy mieli patrzyć do Polski.

— Więc czem jesteśmy? — rzekł Holeksa.

— Na ślązocy! Nie wiecie, jak to dawny starosta cieszyński mówił? Wasserpoloki.

— Zupełnie słusznie — stwierdził Holeksa z ironią. — Kto ma zamiast mózgu wodę w palicy, może utworzyć własne państwo »Wasserpoloków«. Was zrobią prezydentem, a syna ministrem wojny.

Wszyscy parsknęli śmiechem, nawet wyznawcy polityki wójtowej.

— A ja wam mówię — ozwał się Holeksa do zgromadzonych — że jutro jest w Cieszynie ogromny wiec ludowy na rynku. Kto czuje po polsku, niech idzie na wiec. Tam przemówi jawnie lud z całego Śląska, dokąd chce przynależeć. Z Bogiem!

— Teraz bee jak rokitka gonił od chałupy do chałupy i agitował za wiecem — rzucił rozzłoszczony wójt. — A jo wom prawiem, że Śląsk bee należół do Prus lebo do Czech, a wszyckich poloków powieszają na gałęziach. Piłsudski bezmali i tak już w kozie siedzi. Jo mom dobre wiadomości od syna. Aż sie mi żoden nie opowożycie iść na wiec!

Pomimo zakazu wójta wybrało się nazajutrz w niedzielę wszystko, co żyło, na wiec. Nawet »ślązakowcy« poszli z ciekawości, tylko wójt z kierownikiem gryźli pod stodołą orzechy, by sobie trochę żółci upuścić.

Liczne grupki ludzi zdążały w stronę Trzyńca, skąd w olbrzymim pochodzie mieli ruszyć ku Cieszynowi. Stary Halama zaprzęgnął kasztanki do powozu i zajechał z żoną przed gajówkę.

— A ruszejcie sie, gibasy! — zawołał gromko na gajowych. — Cały świat wali ku Trzyńcu. Jezu Kryste, też to bee norodu dziśka w mieście! Janek, kaś je? Wiecznie tu wysiadujesz. Pakuj na przodek, bedziesz kuczerowoł Ty, Jadwisia, siednij se ku moji starej, a Holeksa zajmie przy mnie miejsce. Ale hónem, bo muzyka już kansik rznie za lasem. Wjo!

Kiedy dojeżdżali do Trzyńca, przedstawił się im wspaniały widok. Nieprzejrzane rzesze ludu robotniczego i wieśniaczego falowały na wszystkich drogach. Wesoły gwar leciał od tych czarnych hut, sztandary powiewały nad rozentuzyazmowanym tłumem. Wszystko przystroiło się w kwiatki, wstążki i wieńce, a w słońcu mieniły się prześliczne stroje śląskich wieśniaczek. Śpiewy, śmiechy, radosne okrzyki i nawoływania dowódców pochodu złączyły się w jedną tryumfalną harmonię głosów, a nad tem wszyst-

kiem górowały huczne dźwięki licznych kapeli, przygrywających do marszu.

Ustawili się do pochodu. Na czele smukły jeździec na siwym rumaku z ogromnym sztandarem, za nim pojedyńcze wioski w paradnie uszykowanych czwórkach, z chorągiewkami i kapelami, potem trzynieccy robotnicy w olbrzymim wyciągniętym sznurze, za robotnikami powozy, bryczki i wozy drabiniaste. Tyle ludu Trzyniec zaiste nigdy jeszcze nie widział.

Jeździec podniósł sztandar w górę, muzykanci dmuchnęli w istrumenty, cały las barwnych chorągiewek powiał w powietrzu, a naród z podniesioną głową i pałającym wzrokiem zakotłował i ruszył naprzód szosą ku Cieszynu.

Holeksa z Halamą zdjęli nabożnie kapelusze, Halamowa rozpłakała się rzewnie, Jadwiga, trzymając ogromny bukiet w ręce, zawtórowała muzykantom drżącym głosem do melodyi, a Janek, gwizdnąwszy, podciął konie.

Z przydrożnego gaju wyjrzała jakaś wylękniona twarz. Halama poznał od razu sąsiada Glajcara, zwolennika wójta.

— Hej, Pawle! — zawołał na niego. — Przybier z nami!

Glajcar zakłopotał się widocznie, uśmiechając się głupkowato.

— Jo sie boję! — wyjąkał. — Fojt wczora zakazowali.

Na to wyskoczył Halama z powozu, chwycił sąsiada za kołnierz i wciągnął go gwałtem obok siebie na siedzenie.

— Pojedziesz z nami! Co sie ty kubo boisz fojta. Par jeny, wiela to ludu wali na wiec, a żoden sie nie boi.

— Kiej mi rechtór jeszcze wczora mówił, że to nomy daremne z tą Polską.

— Kierownik renegat, a ty głupi mu wierzysz.

— Tóż żeby to jednak była ta Polska? — zapytał z niedowierzaniem sąsiad.

— A jakóż se to rachujesz? Polska bee, a baji uż je, a my do niej należemy.

Glajcar zamyślił się, pokręcił głową, spojrzał nieśmiało wokoło i rzekł:

— Bo to, jak mi fojt mówili, w tej Polsce wszyckich wanielików bedą na katolicką wiare gwałtem nawracać. Cóż wy na to?

— Żeś je osieł czworograniasty.

— Czworograniasty? Chyba żartujecie?

— A jużci. W wolnej Polsce bee i wolność wiary. Widzicie sami, że większość waszych pastorów je za Polską, wy ruło sztrambersko!

— Hm — zamruczał zawstydzony sąsiad.

Kilka kroków przed nim zagrała właśnie kapela: »Jeszcze Polska nie zginęła«. Glajcar ożywił się podniósł głowę, rzucił kapelusz do

góry i krzyknął na całe gardło: Niech żyje Polska!

Tak go nagle jakaś fantazya szalona popadła. Na okrzyk Glajcara huknęło jakby na dane hasło sto, tysiąc głosów: Niech żyje! Wiwat, niech żyje wolna Polska!

— To sie dziwejcie, jaki z niego naroz polok — roześmiali się.

— Jezu Kryste, jakby do tej Polski jednak nie doszło, to mie za to obieszą, abo zastrzelą.

— Obieszą cie, bo prochu Niemcy uż ni mają, kiej go wszystek na francuskim froncie wykurzyli — rzucił drwiąco Halama.

— Jezu Kryste! Lepi, żebych ani z wami nie był jechoł. Boście wy mnie do tego namówili.

I nim się Halama spostrzegł, zerwał się sąsiad z siedzenia, skoczył do rowu, zderzył do wierzbiny i już go nie było.

— To ci zazrak głupi — śmiali się wszyscy do rozpuku.

A już też skręcali w ulicę Cieszyna. Muzyka rzła, aż oknami cieszyńskim spiessbürgerom trzęsło. Ci jednakże wcale nie wyszli tego dnia na światło dzienne, wszechniemiecki »Volksrat« w przededniu wiecu wezwał wszystkich niemieckich mieszczan, by »polską prowokacyę« zupełnie zignorowali. Ledwo co z poza firanki wyjrzała wykrzywiona, zielonawa twarz jakiegoś Goldbergera czy Silbersteina. Natomiast

ulice nie mogły pomieścić tłumów polskiego ludu wieśniaczego i robotniczego, napływającego ze wszystkich stron Księstwa Cieszyńskiego.

Hej, było się też to na co patrzeć! Rynek główny napełniony był już po same brzegi zbitemi kłębami ludzi, a tu wciąż z każdej ulicy, z każdego zaułka, z każdej bramy napływały coraz to nowe rzesze kotłujące, że się ta prastara, czcigodna wieża Piastowska, spoglądająca ze wzgórza zamkowego swemi smętnemi okienkami na miasto, niemało zdziwić musiała, skąd naraz tyle narodu u jej stóp stanęło. Czyżby już sądny dzień miał nastać, a dolina Olzy zamieniła się w dolinę Józafata? A oto zatknęli na jej ząbkach krańcowych chorągiew biało-czerwoną, która też zaraz poczęła w powietrzu radośnie trzepotać, fruwać, jakby chciała do tonów marszu Sokołów ognistego poloneza zatańczyć, że jej znowu teraz po tylu wiekach niewoli na tych omszałych murach, wzniesionych ongiś ręką książąt polskich, właściwe miejsce wyznaczono.

Od wschodu nadciągał lud wieśniaczy z okolicy Bielska. Na przedzie kroczyły kapele, wygrywające nabożne pieśni, a naród, spocony, okurzony, w skromnych ubraniach chłopskich, szedł zwolna jakby w procesyi na uroczystość odpustową, rozglądając się z niezmiernym zachwytem, a zarazem z jakimś dziwnym lękiem

wokoło siebie, jakby zdawał się pytać, czy wolno im wejść na rynek Cieszyna z taką paradą, czy ich nie napadną niemieccy turnerzy. Wszak tyle razy przed wojną brutalne młokosy i rozwydrzone hyeny wszechniemieckie rzucały się przy najskromniejszych obchodach narodowo-religijnych na spokojny lud polski. Czy dziś miałoby być inaczej?

— Ta Polska jednak musiała zmartwych powstać — szeptały sobie kobiety. — Kiej też to człowiek widzioł, żebyśmy se tak swobodnie w murach cieszyńskich »Kto sie w opiekę« przy muzyce zaśpiewać mogli.

— Żeby jeny zaś jaki ancykryst temu wszyckimu nie przeszkodził — mniemał z niepokojem jakiś siwowłosny gazda z pod Witalusza.

— Aby hrom strzelił, nie popuszczę — rzucił groźnie ktoś z młodzieńców grodzieckich. — Na toch sie bił cztery roki z mozgolem, żeby pierwszemu fraczkorzowi cieszyńskimu ustąpić? Nigdy!

— Jezu, mój Jezu — złożył stary Gembala z Górek ręce jak do gorącej modlitwy. — Że też to człowiek takigo dnia dożył! Dziwejcie sie, hanej na zomecki wieży polsko fana dyrbie! Polsko fana! Rety ludzie, hamujcie mnie, abych hanej temu szandarowi w łeb nie wlepił.

— Muzyka grej! Do marszu!

Muzykanci zagrali, że aż w kościach cięło. Chłopi się wyprostowali, zacisnęli pięści, wydłużyli opalone szyje naprzód, twarze im się rozpaliły i szli krokiem ciężkim, grzmiącym, że wydawali się w tej chwili jak nieubłagana i niczem nie powstrzymana groźna nawałnica, która w jednej chwili zniszczyć może cały plon na rozległych łanach.

Od przedmieścia zachodniego nadchodziły nieprzejrzane zastępy ludu górniczego z rewiru karwińskiego. Wynędzniałe, zczerniałe twarze, groźny połysk w zapadłych oczach, czerwone wypieki na policzkach, zaciśnięte usta, tak to kroczyło naprzód, a kapele ich wydawały tony jakiejś ponurej pieśni robotniczej, pełnej skargi, żalu i bolesnych westchnień z powodu krwi przelanej w interesie obcego narodu, obcego kapitału, z powodu wiekowej zbrodni zdzierstwa, popełnionej na nich, niewolnikach i sierotach, pozbawionych własnej, niepodległej ojczyzny. Obecnie wybiła im godzina wolności w niepodległej Polsce.

Cóż to znów tam od strony południowej za lud w tych malowniczych strojach wali? Cóż to za smukłe, jak buki rosłe postacie z ogorzałemi twarzami i długiemi kędziorami? Te chłopy zdrowe, uśmiechnięte, na krępych konikach? Dyć to nasi górale z pod Istebnej, od granicy węgierskiej. Nie znacie ich?

Rozgląda się góral ciekawie po ludziach, domach, sztandarach, nie mogąc wyjść z podziwu.

— Widzis, Hanka, cytoj to tam, co to tam ten hłopok na tej tabulce mo napisane — zawołała góralka na córkę.

Hanka czyta, sylabizując uważnie:

— Wol-ność dla lu-du! Fol-war-ki dla ludu! Zie-mia też dla lu-du! Wszy wszy-stko dla ludu!

— Co to tela drzyszczesz? Wszy dla ludu? — przerwała jej stara niecierpliwie.

— To znaczy — objaśnił jej sąsiad Grania — że ziemie bedą dzielić dlo tego ludu pospolitego.

— Jędrys Maryna! — krzyknęła przerażona kobieta. — Ziemie bedą dzielić a moigo tu nima. Jezu Kryste, a mówiłach psiparze, żeby poszeł na wiec.

— Dyć tego jeszcze dzisio nie bedą dzielić. Może za tydzień, za dwa w kancnaryi jabłonkowski. Jo se weznę zaroz ty góny, jako ciągną ku Bagińcu. — Tak mówił Grania.

— Oho, mądroku wy jeden — przerwała mu zaperzona baba. — Te góny to jo se weznę.

— A dyć sie nie wadźcie — ganili ich drudzy. — Wszycy sie podzielemy. Nie róbcie dzisio krawalu. Dość go i tak bezmali bee później!

I tak to wszystko huczało, grało, szumiało, falowało, niby rozszalała burza w ogromnym borze, dziw, że się domy z posad nie ruszyły.

A teraz okazał się ponad głowami tysięcznych tłumów jakiś ksiądz z natchnioną twarzą. Dźwięki kapeli zamilkły, gwar przycichnął nieco. Ksiądz powiódł pałającem okiem po rzeszy, wyprostował się, otworzył usta, krzyknąwszy głosem przejmującym:

— Narodzie śląski! Rodacy!

Urwał, bo wzruszenie chwyciło go za gardziel, a z oczu polał mu się potok gorących łez. Przez chwilę przysłonił dłońmi twarz, a potem, rzuciwszy ręce w górę, ciągnął dalej:

— Wolny jesteś, ludu śląski! Zerwałeś kajdany niewoli! Zbudziłeś się z wiekowego snu, a teraz orzekniesz, dokąd chcesz i masz należeć.

Ledwo te ostatnie słowa wymówił, zerwał się ogłuszający okrzyk z kilkutysięcznych piersi, okrzyk pełen świętego zapału, nieugiętej woli i żywiołowej siły, okrzyk niezłomny przysięgi:

— Do Polski należeć chcemy!

Zadrżeli na ciele, wstrzymali na moment oddech, a krew ścięła się w ich żyłach, bo zrozumieli, że to była wielka chwila, epokowa, przełomowa, że te prawie co wypowiedziane słowa po wsze czasy zadecydowały o ich losie.

A potem ogarnął ich taki zapał, taki zachwyt, taka rzewność, że ryknęli rozdzierającym

płaczem, rzucili się jeden drugiemu w objęcia, zaczęli się ściskać, całować, że ich ta chwila złączyła w jedną rodzinę, że im ta przysięga wróciła wspólną matkę.

Kiedy się cośkolwiek uciszyło, rozpoczął mowca na nowo:

— Nasza przecudna ziemia śląska, nasza droga kraina, to skarb nieoceniony, to perła nad wszystkie bogactwa, którą dotychczas obce i chciwe narody bezprawnie wyzyskiwały, po którą z pewnością i teraz swą zbrodniczą rękę wyciągać będą. Ale nie damy naszych zagonów, nie damy naszych zagród, nie damy naszego czarnego dyamentu, nie damy sobie wydrzeć naszej śląskiej ziemi — nigdy, przenigdy!

Mówiąc to, zapałał mowca świętym gniewem, z jego oczu posypały się iskry, a naród u jego stóp zaintonował głosem przejmującym: Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...

Poleciała ta pieśń, pełna rzewnego czaru, tęsknoty, kornego błagania, a zarazem i silnej woli w górę, pod chmurne, zapłakane niebo jesienne, jako modlitwa tego ludu cieszyńskiego do Boga, jako przysięga, że bronić będzie każdej piędzi zagona ojcowskiego aż do ostatniego tchnienia.

Następnie wystąpili na trybunę inni mowcy różnych przekonań i dążeń politycznych, lecz w tej chwili wszyscy jedną głosili ewangelię

ewangelię zmartwychwstałej Polski, braterskiej jedności, ofiarnej współpracy nad odbudowaniem drogiej ojczyzny.

A lud słuchał, przejmował się, przysięgał, a napełniony otuchą i wiarą w lepszą przyszłość, popadał w niebywały zachwyt i święty entuzyazm.

Był już wieczór, kiedy wiecownicy, pokrzepieni na duchu, wracali do swych chat, z tą samą paradą, z jaką przybyli na rynek cieszyński.

— Takigo święta, jak dzisio, toch jeszcze nigdy w życiu nie widzioł — mówił Halama z przejęciem, kiedy już wyjechali za miasto.

— Tę chwilę będą ludzie na wieki pamiętali — dodał Holeksa zamyślony.

VII.

W kancelaryi gminnej siedzi wójt z rechtorem. Poważnie się naradzają. Twarze ich świadczą, że nielada troska toczy ich wnętrze. Wójt, pykając z fajki, spluwa bezustannie, jakby z rozpaczy, wzdycha, wodzi zgryźliwym wzrokiem po podłodze, niekiedy uderza się pięścią po kolanach i sapie od złości aż strach. Rechtór siedzi skurczony w fotelu. Ręce złożył jak do modlitwy, pochylił głowę pokornie w bok, wzdychając ciężko.

— Myśmy to wymaścili z tą lagramencka wojną — westchnął wójt.

— Na niwere! — dodał kierownik.

— Psu na bude!

— Do cholery!

A potem znów pogrążyli się w posępnem milczeniu. Z podwórza ozwały się ochrypłe krzyki:

— Doppelreihen rechts um! Kompagnie marsch! Regruten! Schweinehunde! Pakaż! Bande!

Tak syn wójta, Karol, były sztabsfeldwebel, hałasuje po pijanemu. Wałęsa się bezczynnie po wsi, wysiaduje po gospodach, trwoniąc grosz ojca i żadnej pracy imać się nie myśli. Chodzi jeszcze w mundurze feldwebla, tylko bez szabli. Mundur wprawdzie już mocno zbrudzony, wyszarzały i miejscami połatany, ale świeżuteńkie wyłogi sztabsfeldwebla widnieją ciągle jeszcze na kołnierzu.

Wójt, rzuciwszy markotnie okiem na podwórze, kiwnął smętnie głową.

— Gdybyś sie ty, bisago, raczy chycił roboty w polu, to! Jezu Kryste, jak sie on przy tem wojsku zlontrasił! A teraz siedzi mi tu na karku i ani rusz do jakigo zajęcjo.

Kierownik, nie zważając na skargi wójta, snuł dalej przerwaną chwilowo debatę:

— A jakże tam, panie wójcie, z kasą gminną? Czy deficyt pokryty? Trzeba się obawiać, że wydział zażąda każdej chwili sprawozdania z rachunków gminnych.

Wójt poruszył się niespokojnie, wlepiając wystrachowane oczy w twarz kierownika.

— Deficyt nie jest pokryty — odparł.

— Ileż tego jest? — badał kierownik.

— A bee tego z piędziesiąt tysięcy reńskich. Jak inaczy ni, to muszę sprzedać coś z inwentarza. Inaczy buch do kryminału.

Po krótkim namyśle dodał złośliwie:

— Oni się, panie rechtór, pytają, co je z deficytem gminnym; czemu sie też nie spytają, co bee, jak starostwo zażądo od nich sprawozdania od tych zapomóg wojennych, jakie podczas wojny babom wpłacali? Chłopstwo przyszło z wojny i bardzo sie temu niejeden dziwi, że jego baba zapomogi nie pobierała. Bezmali ich mo pore iść do starostwa i pytać se gwóli tego. Jezu Kryste, co też to bee, jak sie tam noród dowie, że dlo tela a tela bob pieniądze na zapomoge ze starostwa miesięcznie odbierali, kwitowali a babskom nic nie wypłacali? To ci dziepro bryja, na mu duszu!

Kierownik zwinął się w kłębko, jakby go żmija ukąsiła i zaskomlał niby obity piesek.

— I co bee? — pytał niemiłosiernie wójt z szatańskim uśmiechem.

— A cóżby było? — odparł kierownik, nadrabiając miną. Przecież wam nie raz, nie dwa mówiłem, iż lada chwila obalą całą sławną Radę Narodową, która sobie władzę bezprawnie przywłaszczyła. Przyjdzie Czech albo Prusak, obejmą urzędy, napędzą poloków a potem się już niczego nie obawiam.

— Żeby to tak jeny było — westchnął wójt, a jego twarz zwolna się rozpogodziła.

— Zapewniam was, że tak będzie. Posiadam dobre informacye. A wasz syn znów może jako sztabsfeldwebel wstąpić do wojska, czy to czeskiego, albo też pruskiego, ale lepiej pruskiego, to je iściejsze!

— Ap, rechtorku — machnął wójt ręką. — Lepi żeby Kareł zaniechał wojaczki, a chycił sie gruntu. Niechby sie jeny jak najprędzy ożenił z jaką bogatą dzieuchą na ten przykłod z tą sierą Sikorową z Goleszowa, objął po mnie grunt i fojtowstwo, a miołby większą hyre, niż jako feldwebel między rekrutami. Przy tem wojsku sie mi chłapczysko do reszty zgibasi.

— Macie słuszność — zawyrokował kierownik. — Chłopa trzeba ożenić. Czyście może już nawiązali jaką znajomość z Sikorami?

— No tak po zdaleku toch sie już popytowoł. Nejlepiby jednak było, żeby sie Kareł wybroł z jakim honorowszym na zmowy. Na przykłod, gdyby tak oni, panie rechtór, wybrali sie

z nim jutro do Goleszowa. Mają tam znajomość, toby prędzej cosik dokozali. Bedą też tak dobrzy! Nie zapomnę im tego! Ta maciura w chlewku bee potem jejich.

Kierownik chętnie zgodził się na tę propozycyę.

Nazajutrz miał wyruszyć z Karolem na swaty do Sikorów. Jeden tylko postawił warunek, by się Karol jutro nie spił, porządnie ubrał, naturalnie w odzież cywilną.

— Ale te metale i krzyże może se na kabot przypiąć? — zapytał wójt.

— Ale czemu ni! Owszem! — odpowiedział kierownik.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, zjawił się kierownik na podwórzu wójta. Przeraził się jednak mocno, zobaczywszy Karola, jak mocno podchmielony taczał się około stajni. Karol, ujrzawszy kierownika, wyprostował się, zasalutował i wybełkotał zdrętwiałym językiem:

— Melde gehorsamst, Herr Oberlehrer, Herr Oberleutnant, dass die Kompagnie stellig gemacht ist. Możemy maszerować do Goleszowa. Spitze naprzód!

— Ale nie teraz — wykrztusił rozzłoszczony kierownik. — Najprzód się wyspisz, potem się odpowiednio ubierzesz, a koło południa znów przybędę i pójdziemy społem do Sikorów.

Kareł, miejże przeca rozum, statkuj se, tak sie naprać! To na sztabsfeldwebla nie pasuje!

Koło południa wybrał się kierownik z Karolem do Goleszowa. Karol wprawdzie w międzyczasie wytrzeźwiał, lecz pokryjomu schował w zanadrzu butelę wódki na pokrzepienie w drodze. Zresztą wyglądał elegancko. Wąsik wykręcony, włosy starannie wyczesane, krawat z fantazyą związany, ubranie z doborowej materyi, kroju najnowszej mody, lakierki na nogach, jednem słowem przedstawiał faceta »prima Ware«.

Ojciec, spoglądając z upodobaniem na wystrojonego syna, wyszczerzył zęby, mniemając:

— Sakra kany, synek jak lalka. Zawróci i nejbogatszej głowsko. Tak idźcie z Bogiem!

Po chodniku, krocząc za kierownikiem, wyjmował Karol co chwila niepostrzeżenie butelkę z zanadrza, pociągając z niej tęgo. Kierownik zdziwił się niemało, dlaczego jego pupil coraz to niepewniej nogi stawia, tacza się, czerwienieje na twarzy i plecie brednie. Kiedy zaś Karol zwalił się do rowu, przystanął, popatrzał baczniej w jego oczy, pytając:

— Cóż to z tobą do licha? Przecież trzeźwy wyszedłeś z domu, a teraz walasz się mi po przykopach jak prosiak. Kareł, bój sie Boga, a trzymaj się... A cóż to tam masz pod bokiem

za flaszkę, hę? Ty psiakrew! Teraz wszystko rozumiem.

W tej chwili wyrwał Karolowi z kieszeni butelkę i roztłukł o słup telegraficzny, potem odezwał się doń ostro:

— Wstawaj a chodź!

Karol wygramolił się z rowu i poszedł, milcząc, za kierownikiem.

U Sikorów właśnie byli po obiedzie. Nagle zaczął pies pod szopą wściekle ujadać.

— Podziwej sie, Jura, gdo zaś to tam wali — zawołał gazda na pasterza.

Jura wyleciał z rozwichrzoną głową na podwórze, otworzył na oścież usta i badał, kto idzie koło stodoły. Ujrzawszy naszych dwóch kafabli, zawrócił pospiesznie, wpadł jak wicher do pokoju i krzyknął:

— Jędrys Maryna, jacysikej dwo fajni ludzie idą. Jeden taki obhrubny panoczek z okulerami, a ten drugi jak ten smyk, co to wczora z obrozkami chodził po dziedzinie.

Lecz goście już wchodzili przez drzwi do pokoju. Naprzód posuwał się rechtór, za nim bezczelnie wyszczerzony eksfeldwebel Karol.

— Dej Pon Bóg dobry dzień, gospodarzu!

— Dej Panie Boże! Nale toć chyba kocur zdechnie — zawołał stary Sikora zdziwiony. — Takich zocnych gości, aże ze sztwortej dziedziny ech sie nie nazdowoł. Hanka, Jewka,

kaście są? Słóżcie prędko ogień w piecu w tej lepszej izbie. Proszę, panowie, dalej. Ale tego młodego panoczka to dość na tem ani nie znom, coby to był za jeden. Może jaki rechtorczyk lebo od zieleźnice?

— To jest, mój gospodarzu, — przedstawił kierownik — syn naszego wójta. Był dotychczas sierżantem przy wojsku, a obecnie zamierza objąć całe wielkie gospodarstwo po ojcu.

— Aha, aha — kiwał Sikora z zainteresowaniem głową, obserwując bacznie postać młodzieńca. — Tóż to taki je. Jejich tatulka znom dobrze, starego fota Wantuloka, ale tych młodych, to już człowiek nie zno. Proszę, wzocni panowie se oto na kanapie siednąć. Staro, kajs je? Pój haw prędko, momy gości.

Sikorowa wyszła z przyległego pokoju.

— Pieknie witom, pieknie witom. Nale jejku kany na świecie — uśmiechała się miło, złożywszy dłonie, a równocześnie świdrowała bacznie oczyma młodego gibczoka; stary rechtór już ją mniej zajmował. Jako matka kilku córek, domyślała się odrazu, iż to bedą swaty, zaczem, zamieniwszy kilka uprzejmych słów z gośćmi, wyszła pospiesznie do kuchni, aby zakrzątać się około przyrządzenia jakiejś przekąski.

Sikora rozmawiał tymczasem z rechtorem o polityce, o gospodarstwie i o całym tym no-

wym kramie na świecie. Karol też brał udział w pogadance, nadrabiał miną i próbował płytkimi frazesami okazać swą inteligencyę i zaimponować Sikorze. Kilkakrotnie wplatał w swe zdania powiedzenia, jak:

— Mój generalmajor tak mi to opisał; mówiliśmy o tem nieraz z marszałkiem polnym; jako najstarszy sierżant sztabowy i »Officiersstellvertreter« stykałem się często z arcyksięciem Fryderykiem; mówiłem z Hindenburgiem; w Cieszynie na zamku pracował — jak wiecie sztab generalny, ja często miałem z temi ludźmi do czynienia.

Kierownik niekiedy się krzywił, starał się niepostrzeżenie zuchwałego i głupiego chełpliwca znaczącem mruganiem oczu opamiętać, lecz Karol wcale nie dał się zbić z tropu. Sikora przysłuchiwał się z zajęciem i pewną czcią opowiadaniom bohatera. Skoro jednak Karol bąknął, że pewnego razu z samym cesarzem Karolem jadł obiad w kawiarni Alnocha, przymrużył gospodarz oczy, uśmiechnął się nieznacznie, a odwróciwszy się od blagiera, zwracał się już w mowie przeważnie do kierownika.

Karol, zauważywszy po niewczasie, iż się za daleko zagalopował, zawstydził się cośkolwiek; po chwilce jednak ożyła w nim dawna dusza feldweblowska i zaczął poklinać z cicha z oburzeniem:

— Psiakrew hołota. Że sie to taki cywil i chłop sprosty poważy powątpiewać o tem, co ja, sztabsfeldwebel, mówię. Meiner Seel, gdyby tobył regrut, wsuszyłbym mu morową banie. Uferma! Cywilpakasz!

Nie brał już udziału w dalszej pogadance, lecz spoglądał na podwórze. Nagle drgnął, zobaczywszy na podwórzu śliczną, jasnowłosą dziewczynę. Była to córka Sikory, Helcia, o którą właśnie miał się Karol ubiegać. Podniósł się więc z kanapy i wyszedł z pokoju, niby to na świeże powietrze.

Bez wszelkiej ceremonii, ot tak po »feldweblowsku«, zagadnął dziewuchę:

— Jak się masz, Marzenko? Jak tobie na imię?

Helcia zarumieniła się pod wrażeniem bezczelnych słów Karola jak piwonia, spuściła oczy, nie odpowiadając wcale.

Ta naiwna nieśmiałość i niewinność dziewczęcia rozbudziła zaraz u feldwebla nizkie instynkta; przystąpił bliżej do dziewczyny, chciał ją ująć za rękę, co mu się jednakże nie udało, bo Helcia cofnęła się o kilka kroków w tył. Aby jej do reszty nie spłoszyć, rozpoczął Karol z innej beczki.

— Ładne gospodarstwo macie. Budynki nowe, piękne, prawie takie, jak i u nas.

W ten sposób udało mu się dziewczynę wciągnąć w rozmowę. Odpowiadała mu początkowo nieśmiało, półgębkiem, nie patrząc mu wcale do oczu. Wkońcu jednakże, kiedy Karol począł bardzo poważnie rozmawiać o rolnictwie, o chowie bydła, drobiu i tem podobnem, ośmieliła się cośkolwiek i pozwoliła mu nawet ująć swe paluszki w jego dłoń.

Kierownik, zauważywszy przez okno to »zbliżenie Helci i Karola do siebie«, sądził, iż to najstosowniejsza chwila, by wyjaśnić cel swego z Karolem przybycia.

— Jak widzę — tak zaczął — to wy, gospodarzu znakomicie znacie stosunki materyalne wójta Wantuloka. Wiecie zapewnie także, iż Wantulokowie, to rodzina bardzo poważana i honorowa. Obecnie chce się syn Karol, z którym tu przyszedłem, ożenić. Przyznacie sami, że chłopiec z tak porządnej i poważanej rodziny musi poszukać dziewuchy, któraby także pochodziła z dostojnej siedlaczej familii. Otóż stary wójt, Wantulok, już dawno miał pod tym względem waszą rodzinę, szanowny gospodarzu, na myśli. Znani jesteście daleko, szeroko jako stateczny, majętny, pracowity i rozsądny gazda, znana jest i wasza córka Helcia nie tylko jako ładna, przystojna, ale i nader skromna, pracowita, cnotliwa dziewczyna. Wobec tego pozwoliłbym zapytać was w imieniu rodziców Karo-

la, czy z waszej strony nie mielibyście nic przeciwko ożenieniu się Karola z waszą Helcią, o ile ci ostatni przypadliby sobie do gustu...

Chciał jeszcze coś więcej w tym guście mówić, gdy z podwórza ozwał się nagle przeraźliwy krzyk. Sikora i kierownik zerwali się z miejsca i pobiegli do okna. Ich oczom przedstawił się ciekawy widok. Karol próbował objąć Helcię w poły. Helcia odpychała go gwałtownie od siebie, wyrywała mu się z rąk, szamotała się, a kiedy nie mogła sobie dać z brutalnym natrętem rady, poczęła wołać o pomoc.

Nim Sikora z rechtorem ochłonęli z przerażenia, wypadł ze stajni pasterz Jura z miotłą, umaczaną w gnojówce, przypadł do Karola i uderzył go »oszkrabkiem« w twarz, aż echo tego ciosu odezwało się między stodołami.

— Psiakrew, ty hundsmiserables Schwein! — zaklął Karol siarczyście, puścił dziewczynę z rąk i począł wycierać palcami oczy, zalane gnojówką, plując, sapiąc i tocząc się po śniegu.

Helcia skoczyła do sieni, a widząc zuchwalca w ambarasie, kładła się prawie od śmiechu na ziemię.

— Was ist das? — krzyknął Karol wściekle, kiedy już na oczy przejrzał. — Kto to był?

— Na jo łoto tu — ozwał się głos z lipy. Wantulok spojrzał w górę i zobaczył na

najwyższej gałęzi lipy pasterza Jurę z oszkrabkiem.

— Ty regrucie zamazany — groził mu Wantulok, pieniąc się.

— Joch nima zamazany, jeny wy! — odpowiedział z góry pasterz flegmatycznie. — Podziwejcie sie hanej do kałuże, jaki mocie pysk zbabrany. Wy świnio jedna, wy brzydoku!

— Kusz! — krzyknął Karol rozwścieczony. — Wiesz ty, smarkoczu, z kim masz do czynienia?

— Z barabą! — odparł Jura. — Kiery porządny, to se inaczy z dziełuchami siedlaczemi poczyno.

— Das ist doch aber eine Frechheit. Krutzihimmeltürk noch einmal! — przyklinał Karol, wodząc nieprzytomnem okiem wokoło. — Coś podobnego mi się jeszcze nigdy nie przytrafiło! I to jeszcze mnie, sztabsfeldweblowi! Ale poczekaj, ty gidzie. Jeszcze sie ty dostaniesz w moje pazury. A potem: Kyrie elejson! Jeszcze możesz jako regrut w mojej kompanii służyć.

Następnie począł wygadywać na cały świat, nie oszczędzając Sikorów.

— To się tylko popatrzcie, co to za horda cywilna! Meiner Seel, das ist zum Platzen! So eine Zivilordnung! I cała ta banda Sikorów tyleż warta! Dziady! Pakasz!

Przerwał nagle, bo mu znów coś cupnęło

po kapeluszu. To był oszkrabek, który Jura spuścił z lipy. Prawie w tej chwili przypadł zdyszany rechtór, blady i zsiniały na twarzy i zawołał:

— Karol, chodź do domu! Nie róbże hałasu! Cała wieś się już przypatruje z poza płotu. To już rzeczywiście skandal!

— Co skandal? Jaki skandal? — wrzasnął rozsrożony Karol. — To jest »Subordinationsverletzung«! Rozumiecie, rechtorze? A wyście też taki dziad, jak każdy inny!

— Karolu, hamuj się!

— Co się mam hamować? Ich soll mir so etwas bieten lassen? Was glauben Sie, alter Regrut? Sie dummer, alter, schäbiger Narr! Sie Gauner hundsmiserabel! Ja wam już wszystkim pokażę, co ja znaczę!

Kierownik zaperzył się nadobrze. Żyły mu nabrzmiały na skroniach, w wyblakłych oczach zamigotał ogień, trząsł się jak w febrze.

— Ty smarkaczu! — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Tak się odnosisz do mnie, twego dawnego nauczyciela, długoletniego przyjaciela i doradcy twego starego ojca?

— Doradcy od tego, jak się pieniądze gminne defrauduje, albo jak się zapomogi wdów kradnie. Ja. Rozumiem!

Tak odciął się Karol. Kierownik na chwilę

oniemiał. Spojrzał błędnem okiem w opłotki, a odwróciwszy się, wykrztusił:

— Chacharze!

Na tę obelgę podniósł Karol oszkrabek z ziemi. Ujął trzonek mocno w dłoń i, nie namyślając się długo, uderzył oszkrabkiem rechtora w twarz.

— Mosz stary djoble i ty! — ozwał się głos na lipie.

Kierownikowi spadł kapelusz z głowy. Karol podniósł po raz drugi oszkrabek w górę, ale w tem przypadła czeladź i rozbroiła walczących.

— Hej! — wołał Jura z lipy. — Temu panoczkowi okulory spadły z nosa. Hanej wiszą na wierzbinie. Włóżcie mu to na nos, bo nie trefi do chałupy.

— Cicho ty tam — beształ Sikóra pasterza.

— Dziwejcie sie — mniemała żałośnie Hanula, służąca Sikory, — obo przyszli w taki zgodzie do nas, a teraz ten gruby panoczek wraco inszą cestą, ku Skoczowu, a ten młody kafabel umazany też inszą, ku Lesznej. Maryja, jak też to na tym świecie nic stałego nima. Teraz zgoda, a teraz już bijatyka. Losmiłowanio kany!

Kierownik poszedł w stronę dworca kolejowego. Karol zaś kroczył zamaszyście chodnikiem ku Lesznej, rozmachując rękami.

— Sauregruten! — mruczał bezustannie. — Zivilhorde!

Pod wieczór przybył do gospody na »Mrowcówkę«. Do domu miał jeszcze spory kawał drogi, zaczem postanowił pokrzepić się na duchu i na ciele.

Wszedł do szynku i zajął miejsce w ciemnym rogu. Zamówił pół litra gorzkiej, by nabyć lepszej fantazyi; strasznie go złość rozpierała. Gdyby był w kompanii, mógłby się aspoń na rekrutach pomścić. Z pewnością odsiedziałby cały pluton kasarnika. A tu się musi patrzyć, jak te cywile obojętnie chodzą koło niego.

— Verfluchte Zeiten! — złorzeczył w duszy.

Kiedy tak z cicha poklinał, zbliżył się jakiś człowiek w lichem ubraniu do niego. Przypatrzywszy się mu lepiej, zawołał:

— Do krocset tysięcy i świętego Hindenburga. Na dyć to kolega Wantulok, o ile jestem jeszcze trzeźwy.

Wantulok przeszył przybysza przenikliwym wzrokiem, wychylił kieliszek, splunął i zaśmiał się na całe gardło.

— To ci dopiero rokitka! Servus, kolego! Jak się mamy?

— Pluj cywilowi pod pięty — machnął kolega ręką. — Sakra kany, skończyła się wojna, skończyły się i nasze złote czasy feldweblowskie w kadrze cieszyńskim, psiakrew były to gody!

— Co ty teraz narobiosz, ostrawski chacharze? — zapytał Karol.

— Co robię? Teraz depcę chodniki w śniegu. A ty co?

— Nic. Voter błazen nagania mię do gospodarki. Stary osieł! Ja, sztabsfeldwebel, mam może teraz gnój wyrzucać ze stajni, co?

— Ty aspoń gnój, a jo ani tego ni mom.

— To sie obieś!

— Dybych mioł jaki posztronek abo hopy na powróz, ale nima.

— W takim razie napij się ze mną.

— A to co innego. Nalej do szeroki!

— Pij!

Siedzieli jakiś czas w ponurem milczeniu. Po chwili odezwał się obcy:

— Psiakrew, żebych jo mioł jaki grejcar, nie siedziołbych jo tu u Hornbeina.

— No i cóż byś zrobił? Możebyś sobie kupił jednak ten powróz abo aspoń szpagat.

— Nie rób kiepa! Puściłbych sie do Brazylije.

— Hm — medytował Karol. — Cóż tam w Brazylii?

— Założyłbych jakie przedsiębiorstwo handlowe na większą skalę. Zobaczyłbyś do roku; rzucałbym miliardami. Mam tam między znajomymi stosunki. Zresztą i tobie radziłbym zabrać ze mną. Cóż ty właściwie zamyślasz po-

cząć? Przecież naozaist nie bedziesz sie teraz pługa chytoł.

Karol kiwał głową, skrobał się za uchem i odparł:

— Słusznie mówisz! Czy to teraz po tym raju feldweblowskim łatwo przywykać do kosy lub motyki?

— Tóż widzisz! Moglibychmy zrobić świetny interes. Możebyś tam poradził, kanyby sie tak doparzyć do jakigo hrubszego grejcara? Ale wypijmy nejprzód ten gajst, to jeszcze człowieka dzierży. Zdrowie!

Wypili. Karol zmarszczył brwi, wzrok utkwił w płonącym papierosie, tupnął nogą, syknął, a przychyliwszy się do ucha kolegi, szepnął:

— Grejcary toby tam i były.

— Tak? Masz?

— Ja nie, jeno stary foter. Ma tego jak skolo na ceście.

Kolega zachichotał, wykrzywił usta i poklepał Karola po ramieniu:

— Z ciebie był zawsze miglanc. Niejeden łamałby sobie do śmierci palice, jakby jaki ty hopy zebrać, a ty, hromszczoku, toś tak jeny migem wyszpekulyrowoł. Teraz rządź, pieronie, kiedybychmy mogli zderzyć za morze.

Karol pokręcił głową, zapalił nowego pa-

pierosa, puścił nosem gęste kłęby białego dymu i rzekł z cicha:

— Trzeba nom ze trzóch tęgich karlusów. Rozumiesz mię?

— Rozumiem.

— Przydziecie w nocy. Pokażę wam, gdzie stary ma kasę. Otworzę okna i dopilnuję, aby was nikt nikt nie przyłapał. Zgoda!

— Dobre!

Zamówiwszy nową ćwiartkę ostrzejszej, naradzali się szeptem dłuższy czas. Zetknęli głowy do kupy, wyblyszczali oczy, cmokali, plu-li, liczyli coś na placach, wkońcu podali sobie ręce i uściskali się po bratersku.

— Jeszcze jeden liter, żydzie!

— Proszę bardzo!

— Na zdrowie!

— Niech służy!

— Na pomyślność!

— Niech będzie!

— Niech żyje handel i przemysł!

— A Brazylia też!

VIII.

Wieczór zimowy w gajówce. Holeksa, Halama i Janek, popijając »warzonkę«, siedzą w półmroku przy piecu. Ogień trzeszczy pod blachą, rzucając czerwony odblask na izbę, za

oknami świszczy i huczy mroźny wiatr w żałosnych akordach, szyby pokrywają się srebrzystemi kwiatami z lodu, a bór, okalający czarnym pasem gajówkę, szumi i wyje.

Z pewnem wahaniem wynurza się miedziano-czerwona tarcza księżyca z poza lasu, oblewając tajemniczem światłem polanę, zapalając w oknach cudnie błyszczące dyamenty.

Siedzący przy piecu spoglądają milcząco w rożarzone węgle, niekiedy rzucają okiem przez okno na polanę i przysłuchują się monotonnej melodyi wiatru za ścianami.

— Mówisz — przerwał Halama milczenie — że z fojtem je krucho? Może też to jeny taki babski plotki jak zawdy.

— Wątpię — odparł Holeksa, zamyślony grzebiąc patykiem w popielniku. — Wczoraj był komisarz ze starostwa w gminnej kancelaryi i miał pono wszystkie księgi rachunkowe przeglądać. Jaki będzie wynik śledztwa, tego na razie nikt stwierdzić nie może. Są tylko domysły.

— Joch — mówił Halama — widzioł potem wieczór starego Wantuloka w gospodzie, alech go ni mógł poznać, taki był zmieniony w twarzy. Blady, mizerny, a chudy jak szczypa. Na mu duszu!

— Służące wójtowe zaś opowiadają, iż komisarz ostro pokrzykiwał po kancelaryi, rzucał

wściekle papierami po stole, a wójt ani słówkiem nie odpowiedział.

— A on był dycki taki hyrny, że se do teraz bai samemu staroście nie doł nic pokręcać. Cosikej jednak smerdzi z nim, jo wom to prawiem — mniemał Halama.

— Z kierownikiem również niemały kłopot — dodał Holeksa.

— Słyszołech. Jędrys Maryna, a to ci nawarzyli powideł. Bezmali teraz wyszło dziepro na wyrch, że pobieroł jako sekreciorz gminny z becyrku zapomogi wojenne dlo bob, a mało kierej co doł.

— Od tygodnia mu zakozali robić służbe. Wytoczono mu śledztwo dyscyplinarne i niewiadomo, co z tym kafablem jeszcze będzie.

— Do Krysta Pana, toć sie już wszycko do góry nogami przewraco. Fojt kradnie, rechtór kradnie, lud sie łazenguje, a ci młodziocy, co z tej wojny przyszli, to taki rozpuszczone i zbisagowane, aż hruza. Pełno w okolicy złodziei, rabczyków, zbuji, każdy prawi, że nastała demokracyj i wolność, że można brać, co sie jeny do. Dyć to dzisiajszygo dnia człowiek nima ani chwile isty swego żywobycio i mienio. Boże, cóż to jeszcze wszycko z tego wykwitnie?

— To są — tłumaczył gajowy — skutki tej strasznej wojny. Po wojnie, a zwłaszcza przegranej, zawsze następuje takie ogólne zdzicze-

nie. Pomału się to jednak wszystko ułoży, byleby tylko rząd okazał silną rękę. Od tego wszystko zawisło.

— Mosz recht — kiwał Halama głową. — Na mój głupi chłopski rozum myślę, że wszycko dobre musi przyjść od głowy, a nie od pięty. Momy przez cud Boski Polske, to też trzeba patrzyć, aby sie zaś nie rozbulała i to z winy poloków samych. W Polsce bedzie dobrze, bardzo dobrze, jeny trzeba trzy rzeczy do ni: zgody, pracy i porządku. A wszycko to musi noród widzieć nejprzód u tych wyrchnich, co nami chcą rządzić. Tam z tela musi ten dobry przykłod przychodzić, a potem to sie už noród podla jejich przykładu lekko a prędko naprawi.

— To też lud musi z pośród siebie takich wybierać do rządu, którzy rzeczywiście co do zgody, pracy i porządku najlepszą wolę okazują, którzy, dorwawszy się do steru, nie będą się jedynie o zaszczyty i materyalne zyski ubiegali, lecz przedewszystkiem o to dbali, ażeby naród najprzód moralnie i materyalnie podnieść. Żeby nam też takich ludzi Pan Bóg zesłać raczył! Potrzebujemy ich, inaczej zginiemy, jak okręt na wzburzonem morzu bez sternika musi zginąć.

Milczeli przez chwilę, tylko Halama kiwał smętnie głową. Ogień płonął pod blachą, wiatr zawzięcie huczał w kominie, gołe konary drzew w ogródku chwiały się.

— A czy — zapytał Halama — bedemy mieć takich ludzi w Polsce?

— Z pewnością — oświadczył Holeksa przekonywującym głosem. — Mamy mężów wielkich, zacnych, sumiennych i bogobojnych.

— Jo też tak miarkuję — dodał Halama. — W rządzie trzeba nam takich, co mają Boga w sercu. Wszak ten, co się boi Boga, nie bee lud zwodził, nie bee go bałuszył i do upadku kludził. Ten zaś, co w nic nie wierzy, jak jeny w ten swój spaśny brzuch, nie bee sie poświęcoł dla sprawy. Nabije kapsy, narobi w kraju biedy, lub zbałamąci, a potem trzaśnie wszyckim i szukej wiatru w polu. Oj, żeby też to lud wszycko zrozumioł, kiej bee wybieroł do tego parlamentu. Lud może se som raj zrobić, żeby sie jeny nie doł przez zwodzicieli opanować.

Do izby weszły teraz Agata, Halamowa i Jadwiga. Janek, zobaczywszy Jadwigę, rozpalił się w twarzy, zerwał się z miejsca, ujął pieszczotliwie ręce narzeczonej i usiadł z nią w kącie na kanapie. Szeptali coś do siebie, gdy tymczasem starzy, udawając, iż wcale na młodą parę nie zważają, rozpoczęli debatę na inny temat.

— Bezmali Ferfeckimu wczorajszej nocy świnie ukradli — rzekła Agata.

— A łunegda snoci włomali sie jacysi miglanci do fojta, zrabowali mu całą gotówke,

wszycki piniądze, bai szaty kościelne, co tam były schowane.

— Bo sie to od pewnego czasu tak tej garażyje złodziejski w dziedzinie naplągło, że hruza,

— Bezmali to je jedna wielka gromada tych zbójów.

— Niejeden to ani ni mo grejcara na ten biedny kyrpiec, a drudzy mają piniędzy jak skolo.

— Nie robią, przez cały dzień łazęgują, a w gospodzie to tysiączkami chybają. Skąd biorą telowne piniądze?

— Tak jak na przykłod ten młody Wantulok. Przeca nima możne, żeby mu stary ojciec tak walił tych piniędzy.

— Rontem siedzi w gospodzie i hałdamaszuje, aż strach.

— Rozmaicie tam o tem mówią. Bai gwóli tych złodziei, co mieli okraść fojta.

— Lepi ani nie mówić. Mógłby sie dowiedzieć i o obraze honoru zaskarżyć.

— Tak sie też trzeba boć, aby psikrwie jaki szkody na dochowku nie zrobiły. Są gęsi na wiesieli, kury, kormiki, krowa. Wszycko przygotowane.

— A wiesieli trzeba zrobić už za dwa tydnie, prawie przed świętym adwentem.

— Prowda! U notara už gwóli tej erbowi-

zny jest wszycko spisane, ogłoszki wywołane, na co to czakać?

Tak rozmawiali pomiędzy sobą rodzice, układając plany na wesele i przyszłe życie Janka z Jadwisią.

Po wieczerzy rozeszli się. Halamowie poszli w towarzystwie syna, więc w trójkę, do domu; po wojnie nie można, jak hań downi do późnej nocy spokojnie u gajowych na miłej pogawędce wysiadywać, bo czasy niepewne, każdej chwili mogli człowieka do imentu okraść.

Zdążali polaną ku lasu wązką, w śniegu wydeptaną ścieżką. Szli gęsiego. Naprzód kroczył zamaszyście Halama, popierając się kryką, za nim tyrckała jego żona drobnym kroczkiem, kładąc uważnie nóżki w dołki, wyciśnięte w śniegu butami męża, chwiejąc się na boki, pokrzykując lękliwie, ilekroć miała się pośliznąć.

— Hop! Jeny pomalućku, mamo, bo kopyrtniesz — napominał Halama. — Idź se prosto za mną.

— A dyć przeca — odpowiadała żona.

— Jak sie ten śnieg blyszczy! Aż w oczach szczypie.

— Bee tej nocy mróz morowy!

— A wiater nadobrze ucichnął.

— Bajić.

— Mgliczka siadła na drzewa.

— Dyć to mróz!

— Akurat.
— Owiń sie lepi do hacki.
— No, no!
— A jeny pomalućku!
— Toć tak.

Za matką kroczył Janek, lekko, sprężyście, przeskakując dołki. Ale w jednem miejscu jednak kopyrtnął.

— Dzisz! — mruknął.
— Cóż tam? — zawołał z przodu ojciec.
— Zwaliłę ś sie! Je gładko jak na szkle!
— Jeny, synku, nogi nie złomej! — rzekła bojaźliwie matka — bobyś na wiesielu ani kadryla nie zatańczył.
— No tak!

Księżyc wytoczył się wysoko ponad las, na ciemno-szafirowem niebie mrugały niezliczone gwiazdy w różowo-fioletowych promykach, pola śnieżne, lśniąc się w świetle księżyca niby ogromne rozpostarte prześcieradło, skrzyły się w miliardach drżących tęczowo-barwnych iskierkach. Bór, odrzynający się od bieli śniegów ciemną smugą, stał milczący, w martwym śnie pogrążony. Żaden głos nie wstrząsnął powietrzem, najlżejszy odgłos nie dochodził od wsi.

Tu i ówdzie pojawiły się zajączki. Wyłaziły skądś z krzaku, posuwały się chyżo po zaspach śnieżnych, a zobaczywszy ludzi, drgnęły,

pokładły uszy wzdłuż grzebietu i przykucnęły do ziemi. Dopiero, kiedy postacie ludzkie posunęły się spory kawał dalej, podnosiły się ostrożnie na tylnych nóżkach, pokręcały główką i nuże dalej na poszukiwanie za jakąś przekąską.

Na skraju lasu pokazał się rogacz. Na widok zbliżających się ludzi stanął jak wryty w ziemię. Skręcił głowę w stronę kroczących, beknął i już go nie było.

Lis, czołgający się ostrożnie pomiędzy krzakami, rozglądał się chytrem, łotrowskiem okiem na wszystkie strony, gdzieby mógł złapać jakąś zdobycz. Nie przeląkł się Halamów jak rogacz. Wiedział dobrze, iż Halama z kryki nie wystrzeli. Gdyby to był taki Holeksa z tą przeklętą, świecącą się rurką na ramieniu, toby zderzył co tchu do swej poblizkiej nory. Znał on Holeksę lepiej, niż Holeksa jego samego.

Takie życie panowało w nocy zimowej na polanie pod borem, życie tajemnicze, pełne uroku.

* * *

W gospodzie u Weissmana »pod Słupkiem« rznie muzyka aż strach. Odprawiają wesele Janka z Jadwigą. Starzy Halamowie zaprosili na wesele prawie całą wieś. Izby, pokoje i obszerna sala Weissmana wypełnione aż po brzegi.

Nawet w sieni muszą się tłoczyć. Wszystkie drzwi na oścież otwarte, przez okna bucha para w białych kłębach na pole i miesza się z mroźnym wiatrem listopadowym. Krzyku, śmiechu, hałasu, muzyki, śpiewu, że się zdaje, iż cała karczma Weissmana rozwali się w gruzy.

W »ekstracymrze« zajęli miejsce ci »lepsi«. Śmietana! W rogu, na sofie, siedzi młoda para. Jadwiga, z białym wianuszkiem na głowie, spuściła oczy w dół i patrzy zażenowana na paluszki. Ile razy Janek szeptnie jej coś do ucha, drgają z lekka jej długie rzęsy, płoną różowe policzki, a usta układają się do uśmiechu, pełnego słodyczy i niewysłowionej rozkoszy. Janek pogląda jej w oczka, głaska ją po włosach, dotyka palcami to noska, to brody, uszu, a robi to tak delikatnie, jakby się bawił z kruchą figurką z cukru.

Niejeden rzuca z ukosa figlarne spojrzenie na nich, przypominając sobie dawne, ach tak dawne chwile szczęśliwe. Stara Fyrkułowa ociera co chwilę łzy z wyblakłych ócz, spogląda ze słodkim smutkiem to na młodych, to znów z wyrzutem na swego męża. Jadwiga i Janek siedzą zdala od całego gwaru i hałdamaszu weselnego, nie biorą też udziału w rozmowach innych, oni dzisiaj należą tylko do siebie.

Za długim stołem, pokrytym białym obrusem, zasiedli Holeksa, Halama, starostowie,

proboszcz, leśniczy, wachmistrz i nowy, młody rechtór, co objął po starym posadę. Holeksa, Halama i starostowie nachylili głowy i rozmawiają coś tajemniczym głosem o polityce gminnej. Twarze ich rozpalone od gorącego wina jak szyny, oczy błyszczą z zadowolenia, nozdrza drgają im nerwowo.

Od czasu do czasu nalewają wino gościom do szklanek, zachęcają do picia, zamienią z tym lub owym żartobliwe słówko, a potem znów skupiają się i naradzają.

Proboszcz, mężczyzna chudy, wysoki, z siwym, rzadkim włosem na skroniach i świecącą łysiną nad czołem, pali cygaro, przysłuchując się rozmowom sąsiadów. Leśniczy, mężczyzna otyły, z nabrzmiałą twarzą i wytrzeszczonemi oczyma, bawi się żywo z zarządcą. Wachmistrz, dobrze podchmielony, opowiada proboszczowi przeżycia prawdziwe i zmyślone z kampanii wojennej. Kiedy jednakże zauważył, iż proboszcz nie reaguje na jego sprawozdania strategiczne, wsunął swą graniastą głowę z potężną czupryną pomiędzy głowy politykujących gazdów i zaczął brać żywy udział w ich debacie.

Młody rechtór przysunął się z kielichem do drużki i próbuje drużbę wysadzić z siodła. Lecz — zdaje się — marne jego zabiegi, gdyż posada jego na razie tylko prowizoryczna.

Gaździnki, wystrojone i wyelegantowane, stoją gromadnie w futrynach rozwartych podwoi i obserwują uważnie wszystko, co się wokoło nich dzieje. Ślicznie im też w tych czepcach i żurkach do twarzy. Twarze ich, pełne i pulchne, rumiane i gładkie jak aksamit, oblewa wyraz powagi i dumy. Podpierają boki, kręcą się z gracyą na obcasach, a złote łańcuszki, zwisające z ich szyi wzdłuż śnieżnych, wykrochmalonych kabotków błyszczą jak słońce. Bogatsze wystroiły się w kosztowne broszki, w złote naszyjniki, kolczyki do uszu, niektóre zwracają uwagę drogocennemi pasami z drobnych łańcuszków srebrnych, przetkanych złocistemi blaszkami.

A cóż dopiero dziewczyny, hej! Włosy zlukowane z fantazyą i prawie że artystycznie nad czołem wyczesane, w tyle w bujne warkocze splecione, szerokiemi wstążkami jedwabnemi podwiązane. Fartuchy jedwabne mienią się w tęczowych barwach, fałdziste suknie, u spodu ciemno modremi galonkami obszyte, podnoszą ich piękność, nóżki ujęte w błyszczące lakierki, niby ze szkła lane. Złota i srebra na ich kabotkach tyle, ile w oknie wystawowem skoczowskiego zegarmistrza.

W sali na ławkach rozsiedli się czakacze. Pod oknami, od strony »ekstracymry«, siedzą kobiety, za stołem pod szynkfasem popijają

chłopi. Szczególną uwagę zwraca na się stary Faruga. Dymi z długiej fajki, spluwa, wykrzywia usta, wyblyszcza krwią nabiegłe oczy i opowiada sąsiadom o wojnach napoleońskich i pruskich. Twierdzi, że teraz po wielkiej wojnie i po upadku Austryi znów podobne czasy nastaną. Wiarus ci to z krwi i kości. Ojciec jego bił się pod Napoleonem, on sam brał udział w kampanii pruskiej, jego trzej synowie prali się podczas całej wojny światowej. Jeden, najmłodszy w Taliańsku, drugi w Rusku, a ten trzeci aż gdzieś we Francyi pod Werdynem. Wszyscy powrócili zdrowi. Na razie ma tylko jedno życzenie: żeby się dożył wnuków, coby również kiedyś walczyli w tej nowej wojnie. Bo do takiej jeszcze raz przed sądnym dniem przyjdzie, dyć to je przepowiedziane w sybilińskich księgach.

Holcy, co z wojny przybyli, częstują go, wszak go poważają niby patryarchę sędziwego.

Między młodzieżą uwijają się i młodsi żandarmi, gdyż wachmistrz, ich »tata«, pozwolił im dzisiaj wziąć udział w zabawie. Również i kilku młodych podgajowych krząta się w zielonych kamizelkach wśród czakaczy. Dziewczyny strzelają oczkami za mundurkami, bo sie im ci chłopcy w tych obcisłych, malowniczych bluzkach i portkach niezmiernie podobają. Niejeden z parobków krzywo patrzy się na tych

»szandarów« i »gojnych«, lecz wstrzymuje się od zaczepki, bo z takimi »plundrokami« najlepiej mieć spokój. Nuże pojedziesz kiedy w nocy bez latarni, przydybie cię taki karlus i buch, masz sztrof na pore koron. Lebo pukniesz se po sarnioku, przychwyci cie taki zielony, a jak mo z kopca na cie, marsz na fazole do Harbicha.

Na scenie zajęli miejsce muzykanci. Kapelmistrz Biłko z Lesznej, włożywszy okulary na nos, przegląda nuty, wyciera munsztuk, wydaje kolegom dyspozycye i przygraża basiście, by się znowu tak nie spił, jak unegda w Dzięgielowie na weselu. Basista, stary, łysy chłop, z czerwonym nosem, spogląda tępo przed siebie, nie zważając wcale na przestrogi swego szefa.

Policyant gminny, Hojdysz z Krętej Dziury, brzękając wykrzywioną szpadą, przechadza się z marsową twarzą jak jaki generał po pokojach. Niekiedy wybiega do sieni i rozpędza swawolne podrostki na cztery wiatry. Skoro jednak wstępuje do szynkowni, — a czyni to często, — nacierają chłopcy znowu ze wszystkich stron na karczmę, zaglądając ciekawie w okna. Warcynga, komornik folwarczny, spił się jak pańtok i wszczyna z parobkami kłótnie. Hojdysz wyrzucił go na podwórze; Warcynga siadł na śniegu, podparł markotnie głowę o kolana i rozpłakał się rzewnie, że nim tak na stare lata poniewierają.

Ku muzykantom zbliżył się drużba, Francek Kocyanów z Podlesio. Holec ci to szwarny, gibczok jurny, rosły, wszystkie dziewoje za nim poglądają. Kapelusz ma zsunięty na bakier, łańcuszek »double« brząka u aksamitnej kamizelki, u surduta powiewają »wońki« z czerwonemi »maszkami«; tak kroczy elastycznie, lekko, paradnie, jakby szedł na sprężynach. Rzucił na stół banknot, zamówił »szotysa«, kiwnął na drużkę, Halkę Małyszową z Bagińca, dziewuchę urodziwą. Kapelmistrz Biłko poprawił okulary na nosie, splunął, szepnął trąboduchom w prawo i w lewo krótkie słówko, przyłożył trąbkę do przymkniętych warg, przymrużył oczy, cupnął nogą, w tym momencie wydały też instrumenta potężny głos, aż w pięcie śmigło.

Drużba łap Halkę pod rękę, gwizdnął, uderzył zawadyacko obcasem o deliny i puszcza się w tany. Za jego przykładem idą i inni. Wnet toczy się też wszystko w kole, chwieje, wywija, kręci, jak kółka i kółeczka w zegarku.

I jest się na co z boku popatrzyć. Drużba rozpędził się jak furya, bijąc raz wraz butami o podłogę, zwija się w gęstych kłębach podnoszącego się prochu i pyłu niby dysząca lokomotywa parowa. Drużka ledwo już chwyta dech. Oczy jej płoną, krew zdaje się pryśnie każdej chwili fontanną z jej policzków, osłabiona, po-

chyla główkę na ramię drużby, który nie bacząc na jej zmęczenie, dalej toczy się w koło.

Tam zaś podskakuje jakiś młody żandarm w wysokich butach niby wróbel na szpagacie, podrywając otyłą gaździnkę pod sam sufit, że obom spływa pot w wielkich kroplach po czole i licach.

Podgajowy Mędrok, uchwyciwszy z lekka Hankę Pyrchałową, obraca się zwolna, statecznie, z poważną miną, w kole, rzucając pogardliwe spojrzenia na skaczącą wokoło młodzież.

Młody rechtór szamoce się z grubą i ociężałą żoną leśniczego. Wprawdzie zaprosił drużkę do tańca, ale mu ją odbił Francek Kocyanów. Oburzył się na drużbę i żeby sobie nieco żółci upuścić, męczy się teraz z leśniczową, skacząc około niej niby piesek koło pnia dębowego, do którego go przywiązano.

Starosta Branny wziął do tańca żonę zarządcy. Podskakuje z lekka na palcach, głowę podnosi do góry, zamiata lewą nogą, prawie tak, jak to czyni wachmistrz. Musi to tak być z »pańska«, więc, tańcząc z taką paniczką, trzeba się do mody miejskiej zastosować.

Policyant puścił się również ze szwagrówką w wir. Rzuca swą tancerką jak snopkiem. Siłacz to nielada, szarpie ją raz w lewo, to znów w prawo, marszczy przytem brwi sromotnie, wąs zjeżył mu się pod nosem, wygląda tak,

jakby prowadził jakiegoś opryszka, stawiającego mu opór, do aresztu gminnego.

Nawet Warcynga, otrzeźwiawszy cośkolwiek, wyrywa z pośród komornic folwarcznych Marynę Duławową, gdyż chciałby sobie poskakać. Jego taniec jednakże wygląda raczej na bójkę. Szamota się z nią, dusi, drepsi po palcach, a kiedy wywarła gębę na niego, wlepił jej między oczy »banie«, uderzył pięścią w plecy, tak, iż taniec skończył się kłótnią i przezwiskami.

Skończyli pierwszy kawałek. Spoceni, zdyszani i zziajani rozpierzchli się na boki. Mężczyźni ocierają pot z czoła, poprawiają krawaty, zalewają proch w gardzieli wódką i piwem, a tancerki, oddychając jak miech kowalski, chłodzą, powiewając chustkami, spocone, gorejące twarze.

Naraz ukazał się na sali Karol Wantulok.

— Muzykanci! — krzyknął ktoś z boku. — Panu Wantulokowi wygrać!

Muzykanci się też natychmiast podnieśli z ławy, przecisnęli się przez tłum i stanęli przed Wantulokiem. Kapelmistrz skłonił mu się nizko, uścisnął prawicę, zapytując nieśmiało:

— Jaki kąsek mamy zagrać?

— A zagrejcie mi Radeckiego! — nakazał Karol.

Muzykanci ucięli siarczystego marsza. Wantulok przysłuchiwał się, podparłszy boki, patrząc wyniośle na cisnący się wokoło niego ciekawy tłum czakaczy.

— A teraz — rozkazał — po »Radeckim« zagracie mi walca. Ale tylko jednej parze.

Przystąpił z dumną miną do drużki, ukłonił się jej niedbale i zaprosił do tańca.

W tem przypadł drużba Kocyan. Włożywszy palce w kieszenie kamizelki, szturchnął z lekka łokciem eksfeldwebla w bok i zapytał:

— Cóż to? Czy myślicie, żeście tu w kasarni między regrutami? — A szarpnąwszy drużkę za rękaw, rzekł:

— Pódź, Halka! Nie oddowej sie z takim bicwoniem.

Wantulok zaperzył się, rumieniec wściekłości oblał jego twarz. Ujął dziewczynę za rękę i zawołał z naciskiem:

— Pierszemu lepszemu cherlokowi nie ustąpię. Muzyka, grej!

— Kto je cherlok? — zapytał Kocyan, drżąc na ciele.

— Ty! — rzucił mu Wantulok w twarz. — Strać się mi z oczu za pogody.

W tej chwili otoczyła Wantuloka gromada wzburzonych chłopaków.

— Co sie tu ten łata tela roztopierzo? — ozwały się ich groźne głosy.

— Trza go oknem na śmiecisko wyciepać.
— Nabić mu!
— Sprać łacha!
— Chłapcy, hura na niego!

I już kilka ramion wyprężyło się w stronę Wantuloka. Wmieszał się w ciżbę Janek:

— Chłopcy, co wy robicie?
— Tego feldwebla chcemy przehetkać!
— Nie róbcie głupstwa! Ustąpcie!
— Kto nom rozkoże?
— Ja!
— Cóżby tak? Poco bieresz takigo w obronę?
— Wcale go nie bronię — odparł Janek. — Uważajcie jednakże sami, czy się godzi rzucać taką siłą na jednego.

Zamilkli. Przemówił do ich ambicyi, więc im ręce opadły, a ktoś powiedział:

— Zostowcie chraponia! Co sie bedziecie z nim jargać?
— Żeby to — rzekł drużba — nie odradzoł Janek, na mu duszu, sprołbych tego łazenge na kwaśne jabłko.
— Jobych was żgole — rzucił szyderczo Wantulok — wszystkich oto na moich pięciu palcach powieszał. Wcale nie potrzebuję interwencyi takiego Janka, zamazanego regruta. Pamiętasz, Jano, jakeś mi buty czyścił? Jakeś moi galance proch z bucików ścierał? Jakoś stał

przede mną »Habtacht«? Pamiętasz to wszystko, zielony uszalu? Jeszcze mogą te czasy wrócić! A potem sobie was wszystkich pożyczę, Schweinehunde ihr! Ciwilpack! Gesindel! Horde!

Młodzież, w ten sposób znieważona, zapieniła się od złości i ruszyła ławą na impertynenta. Teraz już i Janek nie mógł ich powstrzymać.

— Zwalić bestyje! Orznyć jak psa!

— Na stolice położyć! Dejcie tam mieloka z gwoździem.

W tem wpadła z sieni do sali Hana Margiełowa, cała zdyszana i wylękniona.

— Cicho! — krzyknęła. — Jezu Kryste, co sie robi?

— Cóż tam?

— Ale szandarzy z pikami i gwerami wleźli teraz do karczmy, kludzą dwóch skutych holców, a pytają sie, czy tu nima kaj nijakigo Wantuloka.

Naraz nastała cisza, jakbyś makiem posiał. Wantulok zbladł na twarzy jak chusta, zachwiał się na nogach, lecz wnet jakoś opamiętał się i rzekł:

— Ożrałaś sie, babo, lebo co?

— Na mu duszu! — zapewniała Hana. — Pytali sie o ciebie. Widzisz, hanej już wleźli do sali. O, oto dziwają sie na nas!

Wszyscy spojrzeli ku drzwiom. Czterej żandarmi weszli z najeżonymi bagnetami, prowa-

dząc przed sobą dwóch skutych parobczaków. Wantulok na ich widok potoczył się w kole, jakby go ktoś w twarz z nienacka uderzył.

— Gdzie mój kapelusz? — szepnął. — Muszę iść do domu, mam ważną sprawę.

I spojrzał w stronę bocznych drzwi, prowadzących na podwórze.

— Dzień dobry! — ozwał się w tej chwili donośny głos jednego z żandarmów. — Przeboczcie, ludzie, że wam przeszkadzamy.

— Cóż nowego? — zapytał wachmistrz, wychodząc z »ekstracymry«. — Panowie, nie jesteście z mego rejonu!

— A tak! — odparli, salutując. — Jesteśmy z posterunku goleszowskiego. — Przyłapaliśmy nareszcie tych oto dwóch kanarków, należących do szajki, która od dłuższego czasu w okolicy grasuje.

— Aha! — kiwnął wachmistrz głową. — To są ci?

— Tak jest. A teraz zdradzili wszystkich innych wspólników, przedewszystkiem zaś niejakiego Wantuloka tu z tej wsi, byłego feldwebla.

— Wantuloka? — zdziwili się wszyscy. — Gdzież on jest?

— A hanej przecisko sie ku dwierzom!

— Ucieko!

— Chytać go!

— Nie puszczać!

— Dzierżcie!

— A to kanalia!

— W imieniu prawa aresztuję Pana! Chodź Pan zaraz z nami!

— Co panowie chcecie po mnie? — zapytał Wantulok, nadrabiając miną.

— Jeszcze sie pytej, co? — odpalił mu jeden z opryszków. — Myślisz se, barabo, że ujdziesz tak wolno? Nas eś zwiódł, z nami krod i rabowoł, tóż też teraz z nami potyrckosz.

— Kiedym ja z wami krod, chachary?

— A to kanalia! — odparli. — Toś uż wszycko zapomnioł, he? A kto nom odewrzył kase fojtową, jak nie ty, jego syn? A kto pomógł nom krowe Małyszowej z chlewa wykludzić? A kto z nami napod żyda Goldbergera pod Stożkiem? Kiery nas namówił sklep Eichnerki wyrabować? Kiery postrzelił starego Byrtusa? Kiery sprzedoł skradzione konie w Skoczowie na targu? Ty, ty, a jeszcze roz ty!

Wantulok stał jak trup. Ruszał wargami, chciał coś na usprawiedliwienie powiedzieć, lecz głos zamarł mu w gardzieli. Tak go znienacka zaskoczyli.

Bez oporu dał sobie ręce skrępować. Wszyscy struchleli na ten widok. Toć to przecież nie do uwierzenia! Oto skuli syna fojtowego, najmajętniejszego gospodarza w okolicy, jak

ostatniego łajdaka. I to jeszcze feldwebla. Sztabsfeldwebla! Odwracali się od niego ze wstrętem, z pogardą i z jakiemś dziwnem przerażeniem jak od zapowietrzonego. Tylko Janek, patrząc, jak jego byłego feldwebla krępują, uczuł współczucie i litość nad nieszczęśliwcem.

— Panowie! — rzekł wśród grobowej ciszy drżącym głosem. — Przecież go tak prowadzić nie myślicie. Wszak to syn porządnego gazdy! Były sztabsfeldwebel!

— To nam wynamijcie wózek, a odwieziemy go jak to przystoi na wielmożnego feldwebla! — mniemał drwiąco jeden z żandarmów.

— Mój powóz — odparł Janek stanowczym głosem — stoi jeszcze na podwórzu. Przyjechaliśmy na nim ze ślubu. Proszę was, panowie, przyjmijcie powóz do swej dyspozycyi i odwieźcie Wantuloka w nakrytym powozie do miasta.

Prośbę Janka poparł ksiądz, a ostatecznie i miejscowy wachmistrz.

Z głuchym łoskotem i brzękaniem kajdanków wyprowadzono Wantuloka na podwórze. Wsadzili go do kolasy jak martwego. Nie zważał już wcale na otoczenie, a tylko oczyma wodził jakoś złowrogo po ziemi.

Żandarmi zasalutowali wachmistrzowi, zajęli miejsce po obu bokach Wantuloka, kolasa

ruszyła z miejsca i niebawem znikła za węgłem.

Pod wrażeniem tego zdarzenia stali wszyscy przez chwilę jakby piorunem rażeni.

Pierwszy ocknął się ksiądz proboszcz:

— Tak to bywa — rzekł — kiedy człowiek, odurzony pychą, Boga z serca wyrzuci. Prędzej czy później zejdzie na manowce i kończy marnie jak zbrodniarz.

Wargi mu zadrgały, a grube łzy potoczyły się po jego licach.

— Że się to właśnie w mojej parafii stać musiało! — załkał.

Uspokoiwszy się nieco, ujął jedną ręką ramię Janka, a drugą ramię Jadwigi, uśmiechnął się przez łzy i rzekł łagodnym głosem:

— Przynajmniej na was, drogie dzieci, dożyłem się pociechy. Oby się nasza młodzież zawsze wzorowała na takich! Chodźcie, dzieteczki, do izby, bo tu zimno na podwórzu. Mogłybyście się jeszcze zaziębić, poumierać, a trzeba wam przecie żyć i być wzorem i przykładem przez długie lata dla innych.

KONIEC.